

Damien Broderick

Na krańcu morza

„The Sea’s Furthest End”

*Dla Fiony Moore,
bez której tej książki by nie było.*

*Odkryłem kiedyś tajemnicę Wszechświata.
Nie pomnę już, jak brzmiała, ale wiem, że Stwórca
nie traktuje swego Stworzenia poważnie,
bo pamiętam, że siedział w Przestrzeni mając
przed Sobą Swoje dzieło i śmiał się.*

Lord Dunsany – „Na krańcu świata”

*Visvamitra, król, który został braminem,
na złość bogom stworzył nowy wszechświat z własnymi
galaktykami. Właśnie w takich mitach [...] wyobrażnia
się aż do końca w głąb zjawisk wstrząsających,
tajemniczych i cudownych. W mitach dotyczących
książąt i królów najczęstszym tematem jest
sąd ojca nad synem.*

Encyklopedia Britannica, wyd.15 – hasło „Hinduizm”

TERAZ

SŁYSZYSZ MNIE, DAYTON? WIDZISZ JASNOŚĆ, KIEDY ŚWIECĘ CI W OKO?

Ja pierniczę, to już chyba najbardziej popieprzony syf, w jakim wylądowałem.

CHYBA SIĘ OBUDZIŁ. DAYTON, CHŁOPIE, WSZYSTKO JEST OK. NIE MA SIĘ CZEGO BAĆ.

A pewnie. Nie ma strachu. Niezły żart. To niby czemu tak mówi, głosem zdławionym, piskliwym - i przerażonym? Zawsze człowieka okłamują. Dorośli — jak w banku, szczególnie, kiedy się boją. Mówienie do siebie, hę, hę.

DAYTON, PROSZĘ. SŁYSZYSZ MNIE?

Czy go słyszysz? Jasne, że słyszysz. Ej, gościu, co się tam wam popieprzyło? Błyśnij no tu, błyśnij no tu, błyśnij no tu.

Naprawdę. Bardziej. Pojebane. Już. Być. Nie. Mogło.

Pomału. Rozwikłajmy to jak supeł na linie, który trzeba rozwiązać, żeby rozbić namiot. Co usłyszałem od tego tam stwora. Co on zrobił. Chciał. Czy co tam.

Znowu od nich odpadam. Odpływam w wir głosów.

TRZYMAJ SIĘ, DAYTON. MAMY TU KARETKĘ REANIMACYJNĄ, SYNU, WSZYSTKO BĘDZIE W PORZĄDKU. PRAWDA, PANIE DOKTORZE?

Ha. Serce wali jak głupie, ale zimno, zimno, jakbym się kąpał w morzu w środku zimy. Ochłoń, chłopie, zabierz się do tego pomału. Kroczek po kroczeniu. Tylko jak? Jak mam się trzymać, jeśli wszystko...

Dobra, może po prostu sam to sobie opowiem. Tylko tego chce ode mnie czaszka. Opowiem sobie własną historię. Zaczę od początku, od dziewczyny. Oj. Boże, nie. Kołku, ta dziewczyna, cholera, jest z innej planety. Nie umiem z nią rozmawiać. Gadka kończy się na „Eechh”. No, Dayton, wystarczy kiepskich grepsów. Trzymaj się, mały. Nastoletni Zmutowany Skaner Bogów.

Coś niewątpliwie mnie pieprznięło, i to mocno.

Zero kontroli nad głową. I luz. Opowiem swoją historię. Bez redakcji. Do diabła z sensem. Przecież to wszystko kłóci się z rozsądkiem i logiką. No, to hajda.

Uf. Głęboki wdech. Okej.

Eechh.

Hai! Aeeii!

19 rok Imperium ...wspomnienie... raz

- Hai! Aeeii! - wrzasnęła ze śmiechem, opadając z rozdziawionymi ustami w połyskliwym powietrzu. Białe zęby lśniły jak lampy w blasku słońca Tiresias.

Adriel z Corydonu, człowiek-dzieło genetycznych zbrodniarzy z Tiresias, dosiadała wściekle szamoczącej się balorośli - tratwy z lotoziela, której dotknięcie skończyłoby się dla każdego poza nią bolesnym zatruciem, jeśli nie śmiercią, bez różnicy czy pochodziliby z Tiresias, czy nie. Ten transgeniczny stwór mógłby zresztą zabić nawet ją, nie zważając na fakt, że była odporna na jego toksyny. Wystarczyłoby, żeby straciła uchwyt i runęła na skały, daleko w dole.

Szybowała z baloroślą, nurkującą w kłującym chłodem powietrzu. Jedną dłonią osłaniała oczy, czarne i piękne niczym noc na Skraju Galaktyki, taka naprawdę mroczna, gdzie gwiazdy migoczą w mroku jak świetliki.

Porywisty wiatr potargał jej włosy w splątany strumień.

- Ładuj, dziecko! - do jej uszu dobiegł słaby głos bony, oskarżycielski w tonie i natychmiast zagłuszony śmiechem Adriel, kurczowo uczeptionej pęku rozdętych, trujących pęcherzy i wywijającej drugą ręką. U innych młodych dziewczyn można by to poczytać za bezczelność.
- Jeszcze pięć minut, babciu! - odkrzyknęła. - To cudowne! Ach, czemu nie spróbowałam wcześniej?

Wtedy balorośl znalazła prąd wznoszący i wyniosła ją jeszcze wyżej, ponad masyw diamentowych gór, serce Adriel jakby na chwilę zamarło, by znów ruszyć z łomotem. Także żołądek wylądował na właściwym miejscu i Adriel zarżała z radości, beztroska jak dziecko.

Rzecz jasna, to musiało się kiedyś skończyć.

- Ładuj już - nakazała balorośli.

Kłęb lotoziela nie miał uszu ani żadnego innego narządu słuchu, w jakiś sposób jednak najwyraźniej zrozumiał intencje dziewczyny. Zasyczało powietrze - rozchyliły się zawory i z tysiąca rozdętych pęcherzyków uszedł gaz. Balorośl straciła nośność, runęła w dół i przeszła w lot szybowy, by w końcu nieelegancko, z łomotem wylądować jak wielki roślinny nietoperz.

W oddali bona zebrała spódnicę i ruszyła przez usiany zdradzieckim rumowiskiem kamieni teren ku nieposłusznej podopiecznej. Spod czepca wymknął się kosmyk siwych włosów. Adriel niemal od razu dostrzegła, że bona, Lady Molly, kręci głową raczej czule niż z dezaprobatą. Niewysoka starsza pani biegła co sił ku polaci wybujałej trawy, na której wylądowała balorośl, posapując gniewnie, choć w jej głosie brzmiała też nutka uśmiechu.

- Niedobra dziewczynka! Co ja mam z tobą począć? Co z tobą pocznie mąż?

Teraz serce Adriel naprawdę zamarło. Męża jeszcze nie miała, ale był już ktoś nieodwołalnie wyznaczony. W gorączce zapomnienia przestała o nim myśleć, uczeptiona toksycznych pęcherzy balorośli, gnając po przestworzach. Jej zaręczony mąż, syn Dyrektora Shiram puru - syn tego odrażającego bydlaka o niewymawialnym imieniu.

- Nie poślubię go! - zawołała z całej mocy swego młodego głosu i odwróciła się od bony.

Cała przyjemność, całe piękno dnia przepadło, odebrane, zatrute równie skutecznie, jakby uczyniły to toksyny balorośli. Adriel, której uroda często spadała na jej barki jak cios pejeza, pobiegła w trawę, byle dalej od Lady Molly i syczącej, wznoszącej się masy balorośli. Nie będzie płakać, nie podda się temu dręczącemu koszmarowi, jakim stało się jej życie.

- Prędzej umrę! - zawołała i zdała sobie sprawę, że naprawdę tak myśli, gdy usłyszała własne słowa. - Prędzej umrę!

hipersen

Opowiedzcie mi wszystko. Mam nienasycony apetyt na wiedzę o tej sprawie.

Ach, ci ludzie! Pamiętaj, pamiętaj!

Nie było mnie tam. Jak więc mam pamiętać?

Nie było cię tam, powiadasz? Proszę bardzo, niech będzie. Póki co.

Tak jest, bo tak być musi. A skoro nie mogę pamiętać, proszę, byście mi opowiedzieli.

Pokażemy ci to. Albowiem byliśmy tam, przez cały ten czas, i rzecz jeszcze się nie dokonała, więc musisz pamiętać, człeczko -pamiętaj!

Gdzieście byli, skoro posiadliście taką wiedzę?

Byliśmy wszędzie, patrząc, nawet gdy Imperium Wielkiej Ziemi rozkwitło, zwiędło i popadło w ruinę jak najbarwniejsze z letnich kwiatów w mroku kosmosu.

Zdawało mi się... przez chwilę myślałem, że pamiętam to miejsce. Ów mroczny kosmos. Czy przypomina on morze?

Jest jak morze w swych niezmiernych głębiach. Jak zaorane pole, obsiane dzikim kwieciem.

I ludzie się weń zapuszczali? Żeglowali w tej pustce, zbierali jej aromaty?

Oczywiście. Przecież pokonali wszystkie morza, skradli wszystkie kwiaty.

A jednak to... wspomnienie... nie wydaje mi się zupełnie przykre.

Jest tam swego rodzaju piękno. Drapieżna gorliwość. Od porannego blasku czasów, które potem nazwano Jasnymi Wiekami, statki kosmiczne pękate od dzieci Ziemi pędziły coraz dalej od pierwszego świata ludzi niczym pytki dojrzałego kwiatu.

Tak. Pamiętam. Jak nasiona, rozrzucone z nadzieją na wszystkie żyzne pola i jałowe zakątki wszechświata.

A niczym woda, wylana na glebę, by te nasiona urosły, we wszechświat popłynął czas - stulecie po stuleciu, okresy, które trzeba mierzyć tysiącami, dziesiątkami tysięcy lat, aż wreszcie twoi aroganccy pobratymcy połączyli słońca całej galaktyki więzami handlu i zobowiązań.

A więc swego rodzaju marzenie.

Czas i chciwość pożerają marzenia.

Sen nie zwyciężył? Nastąpiło przebudzenie?

Entropia Imperium zrujnowała to okrutne, cudowne społeczeństwo, obaliła jego wspaniałe wieże w skrwawiony kurz miliona światów.

Entropia?

Czyżbyś nawet o tym zapomniał? Wyobraź sobie hałas i zamieszanie. Można by wziąć trzy kubły świeżej farby: jeden lśniący szkarłatem, drugi cytrynowożółty, trzeci błękitny jak morze latem.

Można by, gdyby się było człowiekiem, a ty nim na pewno nie jesteś.

Można by wtedy zlać ich zawartość w jedno naczynie i wymieszać. Ten mętny brąz to kolor brzydoty, barwa hałasu i entropii.

Kolor zapomnienia, można by rzec.

Dokładnie ten odcień i ton. Ale klnę się, że twoim będzie kolor pamiętania.

TERAZ

DAYTON! O BOŻE, DAYTON, ZBUDŹ SIĘ.

Eee... O co chodzi?

Trzeba znaleźć dobry początek. A potem zacząć. To coś, co Amerykanie, Rosjanie i Japończycy znaleźli na Marsie w 1996 r., tylko nikt nigdzie o tym nie wspomniał. Oj. Oj. Oj.

Z tym sobie jeszcze nie poradzę. Nie. I luz.

No to zacząć wcześniej. Od Problemu. Nie. Od Toma. Okej.

Dwa tygodnie po moich siedemnastych urodzinach, mój brat Tom dał mi wyjątkowy prezent. Spadł z krawędzi anteny radioteleskopu i złamał nogę.

Jestem obojętny? Okrutny? Niechący. Thomas to nie tylko mój starszy brat - to mój bohater, i nie wstydzę się tego. Tyle że to złamanie, choć Tom, biedak, naprawdę ucierpiał, pozwoliło mi spotkać najpiękniejszą...

Miałem Problem.

Przez ten Problem patrzyłem na życie z goryczą, cynicznie, jak w krzywe zwierciadło. A świeżo upieczeni siedemnastolatki nie powinni cynicznie traktować życia. Powinni być

twardzi, zadziorni i pewni siebie. Znaczący, płęć męska. Choć może to tylko mit. Jak to kiedyś rzekł mój ojciec, młodzi mężczyźni są tak upierdliwi tylko dlatego, że pod maską hałaśliwości i buńczuczności kryją się przerażone dzieci.

Niespecjalnie trafiało do mnie to rozumowanie. Tak samo jak tłumaczenie, że tyrani tak naprawdę są lęklivymi tchórzami. Może nie mam zbyt wiele doświadczenia, ale podwórkowi tyrani z reguły bali się dużo mniej od maluchów, których z powodzeniem zastrasza i maltretowali.

Teoria ojca miała jednak jeden plus: w moim wypadku stary miał stuprocentową rację.

Bałem się, bez jaj.

To właśnie był mój problem. Krótko? Oto problem: prosty, nieskomplikowany przypadek nerwowej zgrozy.

Śmiertelnie bałem się płci przeciwnej.

Dziewczęta w każdym wieku, szczególnie blondynki, brunetki i rude, jak też zapewne te z zielonymi włosami, jeśli jakaś się nawinęła, sprawiały, że zasychało mi w gardle, za to dłonie wilgotniały.

A jeśli dziewczyna znalazła się w zasięgu rażenia (nie, nigdy nie uderzyłbym dziewczyny), strach sięgał niczym wielka, włochata łapa i zaciskał się na mojej tchawicy, przełyku i strunach głosowych.

Im bardziej interesowała mnie jakaś dziewczyna (a kiedy w końcu zacząłem widywać dziewczyny, procent tych interesujących mieścił się w krajowej normie), tym mniej zrozumiałe mówiłem.

Wyrastałem na czubka pierwszej wody.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... dwa

Chakravalin leży na plecach, żując źdźbło... niezupełnie trawy. W usianej gwiazdami ciemności, w absolutnej ciszy imperialnych ogrodów jest tylko jednym z cieni, i to niedużym. Z zamkniętymi oczami wsysa w usta słodki sok, przełykając mimo ściskającej gardło goryczy gniewu.

O kilometr stąd w Pałacu panuje cisza, nadchodzi pora snu. W gwieżdzistej nocy Chakravalin słyszy tylko przemykające chyłkiem zwierzątka, szukające pożywienia wśród opadłych liści, oraz powolne fale rzeki Kashi uderzające o falochrony ighaty, gdzie niegdyś nad świętymi wodami zbierali się pielgrzymi.

Chłopiec otwiera oczy i płacze.

W promiennej aureoli nad jego głową rozsiane są gwiazdy, których ludzie się niegdyś wyrzekli, zdjęci wyczerpaniem i lękiem. Gwiazdy, które teraz ludzkość musi znów podbić. Chakravalin ma wrażenie, że ludzka dusza jest naznaczona starodawnym piętnem mitycznego pierwszego mordercy - Kaina. To wypalona blizna, znak wojny, podboju i rzezi. Właśnie to

pcha wojowników do wojny. „I zagłady”, myśli Chakrayalin.

Potem trze kłykciami oczu, aż nacisk zaczyna boleć, aż w zasłoniętych oczach pojawiają się widmowe gwiazdki i smugi czerwieni oraz fioletu. Odziedziczy te chłodne świetliste punkty nad głową jako Dziedziczny Ministrator Shirampuru, syn człowieka, który chcąc stać się nowym Imperialnym Dyrektorem Galaktyki, stawia jeden brutalny krok po drugim, znacząc krwią kolejne lata świetlne.

Chakravalin siada i zgrzyta zębami, zdumiony cierpieniem, jakiego doświadcza. W przysiadzie zmusza się do kilku minut głębokich wdechów i wydechów, tak jak go nauczył instruktor bojowy Marynarki. Rozdygotane oddechy grzęzną jednak w piersi. Wściekły, choć nieświadom powodów gniewu, wstaje i wędruje na oślep w przenikającym wszystko jesiennym aromacie drzew aż ku granicy dzikiego ogrodu. Potem rusza wydeptaną ścieżką nad brzeg rzeki.

Gryzący odór wypełnia nozdrza i otępia zmysły. Pod bosymi stopami Chakravalina szeleszcą liście i trawa. Chłopiec dociera do wypłukanego *ghatu* i po schodkach dociera aż do chlupoczącej wody. Chłodne fale omywają palce jego nóg.

Nie ma księżycy. Kashi, najświętsza rzeka na Rishipatanie, za dnia soczyście fioletowa, nocą jest zupełnie czarna. Tutaj jest szeroka jak małe morze; wydaje się istnym oceanem oleju i łez. Chakravalin, niemal sparaliżowany tłumionym gniewem, patrzy, jak jaśniejące gwiazdy tutejszych gwiazdozbiorów powoli, rozważnie zanurzają się pod czarną granicę, gdzie rzeka połyka niebo: toną, nikoną w powolnym nurcie.

W końcu zrzuca tunikę, zostawiając tylko okrywające lędźwie *dhoti*. Pokusie wody nie da się oprzeć. Chakrayalin powoli wchodzi do rzeki. Woda, szokująco zimna, głaszcze go i zwilża długie włosy chłopca. Przez chwilę Chakravalin stoi nieruchomo, mrużąc mantrę i błogosławiąc się kropelkami wody. Potem pozwala, by prąd poniósł go ku gwiazdom, tak powoli opadającym pod niewidoczny horyzont - jak gwiazdy Jądra, dryfujące ku zagładzie w Oso, Olbrzymiej Czarnej Dziurze w centrum galaktyki.

Chłód wody budzi go z otępienia. Chakravalin prychnął, wypluwa zalewającą nos gryzącą substancję, zlizuje z warg wodę smakującą obcymi minerałami i solami.

Potem miarowymi pociągnięciami płynie do na wpół zalanego falochronu. Pokolenia stóp i fal wygładziły szorstki niegdyś kamień. Dłonie ześlizgują się z glonów i wodorostów. Chakravalin gramoli się z wody i znajduje miejsce poza zasięgiem Kashi.

Nocny wiatr wywołuje gęsią skórkę. W porównaniu z nim woda rzeki wydaje się ciepła. To otrzeźwia. Gwiazdy nad głową, jak zawsze, też są zimne: bezosobowe, dalekie. Patrząc na nie, nie sposób odgadnąć, że wojownicy (odważni i tchórzliwi, poborowi i ochotnicy, z wszystkich kast poza najniższą) toną tam we krwi przelewanej za tytuł własności do tych odległych słońc.

Wojny, pogłoski o wojnach. Za czasów pradziadka Chakrayalina, w poprzednim stuleciu, kosmiczne statki ambitnej floty Shirampuru walczyły jak demony i zdobyły gwiazdy Południowego Obrzeża. Teraz te same, pokancerowane, przerażające statki prą ku Centrum, w gorące halo poza granicą wygasłego kwazara, ku Olbrzymiej Czarnej Dziurze - Osobliwości - Oso - tam, gdzie żyją Kleth...

Przez chwilę Chakrayalin uśmiecha się. Jeśli istnieje grupa czy gatunek uprawniony do uważania się za władców Galaktyki, muszą to być Kleth. W porównaniu z tym mądrym, pradawnym ludem ludzkość ledwie osiągnęła nieokrzesany wiek młodzieńczy. Upadłe Imperium ludzi może być traktowane co najwyżej jak utracony dziecinny zamek z piasku, z powrotem zrównany z plażą przez obojętne fale.

Chakrayalin dygocze i kuli obnażone ramiona. Uświadamia sobie nagle, że takie myśli o własnych pobratymcach nie sprawiają przyjemności.

- Jestem człowiekiem - mruczy. Unosi głowę i patrzy w usiane gwiazdami niebo. Powtarza głośniejsze słowa te brzmią raczej jak wyzwanie, a nie proste stwierdzenie: -Jestem CZŁOWIEKIEM, słyszycie?

Tam w górze, w oddali, przez ciszę próżni z rykiem pędzą okręty wojenne, przedzierając się gwiazda po gwiazdzie ku rejonowi, gdzie inne, rywalizujące monarchie czy federacje są wykuwane przez ludzi równie silnych i zdeterminowanych, jak ojciec Chakravalina, Jagannatha.

W gromadach i zwartych systemach Centrum galaktyki, gdzie gwiazdy są tak blisko siebie, że noc wygląda niemal jak dzień, nawet w tej chwili trwają walki między Shirampurem a nieco odeń słabszymi - póki co - ugrupowaniami.

Młodzieniec zgrzyta zębami. Gdyby tylko Shirampur uzyskał pełne poparcie Kleth, posiadał niewiarygodne osiągnięcia nauki i wiedzy tego obcego ludu.

Kleth jednak patrzyli na ludzkie ambicje z dużym politowaniem. Jeśli im wierzyć, niegdyś władali całym wszechświatem — posiadali go, używali, a w końcu, znużeni zabawą, porzucili. Niewiarygodne: zostawić wszechświat tak, jak dorosły mógłby pozbyć się ukochanej w dzieciństwie zabawki, o której zapomniał w zamęcie dorosłości...

Nie, to nie tak. Kleth nie opuścili przecież planet i gwiazd galaktyki — dorośli też nie wyrzucają ukochanych zabawek. Nagle w umyśle Chakravalina pojawia się wspomnienie, a z nim fala wzruszenia: pluszowy, kudłaty słoń, którego niegdyś co noc tulił do piersi, łkając ze smutku i nie mogąc zasnąć, kiedy umarła matka, Parvati. Emocje niemal blokują oddech. Gdzie teraz jest Ganeśa? Już całe lata go nie widział. Na pewno znalazła go któraś Niania, całego zakurzonego od leżenia pod tapczanem albo pokrytego pleśnią, i starannie schowała. Albo wyrzuciła do pierwszego lepszego SuperKosza. Biedny Ganeśa. Biedny bóg-słoń.

Dziedzic opuszcza wzrok, patrzy z powrotem ku pałacowi ponad troskliwie zapuszczonym Jelenim Ogrodem. W ciemnościach trudno jest dostrzec przepiękną kamienną koronkę - Pałac Dyrektoriatu na tym wypoczynkowym świecie. Światła palą się w niewielu oknach; nawet kiedy obecny jest cały Dwór, większość z setek komnat stoi pusta.

Chakravalin próbuje odwrócić się, nie patrzeć, ale nie umie się oprzeć. To boli, boli prawie jak złamana kończyna, zanim wyleczy ją automat medyczny, ale nie może spojrzeć gdzie indziej. W pokoju Najwyższej Władzy panuje mrok, zgodnie z oczekiwaniem, ale z okien Jej Godności Adriel leje się złocisty blask.

Młodzieniec znów zamyka oczy, ale jest już za późno i powieki płoną klute gniewnymi łzami. Jakże teraz nienawidzi swego ojca!

Gwałtownie kręci głowę, targany emocjami. Odbija się ze skalistego falochronu, niezgrabnie uderza w wodę i daje się ponieść obojętnemu prądowi.

I nagle rozbłyskuje nad nim ostre światło: błękitne jak elektryczna iskra, palące. Lekko sfalowana Kashi odbija rozbłysk, rozbijając światło w szybko znikające smużki i kręgi. Chakrayalin unosi się w wodzie, odgarnia mokre włosy, wstrząśnięty zadziera głowę. Po wodzie przetacza się odległy grzmot. Nad chłopcem zawisa coś przerażającego - wielki, czarniejszy od nocy obiekt z karmazynowymi światłkami migoczącymi na obrzeżach. Nim Chakrayalin zdąży skulić się przed zagrożeniem, olbrzym odlatuje w porażającej ciszy ku wojskowemu lądowisku parę kilometrów na zachód od Pałacu.

- Okręt wojenny!

Przez chwilę Chakrayalin czuje się tak, jakby miał wyskoczyć ze skóry. Słona fala zaskakuje go z otwartymi ustami, powodując kaszel. Okręt przybywa do Pałacu wprost z orbity! Niemal niesłychane.

Część jego osobowości, dręczona i dręcząca się smutkiem, zauważa, iż w pokoju Adriel zgasło światło. Pojawiają się za to światła w zaciemnionych dotąd komnatach w części należącej do Dyrektora.

Chakravalin, dygocząc, płynie szybko przez mroczne wody. Objęła go stopę na wyszczerbionym stopniu na krawędzi *ghatu*, ale niemal tego nie zauważa. Nie ma ręcznika, więc zakłada swoją lekką tunikę i boso, ociekając wodą, pędzi ku budzącemu się Pałacowi.

hipersen

I cóż się z nimi stało, z tymi spadkobiercami Jasnego Wieku?

Na dziesięciu tysiącach rozsianych w kosmosie pyłków spadkobiercy Ziemi powrócili, przerażeni i rozgoryczeni, do najprymitywniejszych, najbardziej zacofanych plemiennych obyczajów.

Więc w plemiennym życiu nie ma mądrości? Czy trzeba oczerniać ten skromny, zrównoważony sposób na życie?

Osądź, co sam pamiętasz. Cóż w tym z dostatku? Jest tam troska, ubogacenie, szlachetność? Ci ludzie zaplatali włosy na kościach, wiązali je paskami kiepsko wyprawionej skóry, mamrotali w durnych rytuałach przed roslymi drzewami, jakie w obcej glebie posadzili ich przodkowie.

Mówisz tak, jakby wiele porzucili, aby móc żyć w wiecznym lecie.

Prędzej czy później do każdego świata, krążącego wokół Słońca, musi przyjść zima. Gdy przychodziła, oni palili książki, których już nie umieli czytać, w zamian za ulotne ciepło, jakie czerpali z tego świętokradztwa. Zabijali się kanciastymi, pordzewiałymi kawałkami metalowych machin, których naprawy nie śmieli się podjąć.

Imperium naprawdę może upaść? Jak to możliwe? Przecież coś tak wielkiego i potężnego powinno trwać wiecznie!

Nie. Runęło jak wielki, silny drab, upokorzony przez czas, z mięśniami zwiotczalymi jak sznurki. Upadło niczym dumna niewiasta, niegdyś piękna, o zniszczonej twarzy pokrytej makijażem klauna, ukrywająca utratę włosów pod peruką, konająca we mgle narkotyków i za-

przeczenia faktom.

Jakże znajome te metafory, jak ludzkie, zważywszy, kto je wypowiedział.

To było Imperium ludzi i zagłada, jaka je spotkała, nie miała w sobie nic niehumanicznego.

Więc było źle?

Imperium Galaktyczne umarło wśród dekadencji i kłótni. Padło w bratobójczych walkach, w zwarcjach ras. Planety i ich części były miażdżone przez pobratymców, by odplacić im tą samą monetą.

Tak przemija chwała światów?

Posłuchaj, człowieku. W rzeczywistości nie ma chwały w imperiach. Imperium to smętny, gorzki owoc narzucenia licznym władzy nielicznym.

Udowodnij to. Twe twierdzenia zaprzeczają wszelkim pogłoskom, jakie znam.

Dowód jest natychmiastowy. Z definicji każda planeta, na jakiej mogą spokojnie żyć ludzie, to samowystarczalne ciało. Oddychanie jej powietrzem jest przyjemne, z żyznej gleby wschodzą obfite plony...

Jako rzekłeś: „z definicji”. Moi pobratymcy nie osiedliby na planetach innych niż takie właśnie.

Osiedliby? Chyba raczej „zajęli”.

Nie będę się sprzeczał. Komu jednak „zajmowałibyśmy” owe planety? Wam? O ile pamiętam, Wszechświat był pusty.

Na tyle pusty, żeby twoi pobratymcy tłumnie go wypełnili. Pod dziewiczą powłoką każdej zamieszkałej planety znajdowały się mineralne bogactwa, a w oceanach dość słonej wody, by móc spełnić wszystkie sny o żeglowaniu.

Mimo całej tej samowystarczalności przyznasz, że zbiory z wielu światów są bardziej różnorodne, niż te z każdego z osobna?

To prawdopodobne, gdyż żadna planeta nie jest dokładną kopią innej.

Nie mówmy zatem o Imperium, gdyż to termin polityczny. Cóż jednak powiesz o zorganizowanym międzygwiazdowym handlu? To na pewno daje możliwość wymiany towarów luksusowych w stopniu dużo zaiste wyższym niż osiągalny na pojedynczym świecie.

Nie przeczę - im dziwniejsze, tym lepsze; im tańsze, tym lepsze. Są produkty, które po przeniesieniu przez rozgwieżdżoną otchłań można sprzedać za dowolną cenę. Na przykład odrażające narkotyki i jeszcze gorsze rzeczy.

A jednak handlarze technologią mogą rozprzestrzenić dorobek sztuk i nauk jednego świata na całą Galaktykę. Czyż nie w tym leży korzyść z imperium? Panuje pokój i dostatek!

Czy na pewno był to pokój? Albo chociaż dostatek nie tylko dla nielicznych? Za pokój imperium zawsze płaci się wolnością.

TERAZ

DAYTON, SYNU, TRZYMAJ SIĘ. JEŚLI NAS SŁYSZYSZ, RUSZ POWIEKAMI. NO DOBRA, TO ŻADEN DOWÓD. WIEMY, ŻE TAM JESTEŚ. TRZYMAJ SIĘ.

No super. „Trzymaj się”. A w mojej obolałej głowie szalały planety, galaktyki, koszmary, jak jakiś walnięty festiwal filmów science fiction.

Wracaj do rzeczywistości, Dayton. Do podstaw.

Budowałem sobie życie. No właśnie. Trzymać się. Myśleć, jak się wpakowałem w ten bajzel.

Myśleć o Tomie.

No dobra. Jakies pół roku, nim przyjechałem do Sydney, mój starszy brachol Tom przeniósł się parę granic dalej i zamieszkał w Surrey Hills. Robił habilitację na Uniwersytecie Sydney, coś o laserach gamma, namierzaniu obiektów w kosmosie i innych takich technicznych cudёнkach, potem wrócił do Terytorium Północnego i zajął się jakimiś supertajnymi badaniami z tatą i bandą Amerykańców w bazie, koło której mieszkaliśmy, na totalnym zadupiu. A w końcu wrócił do miasta, żeby kontynuować badania przy pomocy superkomputera na uniwerku. Nad czym pracował? Nie pytajcie. Aż mnie telepie, kiedy o tym myślę.

Mama, tata i ja pojechaliśmy do Sydney w ślad za nim, ale wprowadziliśmy się do wielkiego, zapuszczonego domu w Manly, na północ od portu. Ta dzielnica słynie z przyboju na plaży - raj dla surferów. W życiu nie widziałem tyle wody. Mało tego, nawet mi się nie śniło, że tyle wody może w ogóle istnieć w jednym miejscu.

Manly jest na tyle daleko od centrum miasta, żeby wytworzyć własną, komfortową (czytaj: „zadufaną w sobie”) atmosferę solidarnej społeczności, ale na tyle blisko, że ludzie nie biorą nas za wsioków. Zważywszy na to, że większość życia spędziłem w dziurze o rzut beretem od celu dla sowieckich atomówek (to było jeszcze przed pierestrojką), rzecz naprawdę uderzała do głowy.

Przypuszczam, że tak naprawdę rodzice zdecydowali się przeprowadzić ze względu na mnie - długo przedtem, nim zauważyłem to sam, stwierdzili, że mają na karku pogłębiający się przypadek towarzyskiego paraliżu. Mieszkaliśmy sobie w towarzystwie innych brodatych speców od laserów, tudzież wygolonych i odprasowanych ekspertów od bomb i rakiet - przeważnie Amerykanów, którzy trafiali do bazy na dwuletnie zmiany. Nikt prócz Australijczyków nie mieszkał tam na tyle długo, żeby powstała jakaś sensowna społeczność. Mój stary był jednym z amerykańskich naukowców, którzy założyli osiedle, i faktycznie mieszkał tam przez większość mojego życia.

Chodzi jednak o to, że kontyngent amerykański składał się w większości z nieżonatych mężczyzn, a ci, którzy mieli rodziny, najchętniej wracali z żonami i dziećmi do cywilizacji po paru latach spędzonych gdzieś, gdzie diabeł mówił dobranoc. Wojsko lubi stabilne, rodzinne osiedla, ale uważano, że Baza to jednak kiepskie miejsce na wychowywanie dzieci.

Dołożmy do tego parę genetycznych zbiegów okoliczności i wyszło, że w grupie do dwudziestego roku życia było wszystkiego siedem dziewczyn. Tak naprawdę, to żadna nie miała jeszcze nawet dziesięciu lat, kiedy obchodziłem siedemnaste urodziny. Regularnie tłukłem się z innymi chłopakami. W filmach mężczyźni biją się o kobiety i złoto, ale złota też tu nie było. Po prostu spędzaliśmy mnóstwo czasu, luzując sobie zęby.

Jak to ujmowała matka, błyskawicznie wyrastałem na dzikusa.

19 rok Imperium ...wspomnienie... trzy

Kiedy Adriel czekała, aż przyboczny pacholik zawiadomi o jej nadejściu, z półotwartych drzwi do komnat Tyranki niczym miód płynęła muzyka, dzieło orkiestry. Melodia była jej obca, nieznana, ale porywająca i bogata jak bukiet kwiatów. Adriel mimo woli rozwarła usta i westchnęła. Wiedziała na pewno, że to muzyka Starego Imperium. Coś w tych dźwiękach porywało ją jak wtedy, gdy była niesiona wicherem, uczepona targanej podmuchami balorośli ponad diamentowymi górami.

Rozległ się cichy, ale donośny głos: - Wejdz, dziewczę.

W progu stał majordom Tyranki, gestem zapraszając do środka. Zarumieniony i skłopotany pacholik patrzył oczyma jak spodki. Adriel odprawiła go machinalnie, niemal nie zauważając ślicznego odbłysku lamp pod wysokim sklepieniem we wpuszczonym w jego czaszkę pasku metalu, gdy się uklonił. W ślad za nienagannie ubranym majordomem udała się przed oblicze matki.

Tyranka Corydonu, władczyni planety Tiresias, stała przed koszmarnym zgromadzeniem stworów, których ciała były źródłem tej cudownej muzyki. Jej ramię wznosiło się i opadało, majestatycznie tnąc powietrze, kiedy wywijiała drewnianą pałeczką do taktu muzyki. Po chwili Adriel zauważyła, że nie do końca miała rację - ruchy wyprzedzały muzykę. Matka dyrygowała muzykującymi stworzeniami.

Majordom podprowadził ją ku orkiestrze, nakazując ciszę gestem dłoni w białej rękawiczce. Każdy z muzyków, dmących, bębniących, trących, dzwoniących czy dudniących ciał, był istotą ludzką... a raczej mógłby nią być, gdyby nie dokonane na jajeczkach manipulacje genetyczne.

Adriel nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na widok tego, co wyczyniali muzycy. Z tyłu po prawej stronie dziewięciu mężczyzn podpierało się wielkimi, płaskimi dłońmi, podczas gdy szczupłymi, ale niezmiernie silnymi nogami poruszali membranami wystającymi z ich nagich brzuchów. Wydawali z siebie głębokie, harmoniczne, pobudzające brzmienia. Przed nimi siedziało może dwudziestu mniejszych osobników, wydających smętne, łagodne dźwięki. Gdzie indziej istoty o podobnych kształtach pocierały ciała nogami podobnymi do owadzi, co dawało przeszywające, cudowne efekty, choć czasem dźwięk zbliżał się do górnej granicy słyszalności — i ku nieprzyjemnym doznaniom. Parę niedużych stworzeń z tyłu piszczało i buczało niczym pokrzykujące ptaki. Rzędy postaci o olbrzymich gardłach i przebudowanych nozdrzach wydymały się, by brzmieć uderzająco podobnie do instrumentów dętych. Uśmiech Adriel przeszedł w chichot, gdy zobaczyła siedzących z tyłu brzuchaczy, najwyraźniej wielce z siebie zadowolonych, którzy okładali swe wydęte brzuszyska twardymi piąstkami, wypełniając komnatę dudnieniem.

Ot, standardowy cud genetycznego projektowania na Tiresias, orkiestra pierwszej klasy, której muzycy byli równocześnie instrumentami. Dla Adriel prawdziwą niespodziankę stanowił widok jej matki, Tyranki Corydonu, wymachującej ręką przed swym przetworzonym ludem.

Ostatni gest - muzyka sięgnęła szczytu, zadrzała i ucichła. Trzej czy czterej dworzanie obecni w komnacie zaklaskali. Adriel dopiero teraz dostrzegła, że wśród nich znajdowała się też Nadmistrzyni Krzyżowań, i jej żołądek skurczył się nagle.

- Dziękuję wam, panie i panowie. Zrobimy chyba przerwę na lunch. Po powrocie spróbujemy wziąć się za *allegretto*.

Tyranka odprawiła muzyków, obróciła się i stanęła na moment, a dwaj pacholikowie błyskawicznie zakrzętnęli się wokół niej, układając włosy i poprawiając podwiniete rękawy. Majordom szepnął jej coś do ucha. Tyranka przeszła córkę twardym, lodowatym spojrzeniem.

- Córko.

Niemal niewidoczny gest sprawił, że podsunęto dwa krzesła. Tyranka zasiadła w jednym i bez ruchu czekała, aż Adriel podejdzie i niepewnie zajmie swoje miejsce.

- Dzień dobry, Matko.

- Sprawiałaś kłopoty.

- Nie wyjdę za niego! - wypaliła Adriel. - To niepojęte. Wyślij jedną z pomniejszych córek. Czemu miałyby...

Wtedy Tyranka uśmiechnęła się i wyciągnęła swą mocną, czarną jak mahoń dłoń, by ująć i przytrzymać białą dłoń córki. Kobieta, która parę chwil temu była jak dwumetrowy posąg z obsydianu, w mgnieniu oka przeobraziła się w matkę, której obowiązki zbyt często, ku jej nieopisaniej zgrzyocie, zatrzymywały ją z dala od tych, których kochała. Prawie podziałało.

- Wiem, maleńka. Chciałabym, żeby mogło być inaczej. Wszystkie jednak jesteśmy zabawkami losu, Adriel.

Ta prychnęła. Sam pomysł, żeby jej matka była czyjąkolwiek „zabawką”, nawet w tym wyrachowanie łagodnym nastroju, był śmieszny. Jej niepokój minął bez śladu.

- Nie mam zamiaru być „zabawką”, jak to celnie ujęłaś, Matko, dla syna rzeźnika z Shirampuru.

Tyranka odsłoniła białe zęby. Może był to tylko uśmiech matki do córki.

- Jesteś najdoskonalszym z naszych stworzeń, Adriel. Myślisz, że obdarowałyśmy cię wszystkimi tymi cudownymi zdolnościami tylko po to, żebyś rozkochiwała w sobie pacholików i przypadkowych biochemików?

- Tormaline nie jest „przypadkowy”! To mój najdroższy przyjaciel. Ja... Ja go Kocham! - Poniesiona emocjami, była o włos od płaczu. - Prędeż umrę, niż go zostawię! Matka zawsze miała na nią tak dziwny wpływ. Adriel potrafiła bez wysiłku naginać innych do swej woli, nawet nie wiedząc, jak to robi. Tyranka była jednak odporna na jej moc. Może ta odporność była wpisana w jej DNA.

- Phi! - Matka nie kryła sarkazmu - Pozwól, dziecko, że o czymś cię zapewnię: choć Tormaline to całkiem miły chłopiec, po roku od ślubu zaczęłabyś marzyć o śmierci.

Adriel pociągnęła nosem i wytarła go w płócienną chusteczkę, podsuniętą przez troskliwego dworzanina. To akurat mogła być prawda. Tormaline zrobił się ostatnio jakiś nudny. Nic, tylko chciał mówić o...

- Ależ Matko, nie o to chodzi! Musiałabym odlecieć z Tiresias! Sprzedajesz mnie jak zarodową klacz bydlakowi, który chce puścić naszą planetę z dymem!

Tyranka wpatrzyła się w nią, śmiertelnie poważna.

- Dlatego właśnie twym obowiązkiem jest poślubić jego syna. Jesteś moją ukochaną córką, Adriel, i zawsze nią będziesz. Jesteś jednak równocześnie czymś więcej. To twoje brzemię, i twój zaszczyt.

Wstała, przygarnęła Adriel i objęła ją mocno.

- Kochanie, musisz odejść i poślubić Chakravalina Chakravatina ze Shirampuru, bo jesteś jedyną bronią, jaka może ocalić nasz świat przed tym rzeźnikiem, który jest jego ojcem.

hipersen

Co się stało ze statkami kosmicznymi Imperium po jego upadku?

Zniszczone w bitwach, w znacznej większości. Reszta? Bezużyteczna, bo software 'owy oręż unicestwił ich sztuczne umysły. Czyż można się dziwić, że Wojny Unicestwienia złamały ducha ludzkości? Twój lud odwrócił się od gwiazd w gorzkiej rozpacz, jaka zawsze panuje w Mrocznych Wiekach.

Tylko na jakiś czas. Niebiosa są już czyste.

Od czasu tych krwawych wydarzeń minęło tysiąc lat. Zdajesz sobie sprawę, jak długi to czas - dla człowieka?

Myślę, że mam pewne pojęcie.

Możliwe. Nie wszyscy jednak są tacy jak ty w tej fałszywej rzeczywistości, w mai - świecie złudzeń. Tysiąc lat dało czas czterdziestu pokoleniom, by znów zatęskniły za gwiazdami. I tym razem wasi badacze, po omacku zapuszczający się w połatanych, starożytnych statkach, niezdatnych kopiach starych, pordzewiałych kosmolotów, nie znaleźli pustego wszechświata, biernie czekającego na podbój przez ludzi.

On nigdy nie był dosłownie pusty, skoro twierdzicie, że byliście tam przed nami.

To prawda, ale ludzie nigdy nie zdołali spojrzeć na nas jak na rywali. Obawiam się, że muszę za to winić... jak by to ująć? - naszą skłonność do zagadek i ironii.

Waszą kapryśność.

Dobrze powiedziane. W każdym razie na każdej zdatnej do zamieszkania planecie, od końca do końca galaktycznej spirali, od furii Czarnej Dziury Centrum po chłodne, pyliste peryferia, nowi podróżnicy spotykali swych zapomnianych braci i siostry, rozsianych z Matki Ziemi

dwadzieścia tysięcy lat wcześniej.

I wszyscy byli na nowo imperialistami? Sami łupieżcy, misjonarze, kupcy? Żadnych poetów czy tych, co marzą o pokoju?

Rzecz jasna, jak zawsze znaleźli się i ci. Jak też silni ludzie na podobieństwo ojca Chakraualina, brutalni, pazerni i krzykliwi, pijani ambicją, która ich roznosiła. Oni znów marzą o Imperium.

Wygląda na to, że muszę być na niego przygotowany.

Rzeczywiście, ale tylko wygląda. Wszyscy jesteście jednością, tak jak i my.

Któż zatem do mnie mówi? Kto mi to wszystko opowiada?

Mysmy są Kleth, stary człowieku. Jestem wora matka Smutna Góra.

Ach! Teraz cię poznaję. Jesteś najwspanialszym z mych pomysłów.

A ty- moich.

Ja? Kimże zatem „ja” jestem?

Nieszczęsny człowieku, tego naprawdę dowiesz się dopiero na końcu. Jesteś niczym więcej i niczym mniej niż każdy z nas, zaginionych w tym labiryncie, w tym śnie, w tej straszliwej maszynie.

Nie, wom matko, odmawiam ci tej odmowy. Dowiem się! DOWIEM SIĘ!

O tak, dowiesz się. Powiem ci dokładnie:

Oto, jak zaczyna się koniec wszystkiego, w goryczy i nadziei. Syn powstanie przeciwko ojcu, który ukradł jego miłość. Światy rozpalone łękiem przed wojną dostaną ofertę prawdziwego pokoju, za cenę, jakiej być może nigdy nie pojma. A bez wątpienia w swoją własną, zaginioną przeszłość sięgnie człowiek stary niczym głazy świątyni, by cisnąć grom w przyszłość historii.

Kim jestem: owym ojcem? Synem? Czy jestem tym duchem z przeszłości?

Jednym z nich, Dayanando. Przynajmniej jednym z nich.

TERAZ

Kiedy nie tłukłem moich kumpli (albo oni mnie) i nie byłem zajęty wybrykami, które siały terror w Bazie, ani nie konstruowałem modeli rakiet, które odpalałem na pustyni tak, jak moi starzy robili z pełnowymiarowymi pociskami, to korzystałem z kablówki podłączonej z Bazy do wszystkich domów - i marzyłem o dziewczynach.

Te marzenia były wybitnie realistyczne, barwne i szczegółowe, choć w kluczowych punktach z racji braku danych obraz robił się dość mglisty. Nie chodziło o anatomię - chłopaki z Bazy byli w tym oblatani. Raczej o sprawy towarzyskie, na przykład: jak zagadać?

Moje marzenia były wiernym odbiciem filmów, pokazywanych co sobotę w ośrodku

kulturalnym w Bazie, oraz oper mydlanych, które oglądałem, kiedy nie zajmowałem się całą tą działalnością społeczną, o której mama miała złe zdanie.

W marzeniach byłem zatem jednym z tych herosów, których okrutne spojrzenia sprawiały, że ponętne dziewczyny stały się u ich stóp w uwielbieniu.

Nie była to zupełna parodia. Szczerze mówiąc, nawet mógłbym robić za herosa. Goniłbym po pustyni, bijatyki, popisy i wariackie pompowanie na siłowni (zająłem się tym zamiast zwykłymi sportami, bo chłopaków było za mało, żeby sformować jedną drużynę do baseballa, futbolu, ba, nawet krykieta, a co dopiero dwa zespoły) - to wszystko naprawdę idzie w mięśnie, a opaleniznę miałem już chyba na stałe.

Dzięki temu w moich marzeniach nie musiałem się szarpać pod górę. Wszyscy ci kurduple i grubasy w okularach też pewnie marzą o tym samym, bo oglądali te same filmy w kinie i telewizji, ale tak naprawdę w to nie wierzą.

A ja popełniłem błąd i uwierzyłem. Wtedy kłapa boli dwa razy mocniej. Auć. No dobra. Wojskowy samolot zabrał nas do Layerton, potem zawieźli nas do domu w Manly, gdzie tata zawczasu przesłał większość mebli i innych kłopotów, kiedy przez tydzień przemęczyliśmy się w mieszkaniu zastępczym w Bazie.

Nienawidziłem nowego domu.

Było wilgotno, cięły moskity, a wokół zbyt wielu ludzi - każdy wrzeszczał, trąbił, wpadał jeden na drugiego; zresztą nienawidziłem też tych zupełnie innych, tych, którzy się nie odzywali. Mijałem ich dwa razy dziennie, a oni patrzyli na mnie jak na powietrze, bez powitania czy choćby skinięcia głową. Chore. To nie miejsce dla ludzi.

W dodatku wszędzie były dziewczyny. Koszmar.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... cztery

Chakravalin zwalnia do szybkiego marszu, jeszcze przed osiągnięciem łukowatego podejścia do sypialnianego skrzydła Pałacu. Przyćmione lampy łagodnie podświetlają stary kamień balustrady. Nagie stopy klaszczą o chłodne stopnie. Chakravalin czuje drżenie głęboko pod nogami - to wibracje spowodowane hamowaniem pakietu, przesłanego ślizgorurą z ładowiska, albo właśnie tam wracającego z ponaddzwiękową prędkością po rozładunku.

Mijając nory snu filozofów Kleth, Chakravalin jeszcze zwalnia kroku - obcy budzą w nim niemal nabożny lęk i szacunek.

W nocne niebo strzela bryzg spulchnionej ziemi. Grudki sypią się na włosy i ramiona Chakravalina jak czarny deszcz, kiedy Kleth wynurza się z cienistej nory, niczym pocisk odpalony z wnętrza ziemi. Młodzieniec krzywi się i otrzepuje. Głęboki głos wynurzającej się wom zatrzymuje go, potężny i niezaprzeczalny jak spadająca na ramię ręka wojownika.
- Wciąż milczysz, Chakravalinie Chakravatin?

Chłopiec obraca się niechętnie. Do połowy wynurzona ze zrytej ziemi, niczym wielki, ślepy kret, filozof Kleth obraca swój owalny łeb w jego kierunku. Nawet w półmroku, panującym tu

o tej porze, Chakravalin rozpoznaje ją bez problemu.

- Witaj, Smutna Góro.

Wolałby już ruszać dalej, ale nie śmie urazić wom. Kleth wysuwa się jeszcze trochę wyżej, z jej szerokich barków sypie się więcej ziemi.

- Wiesz, nasz pobyt na Rishipatanie już się prawie skończył - Smutna Góra mówi po namyśle. Gdyby nie to, że jest ślepa, Chakravalin uznałby, że ma lekko rozbawioną minę, ale cały czas go szacuje i ocenia. U ludzi widać to w spojrzeniu. Nie wiedzieć czemu i tak wie, że nie myli się co do niej.

- Wygląda na to, chłopcze, że twój nastrój wcale się nie poprawił.

Dziedziec patrzy na brązową sylwetę obcej. Jego oczy są najzupełniej sprawne, choć umysł jest zajęty czym innym.

- Należysz do głównych doradców mego ojca, wom matko, ale nie widzę powodu, dla którego miałby cię obchodzić mój stan ducha.

Kolejny rozbryzg kamyczków i gleby. Kleth wydobywa się z ziemi, rusza ku balustradzie jak jakaś niepowstrzymana siła natury. Kładzie jeden przerażający, kopiający szpon (zaskakująco czysty) na prawym ramieniu Chakravalina. Mogłaby go rozedrzeć na sztuki jednym szarpnięciem.

- Najwyższego Władcę martwi twoje milczenie i opryskliwość.

Dziedziec nie próbuje ukrywać rozgoryczenia. Strąca ciężki szpon wom, podciąga się na marmurowe zwieńczenie muru i opiera o kolumnienkę.

- Gdyby Jego Wysokość Dyrektor Shirampuru raczył zwrócić większą uwagę na własne sumienie, wszechświat byłby szczęśliwszym miejscem.

Urażony, ale i zezłoszczony na samego siebie, zeskakuje z powrotem na ścieżkę. Znów ląduje na nim szpon Kleth, więc musi stanąć.

- Możesz mi się zwierzyć. - Nieludzki głos Kleth jest pełen zrozumienia, brzmi w nim pociecha i siła. - Chodzi o Adriel, prawda?

Obraz wdziera się w umysł chłopca w burzy szalejących uczuć: jego piękna ukochana Adriel - i ojciec, Imperialny Dyrektor, w swojej sypialni, w komnatach Władcy. Chakravalin nie potrafi oderwać myśli od tego, czego się lęka i czego nienawidzi, o czym wie i usiłuje zaprzeczyć: odrażającego widoku nagiej Adriel w łożu Jagannathy...

- Płacz, chłopcze - mówi mu wom. - Ofiara z wody by ukoić własny smutek to dobra rzecz, synu.

I Chakravalin zdaje sobie nagle sprawę, że nie wiedzieć kiedy trafił do gniazda wom, kłęczący na spulchnionej ziemi, z twarzą wtuloną w gęste, brudne futro Kleth. Wyje w udręce, aż czuje, że chyba pęknie mu serce.

- Wydaje ci się, że jesteś słaby - wom mówi prosto do jego ucha, ciepła, wspierająca, bez cienia osądu czy potępienia. - Chakravalinie, masz w sobie moc, może większą, niż to się kiedykolwiek zdarzyło twemu ojcu.

- Nie... - Jego głos jest stłumiony, niewyraźny. Na wargach czuje ciepłą, wilgotną sierść. -

Ja... Adriel...

Nie może mówić.

- Twój ojciec ci to zrobi - przytakuje wom. – Wiesz o tym. Chciał sprawić, żebyś nie mógł sobie poradzić bez innych. Nie pozwolił ci stanąć na własnych nogach. Nie udało mu się jednak.

- Chyba jednak się mylisz. - Dziedzic czuje, że serce rozdziera mu wstyd i bezużyteczna nienawiść. - Jestem... niczym.

- Twój jedyny problem to nadmierna skłonność do uzalania się nad sobą - mówi Kleth. - Zobaczysz. Kiedyś wszyscy będziemy z ciebie dumni.

Przemiana poraża - jak gdyby zimna woda zmieniała się w tafłę lodu albo ciepła w gorącą parę, praktycznie natychmiast. W mroku nory Chakravalin staje u boku olbrzymiej obcej i patrzy w jej bezoką twarz. Z niezmiernym zaskoczeniem stwierdza, że jest tak spokojny, jak nigdy w ciągu ostatnich tygodni, wręcz miesięcy. W tej chwili z jego rysów znika opryskliwość nastolatka.

- Przyjmij moje przeprosiny, Smutna Góro. Dziękuję, wom matko.

Chwyta marmurowy szczyt muru, znajduje punkt odbicia i lekko wyskakuje z gniazda. Bezgłośnie ląduje na kamiennych stopniach. Nie ogląda się wstecz, szybkim krokiem zmierzając do swoich komnat.

Przez parę chwil wiekowa Kleth tropi go zmysłem, jakiego nie ma ani nawet nie wyobraża sobie żaden człowiek. Udana zmiana, jaką udało się wprowadzić w charakterze chłopca, cieszy ją i nieco zaskakuje. Z głębokim westchnieniem satysfakcji wbija się znów w ziemię, ku norze, przez przyjemnie chłodną glebę Rishipatany.

hipersen

Imperium to coś tak olbrzymiego. Czy może upaść całkowicie, w jednej chwili zamienić się w ruinę?

Być może wraca ci pamięć, Nie sądzę. To kwestia logiki.

Twoje przypuszczenia są słuszne. Jedna planeta uniknęła upadku Imperium.

Ha! „Uniknęła"! Przecież uważasz imperia za chorobę, a ich upadek za wyleczenie. Czy ktoś mógłby „uniknąć" wykurowania się z choroby?

Bez wątpienia posłużyłam się zbyt łagodnym słowem. Ów świat uniknął upadku tak, jak przestępca w celi śmierci mógłby uniknąć egzekucji, gdyby trzęsienie ziemi zabiło wszystkich strażników, skazując go na głód i szaleństwo...

Jak się nazywał ten świat?

Jego nazwę wykleto. Wymówienie jej było jak obelga. No tak. Takie miejsce mogłoby przetrwać każdy koszmar.

Ale za jaką cenę? Przed i po upadku ludzkość gardziła tą planetą, która słyęła ze swej ohydy. Była napiętnowana, objęta kwarantanną jak dusza potępiona za grzechy, jakich dopuścili się jej mieszkańcy.

Jeszcze raz spytam: jej nazwa?

Tiresias. To Tiresias o górach z diamentów wysokich na dwadzieścia kilometrów, gdzie powietrze kęsa jak owocowy sorbet w promieniach słońca rażącego białobłękitnym blaskiem niczym elektryczny palnik.

Czyżby zbrodnia, jakiej się tam dopuszczono, była aż tak wyjątkowa?

Jeśli była jedna zasada, jeden imperatyw, jeden absolutny dekret wyznawany jak świętość na milionach planet starego Imperium, to właśnie ten, który tam pogwałcono: „Nie będziesz ingerował w ludzkie DNA!”.

O ile pamiętam, wiele było zakazów. Żaden nie uchował się przed pogwałceniem. Czyż morderstwo, najstarszy wszak z grzechów ludzkości, też nie było wszędzie zakazane?

Wszędzie, ale...

...ale co noc programy informacyjne niosły wieści o mężach, którzy zabijali swe żony, nieprawdaż? Opowieści o bandytach, którzy użyli broni przeciwko tym, co ich ścigali. Morderstwo zawsze było zbrodnią i zawsze należało do głównych rozrywek ludzkości.

Ich zbrodnia była bardziej ohydna od morderstwa, bardziej odstręczająca.

Ohydniejsza od gwałtu? Od zdrady? Zgoda, w każdym kodeksie są to zbrodnie główne - i, co smutne, wszędzie są powszechne.

Tylko jedno przestępstwo było zawsze zwalczane bez litości. Tylko jedno było niemal dosłownie niewyobrażalne: zmiana ludzkiego kodu genetycznego. Zmiana embrionów, czy nawet haploidainego DNA sprzed chwili poczęcia.

Zmiana nienarodzonych dzieci... w co?

Coś więcej albo coś mniej niż istoty ludzkie.

I to właśnie robiono na Tiresias?

Kiedy upadło Imperium Ziemi, przez cały ten długi, bolesny upadek w barbarzyństwo jeden zbuntowany świat od dawna już nie należał do ludzkiej wspólnoty.

Aha! Stąd i jego unikalność.

W gorczy osamotnienia, w dumnej, samotnej odmienności mieszkańcy Tiresias uniknęli przynajmniej części powszechnego upadku.

Nie zapomnieli swej wiedzy?

Owi wygnani magowie genetyki dawnej Wielkiej Ziemi przez wieki mroku troskliwie strzegli skrawków swej zakazanej wiedzy. A kiedy zaczęły się wykluwać nowe imperia, kiedy wojownicy z planet obrzeża z wyciem rzucili się z powrotem ku centrum Galaktyki, laboratoria magów wydały swoje najwspanialsze osiągnięcie.

Dziecię ludzkie, które nie było człowiekiem?

Oto jeden z powodów, dla których musisz odzyskać pamięć. To jedna z bierek, których będziesz potrzebował w końcówce gry. Może najpotężniejsza z nich. Skorzystasz z jej bezprawnego powstania, zanim jeszcze tu skończymy.

A więc to gra?

Najwspanialsza i najstarsza z gier. Modlimy się, byś nie przegrał, bo z tobą przegra wszystko, wszystko znów przepadnie w tym labiryncie, wszystko będzie żyć w nieskończoność, bez chwili snu. Musisz pamiętać, pamiętać, pamiętać...

TERAZ

Tkwę w tym mroku i po głowie chodzą mi tylko dziewczyny. Boże drogi.

Przez nie waliło mi serce i pociły się dłonie. Zrobiłem się taki jak wszyscy - nie potrafiłem patrzeć im w oczy. Jakże inaczej? Przecież mnie przerażały.

Jeśli chodzi o plany na przyszłość, to idea była taka, że ostatnią klasę liceum miałem zacząć w lutym, po letnich wakacjach, w całkiem niezłej, zorientowanej na przyszłych studentów szkole, parę mil kolejką od domu.

- Prawdopodobnie już przerobiłeś większość programu - stwierdził tata. - Robiłem z tobą materiał w przyspieszonym tempie, więc może się okazać, że zajęcia szkolne zostawią ci dużo luzu. Jeśli tak będzie, znajdę jakieś dodatkowe lektury, żebyś się nie byczył.

Jęknąłem najciszej, jak tylko można jęknąć. Stary ma dobre chęci, tylko zapomniał już, co to zabawa.

- Rozmawiałem z kierownikiem twojej nowej szkoły, Dayton. Zgodził się ze mną. Mógłbyś pewnie już w tym roku zdać egzaminy końcowe i zaraz po wakacjach zacząć studia na uniwerku, ale obaj stwierdziliśmy, że potrzeba ci więcej czasu z rówieśnikami.

Zerknął na mnie ponad okularami. Nie dodał: „Między innymi po to przeprowadziliśmy się do Sydney”, ale byłem pewien, że o tym myślał.

Czasem zastanawiam się, czemu nie wysłali mnie do jakiejś szkoły z internatem w większym mieście, skoro takie mieli priorytety. Może tata nie dostrzegał problemu do chwili, kiedy Tom wyjechał z domu, bo wtedy nagle zrobiłem się bardzo widoczny: wielgachne stopy na stoliku przed telewizorem za każdym razem, kiedy tamtędy przechodził, albo pięknie podbite oczy po drugiej stronie stołu przy obiedzie.

Tak czy inaczej, miałem przed sobą parę miesięcy cudownej letniej idylli przed rozpoczęciem zajęć, a Tom obiecał, że wprowadzi mnie w towarzystwo.

Starszy brat się nie wywiązał. Przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażałem. Zrąbał się, kretyn, z tej obrotowej anteny i mało brakowało, a przejechałby się na tamten świat.

Nie wiedziałem, że pracował nad tajemnicą Marsjańskiej Twarzy.

Nie wiedziałem, że to się dla mnie tak skończy.

Eeechch.

19 rok Imperium ...wspomnienie... pięć

W szaleńczym wirze przygotowań, pożegnań, samej podróży (na orbitę, do olbrzymiego okrętu Dyrektoriatu czekającego tam tylko na Adriel i jej siostrę, a potem dalej, już ku Shirampur) - wśród tego pandemonium Adriel ze szczętem zapomniała, że wołałaby raczej umrzeć. Jej namiętne deklaracje gdzieś wyparowały, znikły jak poranna mgła.

Zgoda, przeszlochali z Tormalinem cały wieczór, przyrzekając, że nigdy o sobie nie zapomną. Zgoda, przez jakieś trzy dni pobołeowało ją potem serce, ale w końcu obudziła się w fenomenalnym łóżu w swojej kabinie i stwierdziła, że ból minął. Lek ustąpił przed czymś na kształt ciekawości, niemal niecierpliwości, kiedy w końcu ujrzy tę straszliwą planetę i władające nią bestie.

Członkowie załogi „Kartiki” nie wyglądali na zezwierzęconych. Kiedy już oswoiła się z ich obcym akcentem, stwierdziła, że byli równie mili i czarujący, co najprzyjemniejsi z jej dotychczasowych znajomych. I to miał być wróg? Jak to możliwe? Każdego „wieczora” Adriel jadła kolację przy stole kapitana, i bez wątpienia stanowiła ozdobę tej podróży.

Rzecz jasna w kosmosie nie było dni i nocy, tym bardziej w nadprzestrzeni, ale dla wygody zachowano starą miarę czasu, tylko podzieloną na czterogodzinne wachty, te z kolei prześmiesznie składające się z ośmiu półgodzinnych „szklanek”. No i, rzecz jasna, nie był to rejs wycieczkowy, bo któż mógł wiedzieć, z jakiej koszarnej misji odwołano ten okręt, by przewiózł oblubienicę Ministrowa?

Adriel przekonała się, że jej dar także nie zawodził. Wciąż ułatwiał jej każdy krok, jak gdyby przodem biegł jakiś łysy i pyzaty kuchcik, rozsypując wonne kwiaty i słodkie uśmiechy.

Sporo dowiedziała się od niemłodej już żony jakiegoś Biurokraty przy kolacji, na której do warzyw w curry i ryżu dostała doskonałą herbatkę ziołową. Jak wszyscy, kobieta ta miała ładną, szeroką twarz o brązowej karnacji zupełnie niepodobnej do bladomlecznej cery Adriel czy hebanowych rysów jej matki. Madam Govardhana upięła swe gęste, siwe włosy w wysoką fryzurę, podtrzymywaną grzebieniami i jedwabiem wykwińskiego sari.

- Dziecko, o naszym systemie kastowym ludzie wygadują niestworzone rzeczy - mówiła między kolejnymi kęsami. - A przecież nie ma bardziej naturalnego sposobu życia. Na chwilę opuściła wzrok, mierząc Adriel posępnym spojrzeniem, po czym dodała równie mrocznym głosem:
- Choć „naturalny” to zapewne nie jest komplement na Tiresias...

Adriel nie obraziła się. Ostrzegano ją, że z takimi potwarzami przyjdzie się jej najczęściej spotykać. Rzuciła lekko: - Nie wydaje mi się, żeby loty w statkach kosmicznych były czymś naturalnym, nie sądzi pani? Dla mnie jednak to czysta przyjemność.

Zawsze czujny kapitan wsparł jej perlisty śmiech własną basową nutą.

Madam Govardhana, acz niezupełnie przekonana, podjęła temat.

- Rzekłabym, że nie do nas należy osąd. Proszę jednak zobaczyć, jak idealnie nasz układ społeczeństwa odzwierciedla porządek wszechświata.

Zaczęła rozkładać na stole sztuce i drobne naczynia jako pomoce naukowe dla Adriel, symbole czterech warn - klas pierwotnych i ponownych narodzin: braminów, najwyższej, kapłańskiej kasty, kszatrija - wojowników, wajsja, czyli kupców i rolników oraz śudra, służących.

- Pod nimi wszystkimi są dasyu - rzuciła. - Oni nie należą do żadnej kasty, są więc niczym dzikie zwierzęta. Ci, którzy niosą innym naszą cywilizację, powinni zatem poskromić ich albo wybić.

Ja też jestem dasyu? - zapytała Adriel nieśmiało.

Madam Govardhana spojrzała na nią przerażona i gwałtownie pokręciła głową. Ależ skąd, Adriel bez wątplenia była honorową członkinią kasty braminów, skoro miał ją poślubić syn samego Dyrektora. Adriel drażyła dalej: czy Jagannatha i jego syn nie powinni być raczej kszatrija, niż braminami, skoro pochodzili z rodu wojowników?

Madam Govardhana splonęła rumieńcem i zmieniła temat.

Okręt pozostał na orbicie nad Shirampur - był zbyt duży na burzliwe przedzieranie się przez atmosferę, zresztą w ogóle nie był do tego zaprojektowany. Adriel i jej gromadka służących, nauczycieli i bon wraz z kilkoma innymi uprzywilejowanymi pasażerami z wyższych kast poleciecieli na powierzchnię kutrem. W czasie lotu ekrany pokazywały krajobraz - żaden okręt, nawet mały i zwinny kuter, nie może sobie pozwolić na luksus delikatnych okien czy choćby bulajów. Świat uważany przez wielu za jądro nowo powstającego Imperium rozpościerał się pod nimi jak lśniący błękitem półkula. Po jakimś czasie już nie opadali, tylko szybowali. Ziemia przemykała pod kutrem. Przelecieli nad miastem Orissa i płynącą przezeń olbrzymią rzeką. Adriel zapatrzyła się na przepiękne, barbarzyńskie budynki poniżej. Miała wrażenie, że właśnie ciśnięto ją w jakąś szaloną baśń.

Wreszcie wylądowali, niemal bez wstrząsu. Przyciąganie nieco się wzmogło. Otworzyły się luki. Do środka dostało się obco pachnące powietrze i snop światła, odrobinę mniej zabarwionego błękitem niż na Tiresias. Pilot -porucznik — wyszedł z kabiny, by uścisnąć jej dłoń i życzyć powodzenia. Na szczycie schodków stał bosman i dał w gwizdek, aż zeszła na ziemię. Wszędzie kręcili się robotnicy w szarych ubraniach, nie podnosząc wzroku podczas wyciągania bagaży. Adriel też niemal ich nie dostrzegła, tak samo jak wyprężonej na baczność gwardii honorowej w wykrochmalonych mundurach. By ją przywitać, przybyło około tuzina dyplomatów i innych urzędników, a wśród nich stał młodzieniec w skromnej kurtce kadeta Marynarki. Adriel poczuła, że jej serce wywinęło salto.

Był piękny.

Spojrzał na nią, uśmiechając się nieśmiało. Po chwili odpowiedziała olśniewającym uśmiechem.

Omali nie kiwnął głową, ale rozmyślił się i uniośł dłoń, by pomachać.

Wciąż jeszcze schodziła przez powietrze i słońce Shirampur, ale resztki lęku i udręki, jakie miała jeszcze w sobie, rozwiały się w końcu jak mgiełka w wiosennym wietrze, jeszcze zanim

postawiła stopę na betopłacie lądowiska.

- Dzień dobry, Wasza Godność - odezwał się jeden ze starych sztywniaków. Ujął ją za dłoń. Adriel patrzyła na młodzieńca. Chakraalin Chakravatin. Jakie piękne nazwisko.

Uklonił się. Odpowiedziała tym samym, zarumieniona ze szczęścia. Dar Adriel wykrył jej nastrój i wzmocnił go, tłocząc przyjemność w powietrze niczym perfumy. Wszyscy wokół zaczęli się uśmiechać. Nawet ponurzy śudrowie oderwali się od swej pracy, odświeżeni, i pokręcili głowami, zaskoczeni nagłym przyływem dobrego humoru.

Adriel z Corydonu znów się zakochała.

hipersen

To ona jest tym... eksperymentem?

Tak, Adriel, córka Tyranki Corydonu. Czy raczej byłej Tyranki, bo Shirampur rozwiął złudzenia władców tej planety.

Wstrząsające. Władczyni Tiresias zezwoliła na genetyczne manipulacje na własnym dziecku?

Aby osiągnąć pewien cel. Ten spisek trwał od wielu lat. Adriel miała, być jego narzędziem, ale nic w tym niezwykłego. Wszystkie dzieci arystokratów są narzędziami dynastii, w których się urodziły. Magowie z Tiresias dali jej urodę tak olśniewającą, że mogłaby zatrzymać akcję twego serca. Dali jej umysł obdarzony błyskotliwym, przenikliwym intelektem. Jednak wszystko to było mało.

Masz rację, wielu posiada ten dar. Musieli więc dać jej... coś ponadto?

Pewien talent. Dar całkowicie nieprawdopodobny.

Czy z góry znali jego działanie?

Tylko bardzo ogólnie. Uczynili z niej lustro i władczynię najgłębiej skrywanych uczuć innych osób. Jest ekranem, na którym uczucia osób przebywających w jej pobliżu były po wzmocnieniu wyświetlane niczym obrazy. Co więcej, ma moc narzucania własnych uczuć, w ten sposób kształtując to, co czują inni.

Słyszałem o czymś podobnym. To... to Kameleon. Emota.

To nazwy z mitów, z czasów dawnego Wielkiego Imperium. Magowie z Tiresias postanowili przekuć mit w historię. To najbardziej zakazany z wszelkich darów, bo ludzie nie mają przed nim obrony.

Czy było to pomyślane jako broń?

Z początku, być może, jako metoda obrony. To talent, którego ona może używać, kiedy zechce.

Ach, tak. W rzeczy samej, obrona idealna. Któż mógłby stanąć przeciw niej? Wszyscy muszą ją kochać. Nie mają wyboru.

Rzecz jasna, to miłość braterska, platoniczna, chęć niesienia pomocy.

Oczywiście. Jej podświadomość nie zechce przekazywać obrazów żądz.

Ma się rozumieć. Niewielki pożytek byłby z pobudzenia nieposkromionej żądz gwałtu w każdym mężczyźnie w zasięgu działania talentu.

A jednak zasiada przy stole Dyrektora jako jego kochanka. To jest jej rola? Mówimy więc o sprokurowanej tragedii?

To jeszcze bardziej poruszający przypadek. Władcy Tiresias posłali ją, by uwiodła słabeusza, syna ich najbardziej zajadłego wroga Jagannathy, i wydawała mu rozkazy. Nie śniło im się to, do czego doszło, kiedy Adriel trafiła w orbitę oddziaływań tego potwornego starego rzeźnika i jego zmiążdżonego psychicznie dziecka.

TERAZ

W dniu, kiedy Tom spadł z radioteleskopu przekazującego dane z Marsa do superkomputera Cray na jego wydziale, chirurg spędził trzy godziny, wydłubując odłamki kości z poskręcanej nogi, po czym musiał pod znieczuleniem wstawić stalowy pręt, żeby zmasakrowane mięso trzymało się w kupie. Kiedy przyszedłem w odwiedziny, Tom był zmulony od pentotalu, a jego noga wyglądała jak rzeźba z gipsu, sięgająca od palców do pasa. Można by się spodziewać, że jego życie towarzyskie nieco na tym ucierpi.

Kto tak myślał, nie znał Toma.

Ja go znałem. Wiedziałem, czego się spodziewać. Sukinkot. Farciarz, cholera.

Przychodziły nie jedna, nie dwie, ale trzy urocze i atrakcyjne młode damy, dzieląc między siebie rozrzucone po zegarze godziny odwiedzin. Przynosiły mu owoce, książki i stosy obliczeń na olbrzymich wydrukach komputerowych. Rzecz jasna, nie byłem w tej samej lidze co one choćby dlatego, że miały co najmniej dwadzieścia parę lat.

O dziwo, nawet wtedy nie zdawałem sobie do końca sprawy z tego, jak poważny miałem problem. Wciąż nie spotkałem żadnej dziewczyny w moim wieku, ba, nawet nie zagadałem z żadnym kolesiem, nie licząc opryskliwego gościa z technikum dwa domy dalej, a jego i tak bardziej interesowała bryka Toma niż moje opinie na temat życia i śmierci w Wielkim Mieście.

Innymi słowy, wciąż żyłem w jednoosobowym rajku dla idiotów. Heros z kinowych fantazji wciąż tkwił w mojej głowie, wciąż wyglądał tak jak ja i potrafił zwalić dziewczynę z nóg jednym spojrzeniem.

Logicznie zakładając, jeśli jemu się udawało, to czemu nie mnie, jeśli tylko będę miał cień szansy i kogoś, kto mnie przedstawi?

Olbrzymia przepaść dzieląca moje prawdziwe ja od seksownego gieroja została odsłonięta parę dni przed tym, jak Toma przywiózł do domu szpitalny ambulans. Bracki załatwił z kumplem, że ten zajmie się jego mieszkaniem w mieście, póki Toma nie rozkują, a matka uparła się, że na ten czas nasz inwalida ma pozostać przy rodzinie.

A zanim do tego doszło, w godnej pochwały - jakkolwiek nieproszonej - próbie zatroszczenia się o moje miejsce w społeczeństwie mama zaprosiła na kolację córkę sąsiadów z naprzeciwka.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... sześć

Niezwykłe głęboko zamyślony Chakravalin kroczy po grubych, spłowiałych kobiercach, niemal nie dostrzegając zdobnych komnat, przez które przechodzi. Rishipatana to świat wybrany, przebudowany i zaopatrzony po to, by spełniać jeden cel: odprężyć, rozbawić znużone umysły. Zręczna rozrywka. Kuracja dla królów.

Pałac i olbrzymi Jeleni Ogród zostały zbudowane tysiąc lat przed Upadkiem, a każde pokolenie dodało coś od siebie. Kompleks ucieleśnia wysiłki i starania dawno nieżyjących mężczyzn i kobiet - architektów, malarzy, inżynierów, tkaczy, wytwórców szkła i wielu innych specjalistów tej cywilizacji. Oto piękno idei uchwyconej w kamieniu i stali, zakrzywionych tak, że napięcia są niewiarygodne, materii ciśniętej w przestrzeń i zawieszanej tam mocą umysłu, który pojął, jak można tego dokonać. Za dnia różowawe światło słońca Rishipatany przebija się przez rzeźbione szkło i widok zapiera dech. Pałac to pomysły i nadzieje setki natchnionych wizjonerów. A Chakravalin tego nie dostrzega, bo myśli o śmierci.

Mijają go funkcjonariusze i służby, starannie omijając wzrokiem jego pomięty strój, mokre włosy, rozmazane oznaki kasty, smugi ziemi z gniazda wómu na wysokich kościach policzkowych. Chakravalin wjeżdża rurą nośną do swoich komnat na czwartym piętrze, ale przed oczami ma tylko piękną Adriel z Corydonu. Zapomniał już o olbrzymim okręcie, który z hukiem i błyskiem fioletu wdarł się w atmosferę Rishipatany i przeleciał nad jego głową niczym burzowa chmura, kiedy siedział nad brzegiem spokojnej rzeki. Owładnęło nim jedno uczucie: nienawiść, zjadła i pałaca.

Wom Smutna Góra ujrzała w nim tę nienawiść i ostrzegła go. Sarn wie, że nie powinien pozwolić, by to uczucie czało się w nim jak gotowy do ataku wąż. Nie może jednak się go wyprzeć - i nie chce. Spostrzega, że jakiś dumny pokojowy zostawił rozświetlone ściany. Wspaniale zdobione drzwi do pokoju Chakravalina stoją otworem, on jednak ani przez chwilę nie czuje lęku - wrogi akt wymierzony w członka szlacheckiego rodu jest nie do pomyślenia pod tym dachem. Zamyka za sobą zbrojone energią drzwi. W wielkim kominku radośnie buzuje płomienie. Ku swemu niezmiernemu zdumieniu Chakravalin słyszy ciche słowa: - Dobry wieczór, Ministratorze. Proszę wybaczyć, że sam się wpuściłem. Radośnie szczerząc zęby, Chakravalin obraca się na pięcie i wydaje radosny okrzyk na widok wstającego z fotela w holu mężczyzny w mundurze bojowym Dyrektoriatu Marynarki. Dwa kroki i młodzieńcy obejmują się serdecznie, tłukąc się po plecach w dziarskim przywitaniu.

- Dayananda! Rewelacyjnie! Przybyłeś na tym okręcie?

- A stamtąd od razu tutaj ślizgorurą. Powiedziano mi, że wyszedłeś na późny spacer. Nikt nie wspominał o zapasach w błocie.

Chakravalin ryczy ze śmiechu, odsuwa przyjaciela na długość ramienia. Dayananda zmienił się. Ogorzała twarz, na prawym policzku blizna po promieniu igłowym. Technicznie jego stopień kapitański znacznie przewyższa rangę Dziedzica w Marynarce (podporucznik, a jeszcze raptem trzy miesiące temu kadet). Tak naprawdę nie jest dużo starszy od

Chakrayalina, wszystkiego cztery lata, czyli ma już dwadzieścia parę wiosen - a jednak ktoś patrzący na nich z boku mógłby stwierdzić, że dzieli ich dziesięciolecie, albo i więcej. Śmieje się jednak tak jak zawsze i wciąż ma to samo sardoniczne poczucie humoru...

- Narada w środku nocy z moją ulubioną filozofką Kleth. - Odpowiedź Chakrayalina nie jest do końca wymijająca. - Na bogów, Dayanando, musisz ci znaleźć coś do picia.

Wystukuje kod na konsoli.

- Myślałem, że jesteś w Gaunilo, niedaleko Oso, pod rozkazami Kontrolera Khurdda.

- Byłem. Niestety, przybywam jako członek oficjalnego poselstwa Kontrolera do Dyrektora. Rzecz jasna w tej chwili to wszystko pić na wodę. Wszystkie dane przesłaliśmy szyfrowanym promieniem tachionowym, lecąc tutaj. Jak sądzę, jutro twój ojciec przedstawi sprawę Radzie.

Konsola serwująca pomrukuje. Wyłaniają się z niej dwie szklaneczki, pełne napitku w kolorze przydymionej zieleni z mało znanej rolniczej planety niedaleko Rishipatany. Chakravalin podaje jedną przyjacielowi, z nawilżacza wyciąga dwa grube cygara i siada w plamie blasku bijącego z kominka.

- Wyglądasz na zmęczonego. To powinno postawić cię na nogi. Tak czy inaczej mieliśmy zabierać się stąd do Shirampur. Sprawa jest naprawdę poważna?

- Chyba widziałeś nasz przylot?

- Hmm... Wiesz, zawsze podejrzewałem, iż admirałowie lubią posyłać pędzące okręty z jednego końca galaktyki na drugi tylko po to, żeby uzasadnić wydatki na Marynarkę z imperialnej kiesy.

Dayananda milczy przez chwilę. Zapala cygaro, pociąga łyk napoju i ostrożnie odstawia szklanekę. Kiedy znów się odzywa, w jego głosie nie ma nawet cienia wesołości.

- Chakravalin, sytuacja jest prosta. Nasze siły zagarnęły kontrolę nad grupami Centrum. Mamy po prostu zbyt wielu ludzi i zbyt zaawansowaną technikę, by zdołali się nam przeciwstawić. Proszą o pokój.

Wspaniale! - Dziedzic pochyła się lekko. - Tak szybko! Trzy dni temu mieliśmy raport.

Wiedziałem, że taktycy określali prawdopodobieństwo sukcesu ostatniej ofensywy na zero przecinek dziewięć, ale jakoś nigdy nie wydawało mi się...

- Khurdd chce odrzucić ich warunki.

Głos Dayanandy jest wyprany z emocji.

- Odrzucić? Ale skoro oni...

- „Zmiażdżymy ich, skoro już mamy szansę”. Tak to ujął, i tak to widzi.

- To szalenie!

- To mój dowódca. - Dayananda zaciska wargi, podnosi szklaneczkę, opróżnia ją duszkiem i ciska naczynie w kamienne palenisko. Gwałtowność tego ruchu zaskakuje Chakravalina.

- Jagannatha na to nie pozwoli! Rada... Młody kapitan kręci głową.

- Dyrektor podziela zdanie Khurdda. A ta cholerna Rada pewnie pójdzie za nimi jak na sznurku.

Odchyła się w fotelu, kładzie lewą dłoń na zamknięte oczy.

- Bogowie, ależ jestem zmęczony. Mam wrażenie, że tkwię w jakimś koszmarze.

Chakravalin przez chwilę siedzi w milczeniu.

- A wiesz, mam wrażenie, że to mogłoby pomóc. Coś jakby radykalny zabieg chirurgiczny.

Dayananda patrzy nań posępnie, aż z twarzy chłopca znika ostatni cień uśmiechu. Wzrok

kapitana jest szczerzy, bez gniewu, ale nie wiedzieć czemu, jest to bardziej przerażające niż spojrzenie Jagannathy.

- Tak szybko zapomniałeś, Chakravalinie? Nie pamiętasz już, jak w chłopięctwie dyskutowaliśmy, aż paliły nas gardła? Mówiliśmy o historii, ideologiach, o wszechświecie pełnym dusz uwięzionych na wielkim kole losu, o samsarze. Oni są gotowi na pokój, Chakravalin. Bardziej już nie będą. Nie zdobywa się szacunku u ludzi, tłukąc ich bez opamiętania, kiedy leżą.

Chakravalin ze wstydem podnosi dłoń.

- Ty też nie musisz już mnie okładać, kapitanie. Oczywiście masz rację. Na dworze Dyrektora nastroje są ostatnio dość krwiożercze. Może zbyt łatwo padłem ofiarą retoryki. Powiedz mi jednak, czy tak rzeczywiście jest? Są gotowi się z nami do rozmów?

- Mają tyle samo dumy, co my, Chakravalin. Nie są jednak głupi. Ich komputery bojowe muszą podawać te same wyniki analiz, co i nasze. Jesteśmy dla nich po prostu zbyt wielcy, nieważne, czy się zjednoczą, czy nie.

- Nie wierzę, że zgodzą się na Imperium, jakiego chce Jagannatha.

- Na to nie. Przystaliby jednak na Federację. - W głosie Dayanandy dźwięczy stal. - Jeśli potraktujemy ich jak ludzi, a nie jak zwierzęta. Owszem, Khurdd może ich pokonać, zmiażdżyć ich flotę, ale w ten sposób nie zdobędzie ich szacunku. Ani lojalności.

- To prawda. - Chakravalin patrzy na swoją pustą szklankę i widzi tę pustkę. Imperium - tanto wielkie, utracone, upadłe Imperium - runęło właśnie przez głupotę polityków. W ostatecznym rozrachunku zbudowano je na sile i nienawiści, a nie na przyjaźni i lojalności czy choćby szacunku i trzeźwej ocenie własnych interesów. Przez umysł Chakravalina przelatują jak wicher noce i dni dzieciństwa, spędzone z Dayananda. Teraz widzi, przyglądając się swojemu życiu, że ten przyjaciel zawsze był na miejscu. Prowadził go, przyjmował ciosy, których nauczyciele nie ośmieliliby się wymierzać książątce, służył przemyślaną i przenikliwą radą. Dopiero jego powrót uświadomił Chakravalinowi, jak wielka pustka otworzyła się w jego życiu pod nieobecność Dayanandy. Oto wrócił ukochany przyjaciel. A jednak na pewno przyjdzie za to zapłacić. Nie da się przegnać gryzącego wspomnienia Adriel.

- Chcesz, żebym coś zrobił.

Oficer pochyła się w fotelu, wpatrzony w swoje dłonie. Szuka właściwych słów. Gdy wreszcie odzywa się, w jego głosie daje się wyczuć olbrzymie napięcie.

- Jeśli wciąż wierzysz w ideały, o których marzyliśmy i dyskutowaliśmy, to w rzeczy samej możesz coś zrobić.

- Oczywiście, że nadal w nie wierzę!

- No dobrze. Chcę, żebyś poprosił Dyrektora, aby odwołał Khurdda.

Dziedzic zrywa się na nogi, odwraca. Wszystko, tylko nie...

- Musisz też zażądać, żeby to ciebie mianował na zwolnione w ten sposób miejsce dowódcy sił w Jądrze - nieubłagane ciągnie Dayananda.

Chakravalin dotyka parapetu nad potrzaskującymi w ogniu kłodami, a w uszach szumi mu cały wszechświat. Propozycja Dayanandy nie mieści się w głowie, przeraża.

- Oszalałeś! - Nagle dostrzega gwiazdy takie, jakimi widział je wcześniej tej nocy, układające

się we wzgardliwą aureolę. Widzi to, przed czym zawsze próbował się chronić: napromieniowane, zbryzgane krwią okręty, splezające powoli na naprawy z pól bitew w Centrum. Z odrazą wspomina śmiech ojca, kiedy ten powiedział mu, że weźmie Adriel z Corydonu za swoją dyplomatyczną kochankę. Widzi siebie, jakim jest naprawdę - marzyciel, więcej nic.

- Nigdy nie zdołam poprowadzić wojsk! - woła zrozpaczony. - Nie jestem mężczyzną!

Dayananda siedzi bez ruchu w swym skórzanym fotelu. Jego słowa przecinają zamęt w głowie młodzieńca niczym snop ostrego światła.

- Może jeszcze nie jesteś mężczyzną., Poruczniku Chakravalin. Twój ojciec pracował nad osłabianiem twego charakteru wszędzie tam, gdzie prawdziwy ojciec starałby się cię wzmocnić. Nie jesteś jednak wyłącznie synem swego ojca. Tworzy cię wszystko, co ci się kiedykolwiek przydarzyło: rozmowy z woni matką, ze mną, z nauczycielami... Książki, które czytałeś, i idee, o które wbrew niemu walczyłeś.

Chakravalin wciąż stoi w udręce, na wpół odwrócony. Słucha uważnie. Wraca myślami do słów Smutnej Góry, które wypchnęły go poza uzalanie się nad sobą.

- Może nadejść dzień, w którym zostaniesz Dyrektorem. Musisz nauczyć się używać tej odpowiedzialności, żeby pracować nad sobą, póki jeszcze możesz. To właśnie taka chwila. Centrum musi być ocalone od rzezi.

W wirze targających nim emocji Chakravalin zdaje sobie sprawę, że stoi przy konsolocie. Kilka ruchów palcami i pokój pogrąża się w mroku, a potem pojawia się trójwymiarowa symulacja Soczewki Galaktyki. Ten olbrzymi wir odzwierciedla stan jego ducha. Stoi w nicości jak olbrzym, a setki miliardów gwiazd Drogi Mlecznej lśnią na nim i dookoła. Czteroramienna spirala jest idealną kopią Galaktyki. Dayananda wstaje, wkracza w tą pienistą jasność, w jaskrawy blask Centrum. Oficer śmieje się - to czysta przyjemność.

- Dziękuję, Chakravalin. Widzę, że pamiętasz. Że rozumiesz. - Szerokim gestem pokazuje obraz wokół siebie. - Oto przyszłość. Zjednoczona galaktyka ludzkich dusz. Wyobrazasz sobie, co by to oznaczało?

Jego ogorzała twarz, lśniąca od potu w mroku pokoju, pała radością.

- Federacja, wybrana bez przymusu - oto nasze marzenie. Nienarzucone z zewnątrz Imperium. Niebrutalne utrzymywanie porządku, żadnej przytłaczającej jednolitości. Pokojowa różnorodność. Na Bogów, gwiazd wystarczy dla wszystkich. Pokój przyjęty z dobrej woli.

- Tak. Nie zapomniałem o tym - mówi Dziedzic Shirampuru.

W mroku unoszą się świetliste wiry. Chakravalin jest rzeźbiarzem, który może narzucić im kształt wedle swej woli. Teraz, jakby ze smutkiem, zdaje sobie sprawę, że musi pogodzić się z narzuconym mu przeznaczeniem. „Jeśli wszystkim nam z góry nadano losy, niech przynajmniej mój będzie szlachetny”, myśli sobie. Niech jego przeznaczeniem będzie wielkość, a nie nędzna bezsila, do jakiej chciałby go nagiąć ojciec. Chakravalin już nie godzi się na łatwe obsuwanie się w ruinę.

Z płomieni unosi się miły aromat płonących bierwion, pobudza jego mózg. Oddychając głęboko, Chakravalin przechodzi pomiędzy gwiazdnymi urwiskami ku konsolocie i wyłącza Soczewkę. Znowu jasność zalewa ilustrowane ściany - po fryzie z godnością defilują naszkicowane słonie, w długiej, bladozielonej trawie czają się tygrysy. Ludzie z

niewiarygodnie odległej przeszłości niczym Kleth prowadzą swe mityczne dyskursy z pradawnymi bogami. W oświetlonym migoczącymi płomieniami pokoju Chakravalin czuje się odświeżony i wzmocniony.

- Tak - powtarza i chwyta dłoń Dayanandy.

hipersen

Mam wielce dziwną myśl, wom matko.

Podziel się ze mną tą myślą, by ulżyć swemu sercu.

Początkowo wydawało mi się, iż stoję w sercu Galaktyki niczym któryś z wielkich bogów.

Myśl ta nie jest wcale zbyt dziwna. Wszyscy, którzy się tam zapuszczają, muszą się stać bogami albo przynajmniej tak siebie postrzegać.

Jednak nie to była owa myśl, która mnie dręczyła, Smutna Góro. Wstrzymaj się chwilę, a opowiem ci. To jednak, co teraz powiedziałaś, dręczy mnie jeszcze bardziej. Czy jest coś gdziekolwiek, choćby nawet w gęstym jądrze Galaktyki, co mogłoby uczynić z ludzi bogów? Czyż wszystkie miejsca i chwile nie są sobie równe, bez uprzywilejowania żadnego z nich? Czyż nie tak uczą pradawne prawdy odkryte przez matematyków Starego Imperium?

Owa względność ma pewne granice, stary człowiecze. U początku czasu i u jego końca te zasady ulegają zmianom. Tak też dzieje się wewnątrz owych miejsc, które zwiecie „czarnymi dziurami” lub „osobliwościami”. Na pewno o tym wiesz, wystarczy, że sięgniesz do wspomnień. Czemu ukrywasz przed sobą wiedzę, którą sam posiadasz?

Obawiam się. Lękam się tych osobliwych początków, tych zakończeń.

Jedne już się zdarzyły, inne muszą nadejść. Wystarczy trwać.

Nie potrafię osądzić, czy twa wypowiedź jest pełna wiedzy ponad ludzkie pojęcie, czy cyniczna ponad ludzką wytrzymałość.

Nie powiedziałaś mi jeszcze o swej dziwnej myśli.

Czy da się ją wyrazić słowami? Nie wiem. Chodzi mi o to: czy człowiek może ująć sam siebie za dłoń na znak zgody i przymierza?

Większość ludzi ma po dwie dłonie. Czyż prawa nie mogłaby schwytać lewej?

Nie mam na myśli tak banalnej metody. Wydawało mi się... We wspomnieniach miałem wrażenie...

Pokonam męczący upór, który stawiasz, i sama ujawnię to, do czego zmierzasz. Wspomniałeś, że pewnego dnia, stojąc w symulowanym wirze Soczewki Galaktyki, ująłeś dłoń Chakravalina Chakrauatina i zawarłeś z nim przymierze. Tak. Wiemy o tym.

Bardzo dojmująco czułem jednak, że to nie cudzą dłoń ująłem. Wydawało mi się, że ową ugodę zawarłem z... sobą samym?

Ach. Ach, Dayanando, w końcu - i raz jeszcze - zaczynasz przenikać do sedna. Być może nie będziemy już musieli zbyt długo czekać na nasz wspólny koniec.

Nie pojmuję. Doprawdy, nie pojmuję.

Rozumiesz dość, by działać. To zawsze wystarcza. A jeśli to za mało... cóż - wystarczy, że odświeżysz swe wspomnienia z najgorszej chwili, jaką przeżyłeś, i wiedz, że to jeszcze nie było najgorsze.

TERAZ

Celia. Najgorsze, co mi się w życiu zdarzyło. To znaczy, póki co. Myśl o tym, Dayton. Maltretuj się upiornymi wspomnieniami.

Inaczej przez to nie przejdiesz.

Czymkolwiek „to” jest.

Może mi odbiło i zabrali mnie do psychiatrika.

Obłąd? No tak, to od razu przypomina o Celi. Jeśli nie był to najgorszy dzień mojego życia, na pewno mieścił się w ścisłej czołówce.

Celia ma osiemnaście lat, o rok więcej ode mnie. Oczywiście zakładałem, że wzgardzi mną, płytkim młodziakiem, ale jak się ma prawie dwa metry wzrostu i konkretne mięśnie, ludzie biorą cię za starszego.

Byłem gotów ją polubić, naprawdę. Celia kończy technikum dentystyczne. Ma blond pasemka, skutek albo moczenia głowy w chlorze, albo spędzania wszystkich wolnych chwil na słońcu, tuż poza zasięgiem przyboju. Sól, słońce i woda też rozjaśniają włosy - w poszukiwaniu dowodów wystarczyło spojrzeć w lustro.

Byłem nieco urażony naruszeniem mojej prywatności, jakiego dopuściła się matka, ale powtarzałem sobie, że W Ten Sposób Poznam Dziewczynę. A to, bądź co bądź, było głównym motywem moich działań tego lata.

Jak się okazało, z Celi była dziarska idiotka.

Co gorsza, po raz pierwszy ujawnił się mój Problem. Od razu zdałem sobie sprawę, że jestem skazany na spędzenie reszty życia, kryjąc się przed kobietami jak skopany kundel. Przed tym Problemem nie dało się uciec.

19 rok Imperium ...wspomnienie... siedem

- Ucieknijmy im - szepnęła mu w ucho, pochylając się bliżej, niż dopuszczał protokół.
- Przemokniemy! - zaprotestował Chakravalin, ale już się uśmiechał, a po chwili pociągnął ją za dłoń, głową wskazał kierunek i puścili się biegiem.

Z ciemnych, zbitych chmur deszcz lał strumieniami, targanymi przez porywy wiatru. Na ulicach nie było zbyt wielu przedstawicieli wyższych kast, ale wciąż jeszcze kłębili się tam służący i robotnicy. W orszaku Ministratora znajdowała się barwna gromadka szlachty,

służący szarpiący się z wielkimi, jaskrawymi parasolami oraz ociekający wodą, ale wciąż dzielnie grający kwartet flecistów, których muzyka godnie stawiała czoło bębnieniu deszczu i stłumionym narzekaniom ludzi brnących przez ulice, które coraz bardziej przypominały strumienie. Kiedy ruszyli biegiem, Adriel usłyszała, jak jeden ze służących jęknął w rozpacz, ale ulewa natychmiast zagłuszyła jego słowa.

Biegiem minęli dwa zakręty, przemknęli wzdłuż czarującej alejki i zgubili się na dobre. Adriel zamachała ręką - nie mogła mówić, bo woda zalewała jej usta i nos. Oparta o kamienny mur, krztusiła się ze śmiechu.

- Zawsze tu tak jest? To niemożliwe! W dniu lądowania była piękna pogoda.

- Kończy się lato - wyjaśnił nieśmiało. Znow ujął ją za rękę i poprowadził ku dużemu skupisku zadaszonych straganów. Nie słyszeli za sobą żadnych krzyków. Widocznie pościg za Dziedzicznym Ministratorem musiał odbywać się z godnością, bez wrzasków i podnoszenia rabanu. Wszędzie wokół tłoczyli się i przepychali ludzie, kupujący i sprzedający. Chakravalin wyciągnął parę monet i kupił szafranową parasolkę.

- Na Shirampur są trzy pory roku: lato, deszcze i żniwa. Wybrałaś kiepski moment - otworzył parasolkę nad Adriel. Przekupnie zerkali na nich, ale szybko odwracali wzrok.

Adriel wolałaby mieć własną parasolkę, ale uznała, że niegrzecznie byłoby nalegać. Przynajmniej mogli tulić się do siebie, kiedy wyszli na uliczkę na drugim końcu targowiska.

Na olbrzymim placu zgromadzili się pielgrzymi. Ponad ulewą słychać było wzmocnione dźwięki sitara. Wyglądało na to, że deszcz nikomu nie przeszkadzał. Wielu mężczyzn miało na sobie tylko dhoti i chodziło boso albo w sandałach. Wokół wałęsały się zwierzęta. Nad wszystkim wznosiły się dostojne, barbarzyńskie budowle.

Najwspanialsza z nich była dokładnie na wprost - gigantyczna świątynia, cała z ciemnego kamienia pokrytego płaskorzeźbami. Adriel nagle uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, dzięki temu, że usilnie starała się wryć sobie w pamięć plan miasta. Za świątynią płynęła owa wielka rzeka. Bez wątplenia na ghatach tłoczyli się wierni, odprawiający rytuały i odbierający błogosławieństwa.

Aż pokręciła głową. To wszystko było niewiarygodne albo raczej wymykało się rozsądkowi. W końcu właśnie o „wiarę” tutaj chodziło, więc wiarygodność nie podlegała wątpliwości. Zgromadzeni tu ludzie padli ofiarą starodawnych praktyk, które na jej planecie określano równie starożytnym i niemal nieużywanym słowem „religia”.

- Możemy wejść do świątyni? - zapytała.

Ręka, której Chakravalin nie używał do trzymania parasolki, zwisała niezręcznie między nimi. Adriel śmiało wzięła go pod ramię i przytuliła się, szukając ciepła. Obrzucił ją spojrzeniem pełnym zaskoczenia - i wdzięczności. Jaki ten chłopiec był czytelny. Jak wolny od zmanierowania. Jaki piękny! Serce znow załomotało i uśmiechnęła się, pełna radości.

- Oczywiście, że tak. Możemy pójść, gdzie zechcemy. Tylko... wiesz, niedługo nas dogonią. A wtedy oberwie się nam.

- Więc korzystajmy ze swobody, póki ją mamy!

Strzeliste wieże świątyni były wzmocnione masywnymi przyporami. Liczne warstwy i ozdoby sprawiały, że wyglądały one jak olbrzymie kamienne torty, dzieło obłąkanego kucharza. Sądząc po wyglądzie, budynek powstał w okresie najgłębszego Upadku, kiedy o zaawansowanych technikach Starego Imperium nikt już nie pamiętał. Architektonicznie

budynek był tak prymitywny - i tak śmiały - jakby powstał u zarania dziejów ludzkości. Rzeźby pięły się w górę warstwa za warstwą, podpierane kolumnami z oszlifowanego kamienia i czarnymi, żelaznymi prętami. Były ozdobne i tak pełne szczegółów, że przypominały kolonie koralowca. Nagle Adriel dostrzegła tematykę rzeźb. Wstrząśnięta, cofnęła się szybko i spłonęła rumieńcem.

- Co się stało? - Chakravalin patrzył na nią zdumiony. Miała problemy z wykrztuszeniem choćby słowa. Cierpiąc katusze, odwróciła wzrok.

- To... to niemoralne.

- Co proszę?

Chakravalin poprowadził ją do narożnika jednego z ganków, gdzie nie widzieli ich mamroczący pielgrzymi, znalazł też dla niej miejsce do siedzenia. Była to rzeźbiona baza kolumny - słoń toczący kłody drewna, nie najwygodniejsze siedzisko. Przynajmniej jednak nie było tam tych obscenicznych...

- Przepraszam, Adriel, zrobiłem coś nie tak? Chakravalin stał przed nią jak obraz nędzy i rozpaczy.

Jaskrawożółta parasolka zwisała mu z ręki, woda kapiała prosto na buty. Adriel zdołała się uśmiechnąć.

- Oczywiście, że nie, głuptasku. To ta świątynia. Przecież widzisz! To pornografia!

Chakravalin zamrugał. Patrzyła, jak obraca się w różne strony, patrząc bez zrozumienia na postacie wyryte na każdym calu powierzchni budynku. Mężczyźni i kobiety zwarci w uściskach, całujący się, dotykający, kochający... cieleśnie. I jeszcze gorsze rzeczy. Nie wszyscy tam byli ludźmi. Niektórzy mieli głowy zwierząt albo porośnięte sierścią nogi. Czasem mężczyźni oblapiali mężczyzn, a kobiety gładziły piersi innych kobiet. Istna galeria koszmarów.

- To? To przecież bogowie i herosi! - W głosie Chakravalina brzmiało autentyczne zdziwienie. - Co cię w tym razi? Czy twoi bogowie są inni?

Siedziała, milcząc, z odwróconą głową. Chakravalin uśmiechnął się niepewnie.

- W żadnym wypadku nie chciałem cię urazić, kochanie. Proszę, wybacz. Może przyjdzie chwila, kiedy pomożesz mi to zrozumieć. Póki co jednak pozwól, że zaprowadzę cię z powrotem do pałacu. Szklanka herbaty poprawi ci humor.

Zupełnie jak jej bona... Adriel zaczęła się śmiać. Tyle że Chakravalin nie był żadną boną. Chwyciła jego dłoń, mocno.

- Nie wracajmy tam, jeszcze nie.

Poczuła aromat jego potu, unoszący się ze schnącego ubrania.

- Jest tu jakieś zoo? Park z drzewami i kwiatami?

- Sam powinienem być o tym pomyśleć! - zawołał z ulgą. - Niedaleko stąd jest...

- Chodźmy zatem! - przerwała. Znow wyszli na deszcz, który wreszcie zaczął słabnąć.

Przedostali się przez plac tak szybko, jak tylko mogli, zostawiając za sobą to paskudne miejsce.

Jeszcze zanim zoo wyłoniło się zza olbrzymich palm i dębów otaczającego je parku, Adriel poczuła jego woń - ciężki, stęchły odór setek zwierząt w betoplastowej niewoli. Najpierw w polu widzenia znalazły się wysokie, masywne mury. Ścieżka, którą szli, dobiegała do potężnej, zwieńczonej szpikulcami bramy, zamkniętej na głucho, ale w jednym ze skrzydeł była otwarta furтка i kołowrót. Chakravalin na widok odźwiernego przybrał dostojną minę, a ten skłonił się i przepuścił ich, nie domagając się opłaty.

Z drzew i krzewów wciąż kapała woda, ale pomiędzy chmurami przedzierały się już promienie słońca. Gdzieś zatrąbił słoń, zaskakując Adriel, która nigdy nie słyszała tak donośnego odgłosu, nie licząc tych wydawanych przez genetycznie zmodyfikowanych muzyków. Trzymając się za ręce, szli od jednej zagrody do drugiej: tu stadko pręgowanych hien, ówdzie dużo większy wybieg, gdzie pasły się dwa olbrzymie, jednorogie zwierzęta.

- Cóż to takiego? Sławetne jednorożce?

- To nosorożce - wyjaśnił Chakravalin. - O ile wiem, to jedyne miejsce w znanych nam rejonach Galaktyki, gdzie można je zobaczyć.

- Powinniście przesać ich dane genetyczne na Tiresias - wypaliła Adriel bez namysłu. - Moglibyśmy zachować je...

Dziedzic spojrział na nią karcąco.

- Nie przystoi tak mówić. Proszę, Adriel, nie kalaj się takimi słowami.

Była już o włos od gniewnej odpowiedzi, ale próbowała się powstrzymać. Właśnie o takich absurdalnych uprzedzeniach ostrzegały ją bony! Cała Galaktyka poza pokonanymi teraz fortami obronnymi jej rodzimej planety sprzysięgła się, by oczernić Tiresias - i za co? Nie potrafiła pojąć, jaki mógłby być powód. A jeszcze tu, na planecie brutalnych zdobywców, którzy napawali się publicznymi obscenami! To było tak niesprawiedliwe, że straciła panowanie nad sobą i wyrwała rękę z dłoni Chakravalina.

- Jak śmiesz! Jeśli jest tu cokolwiek, czego należałoby się wstydzić, to niechybnie jawna ohyda waszych świątyń!

Jeleń pracy w siatkowe ogrodzenie łbem obarczonym porożem wydał nagle z siebie donośny ryk, zaskakując ich oboje. Chakravalin znów ujął jej dłoń, uniósł ją do warg.

- Miła pani, wybac mi raz jeszcze. Przez nieświadomość potykamy się o przekonania, które nawzajem mamy za najświętsze.

Adriel nie cofnęła ręki, ale wciąż zachowywała dystans.

- Nie pojmuję, jak można otaczać kultem świątynię poświęconą obrazom pożycia cielesnego! To nieprzyzwoite. Sprawy te należą do sfery najściślejszej prywatnej, wyłącznie między mężem a niewiastą.

- Aha. Rozumiem. To znaczy, tak mi się wydaje.

Przez chwilę szli w milczeniu. Z olbrzymiej ptaszarni dobiegał koncert stu gatunków ptactwa. Olśniewający paw z błękitnym ogonem paradował po nieogrodzonych trawnikach, kpiąc sobie z uwięzionych pobratymców.

- U was różne rodzaje praktyk seksualnych, wśród których rozróżniamy tutaj „weselenie”, „kochanie” i „płodzenie”, to jedna całość, zarazem uświęcona i ukryta. Mam rację?

Nawet słownictwo, jakim się posługiwał, raziło dosłownością.

- Naturalnie. Jakże inaczej Nadmistrzyni Krzyżowań i jej rejestratorzy mogliby zachować kontrolę genetyczną nad rodzonymi dziećmi?

- Zrozum, my tu nie mamy Mistrzyni Krzyżowań. Wszystko dzieje się zgodnie z prawem natury i karmą - tłumaczył łagodnie Chakravalin.

Znaleźli pergolę, tak gęsto obrosniętą splecionymi pnączami, że deszcz nie przeniknął do środka. Skryło się tam kilka rodzin z rozłożonymi na kocach posiłkami: gotowanym ryżem, sosami do maczania i kawałeczkami drobiu w curry. Na widok pary szlachciców bez słowa spakowali się i odeszli, zostawiając Adriel i Chakravalina samych. Zastanawiała się, czy tak właśnie jest tu zawsze. Kasty i podkasty ustawione w automatycznej, dziedzicznej hierarchii - a przecież logiczne byłoby, żeby to genom poszczególnych osób decydował o ich miejscu w

społeczeństwie, zgodnie z dokładnymi i pełnymi danymi o poprawkach w DNA, i tyle.

- Natura jest ślepa. - Adriel starała się tak dobrać słowa, by ten nieszczęsny, piękny barbarzyńca naprawdę pojął, w jakim błędzie tkwi jego odrażające społeczeństwo. - Ludzkość pozostawia naturę za sobą, nie rozumiesz? Nie jesteśmy zwierzętami.
- Przynajmniej nie w tym życiu.

Chakravalin znalazł pozostawioną przez jakieś dziecko torebkę pośladu i sypnął parę garści na trawnik. Zleciały się dzikie ptaki, łączywie wydziubując ziarna. W przestronnej klatce ptaszarni panowały inne zasady. Niebo rozbrzmiewało ptasim śpiewem.

- W tym życiu? A jest jakieś inne?

Chakravalin z wrażenia poderwał głowę.

- Ojej! Ty nic nie wiesz o samsarze. Nie znasz wielkiej doktryny ponownych narodzin. Powinni byli powiedzieć mi o tym.

Wtedy przypomniała sobie co nieco z pośpiesznych wykładów na pokładzie „Karttiki”. Reinkarnacja. Ci naiwni nieszczęśnicy wierzyli, że ich... jakie to było słowo? Dusze? Że esencja ich osobowości w jakiś sposób przenosiła się po śmierci do następnego ciała. Można było odrodzić się jako owad, pies - albo Tyran. Niewiarygodne. Naprawdę rozbijające.

Potem jednak spojrzała na jego zdumioną twarz i stwierdziła, że tak naprawdę to zupełnie nieistotne. Wszystko bzdury, od początku do końca. Chakravalin był piękny i troskliwy, i byli zaręczeni. Jej serce zmiękło i nachyliła się ku niemu.

- Czy wiesz, że nawet nie pokazali mi, jak wyglądasz?

Zamrugła.

- Naprawdę? Żadnych hologramów? Żadnych nagrań dotyczących mojego życia i wykształcenia? Zapewniam cię, że przede mną nie ukryto niczego.
- Myślę, że była to swego rodzaju kara.
- Hmm... Tylko dlaczego mieliby chcieć cię ukarać?

Atak przy okazji - od razu uznałem, że jesteś przepiękna.

- To chyba nie miała być kara dla mnie. - Puls Adriel przyspieszył. Chakravalin chyba naprawdę nie widział, jakie robi na niej wrażenie. - Myślę, że miało to znaczenie polityczne. Policzek dla mojej matki, Tyranki.

Chakravalin przytaknął, smutno krzywiąc usta.

- Masz prawo mnie pocałować? - zapytała, choć głos wiązał jej w gardle.

Nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko i coś jakby warstewka wilgoci zasnuło jego lśniąco piwne oczy. Przygarnął ją do siebie i ucałował jej nabrzmiałe wargi...

Była wielce zirytowana, kiedy około godziny później grupa kornych służących odszukała ich pod pergolą i grzecznie odprowadziła do Pałacu.

- Kocham go - szepnęła, samotna w swym bogato, jaskrawo zdobionym pokoju. - Jego ojciec to parszywe, zaborcze bydło, jego lud wierzy w same ohydztwa, aleja go kocham, kocham, kocham.

Recytowała to jak mantrę. „Kocham go” - poprzysięgła sobie samej - „i nigdy go nie opuszczę”.

hipersen

Słyszysz mnie, Smutna Góro?

Jak zawsze, starcze, jak zawsze.

Cierpię. Dusza w mej głowie wiruje jak turbina. Gdzie ja jestem, Kleth?

A jak myślisz, gdzie jesteś, człowiecze? Nie jestem z Chakravalinem na pokładzie „Garudy”, szykując broń do walki?

Można tak rzec. O której jednak broni mówisz?

Której...? Brak mi słów. Nic nie wiem o żadnych broniach.

Przyjdzie czas, gdy będziesz wiedział, przyjdzie czas, gdy wiedziałeś. Czas jest złudzeniem, jak przestrzeń. Na pewno tu i teraz zdajesz sobie z tego sprawę.

Myślałem, że jestem na Shirampur, że czekam w galerii śmierci.

Tak właśnie jest.

Pragniesz mnie oszołomić. Jak może tak być? Czy nie zawieram właśnie przymierza z chłopcem w jego letniej rezydencji na planecie Rishipatana, ujmując jego dłoń wśród gwiazdnego wiru i odnawiając więź, jaka nas łączyła?

I to również jest prawda, Dayanando.

Jak to możliwe? Zdaje mi się, że koniec wszechrzeczy zawisa na końcu mego języka jak kropelka jadu, że, jeśli wymówię ostatnie słowo, wszystko, wszystko, wszystko zostanie... no?

Starte, być może?

Odnowione.

Zrozum, tu nie ma różnicy.

Myślę, wom matko, że jesteście rakszasami. Myślę, że jesteście demonami i ani przez chwilę nie można wam ufać.

Czy to twój śmiech? Czy też chcesz mnie zastraszyć rykiem?

Czemu obdarzyłeś mnie mianem rakszasy, człowiecze?

Albo tym jesteś, albo bogiem.

Każde żywe stworzenie jest bogiem. Przecież tego nauczyłeś się już w swych peregrynacjach?

Moja dusza wciąż wiruje, wciąż i wciąż. Czas i przestrzeń splotły się ze szczętem. Jesteś w gnieździe na Rishipatanie. Jesteś też jednak na Shirampur, czekając, by nas powitać. Tylko demon mógłby tego dokonać.

Albo istota, która bez końca wiruje wewnątrz Osobliwości.

W Oso... Ukryliście się wewnątrz Wielkiej Czarnej Dziury w sercu Galaktyki?

Ja jej nigdy nie opuściłam. Ty też nie, starcze. Rozejrzyj się dokoła. Co wykrywają twe wyćwiczone z wiekiem zmysły?

Tak. Rozumiem. Jest tak, jak powiedziałaś. Tutaj cały czas i przestrzeń są zapętlone i posplatane. Ha! Stąd mogę sięgnąć wszędzie. Mogę wkroczyć w dowolne czasy. Mogę...

Zniszczyć.

Odnowić.

Idź, Dayanando. Zjedz śniadanie. Słyszałam, że podają jaja na twardo.

Moje ulubione.

Bon appetit.

TERAZ

Są wspomnienia, z którymi trzeba ostrożnie, nawet kiedy jest się sparaliżowanym pacjentem w wariatkowie.

O ile właśnie tak jest w moim wypadku.

Zrobimy z tego dramat. Scenariusz telewizyjny.

Grunt to zachować dystans.

No dobra. Wieczór z Celią poszedł mniej więcej tak:

Dyskretnie oświetlony salon w domu na przedmieściach, typowa klasa średnia. Mama wchodzi i wychodzi jak rozgdakana kwoczek, promieniejąc wdziękiem i dobroduszością. Przy stole siedzi Celia o olśniewającym uśmiechu wspomagany fluoryzacjami. Dayton wierci się w krześle, siorbiąc przy jedzeniu spaghetti marinara (skutek niespodziewanej i nieoczekiwanej nerwowości), rozlewając chianti na obrus i generalnie robiąc z siebie idiotę.

SCENA PIERWSZA

MAMA: Nie przejmujcie się mną, kochani. Na pewno macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

Wychodzi, dość halaśliwie.

Nie zapada cisza. Dzieje się coś znacznie gorszego. Skoro DAYTON nie ma nic do powiedzenia, CELIA trajkocze.

CELIA: Stomatologia jest taka fascynująca! Kto by pomyślał, że jest aż tyle rodzajów zębów. A usta! Jejku, normalnie nie uwierzysz. Masz interesujące usta, Dayton.

DAYTON posępnie kroi ser i wpycha go wraz z krakersem w swoje interesujące usta. Nic nie mówi.

CELIA: Doktor Angstrom nie trafił dzisiaj przy zastrzyku. Igła zgrzytnęła po kości. Prawie zemdlalam. A ten ząb! Lewy górny ząb mądrości, a korzenie miał normalnie nie z tej ziemi. Biedny doktor Angstrom, prawie sobie zwichnął nadgarstek, kiedy go wyciągał. Wyrznięty ci się już zęby mądrości, Dayton?

DAYTON: Eechch.

CELIA: Przepraszam?

DAYTON: Mglbg.

CELIA (*kawałek duńskiego sera pleśniowego ląduje jej na migdalkach; dyskretnie przetyka*):
Zęby trzonowe są nawet ciekawsze od siekaczy...

Przerywa jej MAMA, nadlatująca z kawą.

MAMA: Och, mam nadzieję, że dobrze się bawicie. Jeśli chcecie, włączcie sobie telewizor.

DAYTON desperacko rzuca się ku pilotowi, ale CELIA dusi ten plan w zarodku.

CELIA: Och, nie, pani Ellis, Dayton i ja mamy tyle wspólnych zainteresowań.

DAYTON: Urghm.

W końcu, raptem parę nieskończoności później, Celia poszła do domu. Odprowadziłem ją na drugą stronę ulicy, jak na dżentelmena przystało, ale nie zdołałem zmusić się do pocałowania jej na pożegnanie (a mam wrażenie, że tego oczekiwała). Bałem się, że w poznawczej ekstazie zaczęłaby szukać dziur w moim uzębieniu.

Tej nocy heros z marzeń dostał niezły łomot.

Teraz jednak wrócił. Tak to wygląda. I to z kumplami.

Chakrayalin?

Dayananda? Day jak Dayton? To jakiś koszmarowy dowcip, czy jak?

Jagannatha?

Oż kurwa! O nie, to wszystko jest aż nadto rzeczywiste.

Wracaj lepiej do wspomnień, młody.

Ludzie, ewakuujcie mnie stąd! Natychmiast!

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... osiem

Dębinę wielkiego, niskiego stołu w Królewskim Refektarzu pokrywały rzeźby i intarsje przedstawiające symbole wiosny i płodności, igraszki pośród stad i kłosów. Błat jest zastawiony nie mniej suto niż zazwyczaj, choć ogłoszono, że Dwór i towarzystwo zjedzą tylko lekkie śniadanie przed odlotem ku Shirampur. Chakravalina dostarcza do stołu armia służących, których ten niemal nie zauważa. Sadowią go tam, utykają serwetki, obmywają wodą różaną, podają porcelanową miseczkę ghatu - zupy mlecznej z prosa, na której jedzenie nalega Jagannatha. Do tego talerze pełne roti, ciabatty, które jego lud jada z twarogiem, a wszystko to nieco bardziej jadalne tylko dlatego, że podane są też spore porcje jaggery, słodkiego musu, dozwolonego przez ojca tylko przez szacunek dla tradycji, nawet jeśli owa tradycja jest ewidentnie fałszywa, bo całą tę pseudokulturę zmontowano, by pochlebić ich brutalnym przodkom. Dyrektor nie zszedł jeszcze na śniadanie - albo, co bardziej prawdopodobne, nie wrócił jeszcze z ostatniej porannej przejażdżki konnej przez otwarty las na tyłach pałacu. Chakrayalin siedzi naprzeciw miejsca ojca, bez apetytu, z lękiem oczekując nadejścia kochanek Dyrektora. Wreszcie rozdrażniony i sfrustrowany własnym nastrojem wzywa gestem jednego ze służących w turbanach.

- Tak, panie?

- Spolaryzujcie ścianę. Równie dobrze możemy cieszyć się widokiem.

- Ależ, panie...

- Już, do diabła!

To fakt - nawet ta drobna decyzja narusza konwenanse, które stary autokrata narzucił wszystkim tak skutecznie, że mają je za normę. „Czas to zmienić”, myśli Chakrayalin. Dłoń służącego muska konsolę. Przez chwilę ściana połyskuje migotliwie, by wreszcie zniknąć, przezroczysta niczym powietrze. Światło poranka przydaje miękkości ogrodom Pałacu. Daleko na wschodzie żółciejące słońce Rishipatany jest otulone karmazynowym blaskiem.

- Piękne - mówi ktoś tuż obok.

Zaskoczony Chakrayalin odwraca się szybko.

- O, witaj, Dayanando. Proszę, masz zarezerwowane miejsce po mojej prawicy.

Znów wygląda za okno, będąc pod wrażeniem tej chwili pełnej poezji.

- Czy gwiazdy w przestrzeni są równie piękne?

- Chyba nie. Słońce Rishipatany poza atmosferą świeci olśniewająco, mocno, jego korona jest prześliczna w mroku próżni... ale jesteśmy dziećmi planet, Chakravalinie, i nic nie jest piękniejsze od wschodu słońca widzianego przez niebo, mgłę, drzewa. Jak myślisz, będą mieli jaja na twardo?

Służący nalewa herbatę do dużych, delikatnych filiżanek i znika w poszukiwaniu jajek.

- Dyrektor! - woła strażnik oficjalnym tonem, prawie jak na placu defilad. Chakrayalin, Dayananda i pozostałych kilka osób przy stole wstaje, skłaniając głowy. Jagannatha i jego kobiety wkraczają do refektarza jak najeżdźcy.

- Siadać, szkoda czasu na ceremonie.

Starzec jest odziany w bładoczerwone i zielone jedwabie, ze złotymi obrzeżami i koronkowymi wykończeniami przy szyi i nadgarstkach. Resztki włosów ma związane w kucyk. Dzięki temu strojowi widać jego muskularną tężyznę, ale Jagannatha zyskuje też nieco szacowności, jakiej w inny sposób nigdy by nie osiągnął. Sadowiąc się naprzeciwko Chakrayalina, Dyrektor obdarza syna sardonicznym uśmiechem, zarazem kwitując jego obecność i zbywając ją. Dziedzic odpowiada ukłonem zgodnie z etykietą, ale Dyrektor nie daje po sobie poznać, czy to zauważył. Dla Chakrayalina cały urok poranka nieodwracalnie przysł. Stwardniałe, piekące miejsce gdzieś między sercem a wzburzonym żołądkiem zapłonęło nienawiścią. Słudzy prowadzą kobiety do ich miejsc. Po lewicy Jagannathy, naprzeciwko Chakrayalina, Adriel z Corydonu okrywa kolana serwetką. Jej oczy, skromnie opuszczone za welonem z jakiegoś mgiełkowatego, prześwitującego materiału, na jeden porażający moment spotykają jego wzrok, zapuszczają się w jego duszę jak ostrze noża i znów opadają.

„Zabiję go”, myśli Chakrayalin.

Szlachcic siedzący po jego prawicy rzuca jakąś uwagę na temat polowań, jakim oddawał się przez ostatnich parę dni, po czym swobodnie przechodzi do opowiadania beztroskiej anegdotki. W uszach Dziedzica słowa arystokraty zlewają się w modulowane brzęczenie, biały szum. Potakuje raz, podając miseczkę, ale jego umysł absorbuje dziewczyna siedząca naprzeciwko.

To żadna tajemnica. Chakrayalin doskonale wie, co się tu dzieje - Jagannatha znów go podszczuwa, kolejny już raz. Tym razem mistrzowsko posłużył się dwuznacznością. Od dziecka Chakrayalin był obiektem psychologicznego obłężenia, które miało go okaleczyć, przetrącić, raz za razem uczyć go posłuszeństwa. Dyrektor Shirampur potrzebuj e dziedzica, nie może się bez niego obejść, ale w tych brutalnych, targanych walkami czasach historia niezawodnie uczy, że dorastający dziedzic, zrodzony do majestatu i luksusów, może się obejść bez ojca. Jagannatha nie miał zamiaru hodować sobie rywala pod własnym dachem, nawet takiego, o którego dobro powinien dbać zgodnie z własnymi aspiracjami dynastycznymi, by ród nie wygasł wraz z jego śmiercią. Wykorzystuje każdą okazję, by złamać i upokorzyć syna. Adriel miała być ostatnią lekcją, ale Jagannatha przeliczył się. Chakrayalin uświadamia sobie, że tym razem nie ulegnie. Być może powodem są wieści od Khurdda, przyniesione przez Dayanandę - ruina, jaka może stać się losem Galaktyki, jeśli megalomania tego starego bydlaka zostanie spuszczone ze smyczy. Może to coś silniejszego niż altruizm. Płonące ognisko gniewu w centrum jego ciała natychmiast zmienia się w zimną determinację. Lęk i odraza do samego siebie nagle przeobrażają się w nienawiść. Chakrayalin nie może już tego przed sobą ukrywać. Zabije własnego ojca.

Po raz ostatni siada u szczytu dębowego stołu, zaciska pięść na widelcu i obrzuca płonącym, wściekłym spojrzeniem zakwefioną postać u lewego boku ojca. Wie, że nienawiść w końcu niszczy albo jej obiekt, albo tego, kto nienawidzi. Grzebiąc w mdląco słodkim musie, który rośnie mu w ustach, Chakrayalin zaskakująco wyraźnie uświadamia sobie, że na pewno nie on ulegnie zniszczeniu.

hipersen

Smakowały ci jajka, Dayanando?

Zaległy mi w żołądku, jeśli już musisz wiedzieć. Zdajesz sobie sprawę, co ten chłopiec musi zrobić?

Nie ma obowiązku robić czegokolwiek. W tej grze nie ma determinizmu. Tylko zasady - i cel.

Grze? Uważasz życie za grę?

Nie tylko życie. Wszystko.

Miałem rację. Jesteście cynikami. Kpicie z honoru, miłości i cierpienia.

Nie kpimy. Czemu mielibyśmy to robić? Nie uważamy siebie za wyłączonych z gry. Nie bierzemy też siebie tylko za pionki.

Cóż to za zasady, o których wspomniałeś?

Te, dzięki którym działania, na jakie się zdecydujemy, są wykonalne, nieprawdą? Cała reszta jest losowa, gorsza niż chaos, bo nawet chaos jest posłuszny własnym, ukrytym regułom.

Abstrakcje! A tymczasem chłopiec planuje mord na własnym ojcu!

Morderstwo? Czyż nie kieruje nim sprawiedliwość i potrzeba odwetu?

Bawisz się słowami.

Ależ skąd. Przecież smycz, jaką każą mu nosić ojciec, matka i wszyscy wokół, dławi go, odcina mu powietrze, prawda ?

Matka? Przecież matka chłopca nie żyje.

Doprawdy? O którym to chłopcu mówimy? I nie zapominajmy o dziewczynie...

TERAZ

Pamiętaj o dziewczynie.

O dziewczynie i o czasce z kryształu.

I o Twarzy na Marsie.

Nie. Zbyt koszmarne. Jeszcze nie teraz.

Eeeech.

Spotkałem ją przez To ma. Właśnie do tego zmierzałem od dłuższej chwili.

Dzięki, Tom.

Nie, poważnie. Chociaż trudno brzmieć szczerze, kiedy się leży w psychiatryku, a po osobistym banku danych hula jakiś cudzy życiorys.

Tom i dziewczyna. I samochód.

W czasie rekonwalescencji Tom pożyczył mi kluczyki. MGA Model I, szatańsko czerwony i przywrócony do sprawności po naprawę masakrycznych wydatkach. Jeździłem z opuszczonym dachem, pozwalając, by upojne powietrze targało mi włosy. Nawet Michael J. Fox tak nie potrafił.

Kolejny bonus, kiedy się mieszka na pustyni. Głównie czerwony piach i żwir, ale jest też dosyć płaskiej skały, żeby dzieciaki mogły się otrząsać z samochodami - w dwunastym, trzynastym roku życia. Prawo jazdy dostałem, zanim minął tydzień od moich szesnastych urodzin.

Ten pierwszy dzień, kiedy Tom dał mi kluczyki, był jak początek nowego życia. Rozkoszny dźwięk podwójnej, miedzianej rury wydechowej przerodził się w ten słynny chrzęst, kiedy przed światłami zredukowałem bieg. Poczulem aż w mózgu witalną wibrację mechanicznej bestii.

Rzecz jasna, jechałem donikąd. Nie miałem żadnego celu. Uśmiechnąłem się więc szeroko, bo dzień był taki fajny, i czułem wibracje silnika w wyszczerzonych zębach.

W tym momencie dziewczyna, stojąca na przejściu, obróciła się w moją stronę i też uśmiechnęła.

Ojoj. Ojoj. Ojoj.

Poczulem to w tych samych częściach ciała, w których dostaje się bolesnych dreszczy, kiedy człowiek zanadto poszaleje na huśtawce, takiej z placu zabaw. Jeden taki dreszcz przebiegł z przodu moich ud i wzdłuż goleni, i z jakiegoś powodu sprawił lekki ból, jak otarcie. Trochę zakotłowało mi się w żołądku. I jeszcze trochę - jak parcie na pęcherz, kiedy chciałbyś się odlać, ale wiesz, że przez najbliższe pół godziny nic z tego. Jezu. I to ma być seks?

A wszystkie te niesamowite psychiczne doznania trafiły mi się dokładnie wtedy, kiedy tamta dziewczyna zobaczyła mój szeroki uśmiech i sama rozpromieniła się jak słońeczko.

Stała, czekając na zielone światło dla pieszych. Jej kasztanowe włosy tańczyły lekko w ciepłej bryzie ciągnącej od ultrabłękitnego oceanu (ten sam kolor miały niezwykle świetliste oczy).

Jej uśmiech, jak mój, po części wynikał z urody tego dnia. Jej wargi były jednak wygięte jeszcze nieco bardziej. Bankowo miało to coś wspólnego ze mną. Przez chwilę byłem filmowym bohaterem z marzeń w czerwonym, sportowym wózku.

Zapaliło się zielone światło. Odwróciła się i pospiesznie przeszła na drugą stronę ulicy.

Miałem wrażenie, że gdzieś pognała jakaś szczególna, rozjarzona część mej istoty.

Dobre samopoczucie znikło błyskawicznie - w ten mdlący, oszałamiający sposób, jaki zdarza się, gdy człowiek robi z siebie idiotę albo skrzywdzi kogoś, na kim mu zależy. Ona odchodziła! Nigdy już jej nie znajdę! A tak bardzo chciałem - bardziej niż pakować na siłce, bardziej niż czuć w ustach krew po solidnej bójce z kumplami, bardziej niż czegokolwiek na

świecie.

Dotarła na drugą stronę ulicy i weszła do baru mlecznego na rogu.

Pewnie siedziałbym tam jeszcze przez minutę, gapiąc się jak kretyn na kołyszące się paski plastikowej zasłonki w wejściu do baru, ale ktoś za mną wściekle dał w klakson.

Obejrzałem się. Z radiowozu wpatrywał się we mnie wyraźnie poirytowany gliniarz.

Oż kurwa.

Ruszyłem w ostatniej chwili przed zmianą świateł. Gliniarz już nie zdążył - widziałem w lusterku, jak stoi wpieniony, bo ci z poprzecznej ulicy nie dawali mu przejechać. Na następnym skrzyżowaniu skręciłem w lewo, szybko, ale w granicach przepisów, a na kolejnym w prawo. Kiedy dotarło już do mnie, że tak naprawdę nie złamałem żadnych przepisów, więc glina nie mógłby spisać mnie i odholować bryki, co zdecydowanie wkurzyłoby brackiego, było już za późno, żebym mógł wrócić pod tamten bar, beztrąsko wejść do środka i ot, tak, spytać tę dziewczynę, która miała taki wpływ na moje trzewia, jak ma na imię.

Zresztą wątpię, czy w ogóle zdołałbym to zrobić.

Pewnie spojrziałbym jej w oczy, uśmiechnął się, uklonił lekko i powiedział „Eechh”.

19 rok Imperium ...wspomnienie... dziewięć

- Dyrektor czeka, by panią przyjąć, Wasza Godność. Proszę za mną.

Sekretarz był mężczyzną, więc przynajmniej to jedno przypominało Adriel rodzinne strony. Nie był to jednak żaden pacholik - łysy, a nie wygolony, w czaszce nie miał osadzonego paska metalu, oznaczającego stanowisko i genetyczną wartość. Oficer, sądząc po energicznych, dokładnych ruchach.

Jagannatha siedział za wysepką maszyn łączności. Wstał, jak tylko weszła do pokoju, podszedł i ujął jej dłoń. Oszołomiona, niemal przerażona, słyszała słowa przedstawiającego ją sekretarza - oficera, ale widziała tylko zimne oczy Jagannathy. Skąd ten lęk? Bo podpalał planety. Bo był mordercą. Bo był ojcem Chakravalina i straszliwie krzywdził swego syna. Świadomość tego wszystkiego sprawiała, że uszy wypełniał jej jakby biały szum. Nigdy przedtem nie była tak wystraszona. Córka Tyranki Tiresias nie miała powodów, by się bać. Doznanie to należało do zdecydowanie nieprzyjemnych.

- Dzień dobry, Władco - zająknęła się. - Miło mi wreszcie was spotkać.

Zdegustowana, skłęła się w myślach. Po co tak powiedziała? W podtekście czuło się wyrzut. „No, w ostatecznym rozrachunku mam rację” - pomyślała. „Jestem tu już prawie od miesiąca, a on nie miał tyle przyzwoitości, by się ze mną spotkać”.

- Jesteś urocza, moja droga. - Jagannatha powiódł ją ku sporej sofie, gdzie usiedli ramię w ramię. Wciąż trzymał jej dłoń, niezbyt silnie, ale jasne było, kto tu rządzi - Mój syn to szczęściarz. Ma się rozumieć, poznalibyśmy się już wcześniej, ale w Galaktyce trwa wojna i, niestety, moje miejsce jest za biurkiem.

Wrażliwość Adriel na uczucia innych i jej moc odzwierciedlania oraz kształtowania emocji niemal uległy pod naporem osobowości Jagannathy. Może on wcale nie był mordercą? Dyrektor był mocnym, bezwzględnym człowiekiem - ale dostrzegła też w nim pewien swoisty urok. Taki człowiek mógł poprowadzić innych do boju. Czowała, że jej niechęć do Dyrektora nieco osłabła. Może nie darzyła go ciepłymi uczuciami - równie dobrze można by spróbować polubić lodowiec miazdzący górę albo drapieżnego zwierza blokującego drogę - ale przynajmniej miała dlań pewien respekt.

- Tyranka Corydonu prosiła, bym przekazała w jej imieniu wyrazy szacunku, Panie.
- Oczywiście, oczywiście. - Wstał, krzepki, absolutnie swobodny, i gestem odprawił sekretarza, który znikł z pokoju jak widmo. - Napijemy się herbaty. Czy odpowiadają ci komnaty, w których mieszkasz?

Coś tu się działo, ale Adriel nie potrafiła przeniknąć natury tego procesu. Wiedziała tylko, że zbliża się zagrożenie, zupełnie bez związku z wypowiedzianymi słowami. Czujna, ale niepewna, wycofała się do łatwych schematów aprobowanego przez protokół dyplomatyczny języka i zachowania. Wszedł steward, niosąc srebrny serwis do herbaty i delikatne, kandyzowane słodczyki. Dyrektor pił wraz z nią, nic nie jadł, ale namawiał ją do próbowania kolejnych słodkości. W ich smaku kryła się jakaś nieznaną jej przyprawa. „To inny świat”, powtarzała sobie, „tutaj obowiązują reguły zupełnie inne od tych, których mnie nauczono”. Zmusiła się do odprężenia, swobodnej rozmowy, czuwania i czekania.

- Za pozwoleniem, chciałbym, żebyś się z kimś spotkała.

Jagannatha wstał, służący w białych rękawiczkach z nienaganną zręcznością sprzątnął tace, po czym udali się do prywatnego szybu w alkowie przy komnatach Dyrektora. Po raz pierwszy Adriel poczuła autentyczny lęk. „Dokąd on mnie bierze?”, zastanawiała się. „Jest zdolny do wszystkiego. Mógłby mnie zabić w ułamku sekundy, gdyby uważał, że to służy jego celom”. Nie wyczuwała jednak z jego strony uczuć zwiastujących rychłą przemoc. Opadli z wyniosłej wieży do otaczających Pałac ogrodów i Jagannatha stanął u jej boku niczym król towarzyszący pięknej niewieście.

- Wielce podobają mi się te kwiaty. Spędziłam wiele szczęśliwych chwil, podziwiając je z pańskim synem, Dziedzicem Chakravalinem. Czy mógłby dołączyć tu do nas?

- Jeszcze nie w tej chwili. - Dyrektor nie uśmiechnął się. - Proszę, stąd to już niedaleko. Adriel słyszała oczywiście o Kleth. Krążyły pogłoski, że przodkowie Jagannathy zawarli pakt z tymi nieludzkimi filozofami ukrytymi w centrum Galaktyki. Widok gniazda był jednak niespodzianką. Właściwie był to tylko lej pełen luźnej gleby i skał, otoczony niskim murkiem. Żadnych ozdób, nie licząc płaskorzeźb typowych dla architektury Shirampur. Żadnych maszyn, konsol łączności, wygód, zabezpieczeń...

- Ojej! - poderwała się, autentycznie zaskoczona. Wyglądało to tak, jakby pośrodku zagrody ziemia doznała skurczu, wypiętrzając się i opadając niczym woda roztrącana przez łusko waty grzbiet jakiegoś morskiego lewiatana czy węża. Stwór wynurzył się wprost z ziemi, otrząsając grudki piachu i gliny z wielkiego, bezokiego, owalnego łba.

Adriel zdała sobie sprawę, że bezwiednie ukryła się za plecami Dyrektora. Z irytacją pokręciła głową i znów podeszła bliżej, udając, że nie widzi uśmiešku Jagannathy.

- To Kleth, jak sądzę - rzuciła, siłąc się na obojętność. Przez chwilę obcy pozostał w miejscu, niczym pomnik z futra, a nie z kamienia czy spiżu. Kiedy jednak się poruszył, runął naprzód jak organiczna machina bojowa. Jego szybkość zapierała dech w piersiach, ale po chwili

znów zamarł przed dwójką ludzi.

- Oto dziecko genetycznych magów - powiedział. Nie miał ust, lecz dysponował spokojnym, basowym głosem.

- Nazywa się Adriel z Corydonu - rzekł Jagannatha. - Młoda damo, stoisz w obliczu wom córki Głosy Prawdy.

- Witam. - Adriel zastanawiała się, co dalej powiedzieć. Czy Kleth ją słyszała? Musiała ją słyszeć. - Chakravalin opowiadał mi o swoich rozmowach z wami.

- To wspaniały mężczyzna - oznajmiła wom z powagą. - Mamy wobec niego wielkie oczekiwania.

Adriel odebrała słowa Kleth niemal jak promienie słońca, grzejące jej twarz w ten chmurny, groźny dzień.

- Dziękuję, Głosy Prawdy. Ja też tak uważam. Niepokój i obawy, które ją dręczyły, powoli zaczęły ustępować. Zwróciła się do Jagannathy z uśmiechem. I zobaczyła stężałą twarz Dyrektora.

- Czy ona jest efektem manipulacji? - Jagannatha zapytał olbrzymią Kleth, chłodno obserwując Adriel.

- Dziewczę otrzymało dar.

W jej ciele znów zawibrował strach. Niemożliwe! Nic nigdy jej nie zagrażało!

- Czy skonstruowano ją tak, by mi zaszkodzić?

- Niezupełnie - oświadczyła wom córka. - To Kameleon. Jej kod genetyczny został zmieniony, by mogła odzwierciedlać i kształtować uczucia.

Adriel nie wierzyła własnym uszom. Ledwie chwilę temu ten stwór był przyjazny, komplementował jej ukochanego Chakravalina. Teraz bez najmniejszej zmiany tonu głosu opisywał ją, niczym maszynę zakupioną przez mechaników Dworu.

- Traktuję tę uwagę jako dogłębnie obraźliwą - rzuciła ostro. - Władco, proszę o wskazanie mi drogi powrotnej do moich komnat. Przynosi pan hańbę nam obojgu.

Jagannatha ani drgnął. Zapytał tylko Kleth: - Możesz uodpornić mnie na jej wiedźmie czary?

- To nie są czary. To wzmocnienie zdolności, uśpionej u większości ludzi. Możemy cię przed tym osłonić.

Adriel czuła, że jej policzki płoną z gniewu.

- Przestańcie mówić o mnie jak o nieobecnej! Jeszcze w życiu nie słyszałam takich paranoicznych bredni! Jeśli nie wskażecie mi drogi do moich komnat, znajdę ją sama.

Zdażyła zrobić ledwie dwa kroki, gdy dłoń Jagannathy zacisnęła się boleśnie na jej ramieniu.

- Twoja matka popełniła błąd, który będzie ją drogo kosztował - wycedził. - Myślała, że pošle cię jako tajną broń w samo serce mego domu. To był bardzo głupi pomysł.

Adriel sparaliżował strach, zrobiła więc to, co umiała najlepiej. Powinno wystarczyć, by zmusić go do zabrania dłoni z jej ręki. Nic takiego się nie stało - brutalny uścisk tylko się nasilił. Patrzyła na Jagannathę, ogniskując swą nienawiść i lęk. Moc, która dla jej przyjemności przekształciła złośliwą, trującą balorośl w bezpieczną tratwę do podniebnych przejażdżek, powinna była odebrać Dyrektorowi rozum. Każdy inny człowiek zszedłby jej z drogi, zagubiony, bełkoczący, bez pamięci o czymkolwiek poza potrzebą ucieczki.

Wstrząśnięta, zwróciła spojrzenie na nieruchomą sylwetę wom córki

- Powstrzymaj go! Czemu to robisz?

- Nie mogę - powiedziała Kleth spokojnie. - Mamy przymierze z rodziną tego człowieka. Jestem zobowiązana do unieszkodliwienia twoich mechanizmów obronnych.
- Chakravalin będzie...

Przerwał jej niedowierzający śmiech Jagannathy.

- Ten dzieciak? To zero? Powiadają, że go kochasz. Patrzyła w jego oczy, ale Jagannatha nie ulegał sile jej spojrzenia. Robił coś przy swoim ubraniu. Nie, nie. To niemożliwe. Niewiarygodne. Jedną ręką przytrzymał ją boleśnie, a drugą rozchyłał swój strój. Chwycił jej sari i rozdarł je. Nie. Coś takiego zdarzało się tylko w koszmarach, w upiornych opowieściach. Zaczęła krzyczeć, wyrzuciła pięścią w jego twarz. Podkurczyła nogi i zaczęła okładać jego półnagie ciało. Nikt nie biegł z pomocą. Porażona lękiem uświadomiła sobie, że to osobista domena Dyrektora, jego uświęcony rewir. Zapewne żołnierze oglądali wszystko na monitorach nadzoru i zaśmiewali się. Targała nią furia. Jagannatha przyparł ją do murku przy ogrodzeniu gniazda Kleth. Nie zamierzała godzić się na tę ohydę. Szarpała się i wrywała, raz za razem uderzając swą wewnętrzną mocą. Nagle stała wolna, poobijana i drżąca, ale nieskalana.

- Niech cię diabli! - spoliczkował ją i odsunął się, okrywając się ubraniem. Adriel chwyciła strzępy swego stroju. - Coś mi zrobiła, więdźmo?

Nie potrafiła pojąć, czemu jej nie posiadał, kiedy najwyraźniej była już całkiem w jego władaniu. Cofnęła się, spoglądając to na twarz rozwścieczonego Jagannathy, to na nieruchomą wom córkę.

- Pozbawiła was potencji, Dyrektorze - odezwała się obca. - Obróciła waszą przemoc przeciwko jej samej.
- Milcz, ty ślepy, brzydki, czartowski zwierzu! - Jagannatha był już całkowicie ubrany. Podszedł do Adriel, a z jego nabrzmiałej krwią twarzy emanowała czysta wściekłość.
- Dobrze więc! - Strużki śliny spryskały jej twarz. - Nie mogę cię mieć. Ale chłopiec też nie będzie cię miał.

Dygotała w reakcji na stres, ale mówiła całkiem wyraźnie:

- Jeśli skrzywdzisz Chakravalina, sprawię, że każdy mieszkaniec twojego odrażającego imperium dowie się, co dziś zaszło. Cała Galaktyka będzie się śmiać.

Przez chwilę bała się, że zabije ją gołymi rękami. Powstrzymał się jednak, zmusił do chłodnego opanowania.

- Nie skrzywdzę go, więdźmo. To mój syn. To mój Dziedzic. Nie, nawet nie tknę dzieciaka. Zaśmiał się i odwrócił od niej. - Oczywiście nie będzie mógł poślubić zdrajczyń.

Ból przeszył jej serce. Jej ciało. Wiedziała, że musi to znieść, więc wytrzyma. Chakravalin znajdzie ją. Ona go odnajdzie.

- A zatem odeślij mnie na Tiresias. Będę milczeć.

- Mam cię odesłać? - Jagannatha patrzył na nią, zdziwiony. - Ach, źle mnie zrozumiałaś. Nie poślubisz mojego syna, tego mięczaka, Adriel z Corydonu, ponieważ biorę cię na moją oficjalną Dyplomatyczną Kochankę.

Pierwszy raz w swym życiu miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Zachwiała się na nogach.

- Powiadomię o tym waszą Ambasadę - ciągnął Dyrektor. - To wielki zaszczyt, większy niż byle małżeństwo z synem Imperatora.

„Nazywa siebie Imperatorem”, pomyślała. W jej głowie coś ryczało.

- Nigdy nie pójdę z tobą do łóżka! - krzyknęła, gdy odchodził.
- Tylko ty i ja o tym wiemy - odparł, czekając, aż ruszy za nim do szybu. - Chyba że pragniesz śmierci chłopca.

Ziemia wewnątrz ogrodzenia bryznęła grudkami, wypiętrzyła się i opadła. Kleth znikła. Znów zaczął padać ciężki, monsunowy deszcz, bębniąc o dach, przeobrażając gniazdo wom w jeziorko błota.

„Gwałciciel”, pomyślała. „Gwałciciel, morderca, rzeźnik”.

Będzie czekać. Będzie milczeć i czekać noc po nocy, aż przyjdzie jej szansa.

hipersen

To koszmar! Chcę się obudzić. O, proszę, dajcie mi się obudzić.

Nie śnisz. Nie bardziej niż zwykle.

Powiedziałaś jednak...

Ależ, człowieku, pokaż trochę charakteru! To nie przystoi komuś takiemu jak ty. Czyż nie tłumaczyłeś temu młodemu, na czym polega jego obowiązek w obliczu przerażających zdarzeń?

Ja... Tak. To prawda. Wybacz.

Bynajmniej nie nam godzi się sądzić czy wybaczać. Jesteśmy filozofami z otchłani.

A jednak dręczy mnie mój sen...

Proszę bardzo. Opowiedz ów sen, nie gwarantujemy jednak, że nasze tłumaczenie zadowoli cię. Z drugiej strony, być może posłuży ci już samo to, że go opowiesz.

Dziękuję. W pewnym miejscu zebrali się Trzej Władcy.
Podaj ich imiona.

To starożytne imiona, które zapożyczyłem... które zostały zapożyczone z najdawniejszych pism. Jeden z nich to Wiśnu. Słyszałeś o nim?

Naturalnie. To symbol trwania. Dobrze znamy jego osiem ramion, jego cztery oblicza: siłę, wiedzę, władztwo i moc. Obawiam się, że w tym wypadku wszystkie twarze są ukryte.

To prawda. Wiśnu skrywa swe twarze w cieniu. Obawia się tego, co ma nadejść.

Czy ten Wiśnu ma żonę?

Jego partnerką jest Lakśmi, zrodzona z węzowej kipieli w mlecznym morzu. Ona jednak też jest przed nim ukryta.

Twój sen wydaje się dziwnie znajomy, nie sądzisz? Musisz jednak podać jeszcze jedno imię

czy raczej dwa.

Dwa. Zaiste, zaczynam drżeć w obawie.

Zapanuj nad sobą. Mów o tych dwóch pozostałych. Czy to bogowie?

Myślę, że to na pewno bogowie. Albo dwa aspekty tej samej, wielkiej zasady. Ten drugi to Siwa, niszczyciel, czteroręka siła równoważąca tę, którą wymieniłem najpierw.

Tancerz. Ja jednak uważam, że nie jest tylko niszczycielem. Ze swojego bębna rozpościera cały wszechświat i zachowuje go swoją drugą prawą ręką. W płomieniu wchłania go z powrotem w siebie. Póki to się nie dokona, ten świat utrzymywany jest w iluzji i powtórzeniach dzięki tupaniu jego stóp. Owszem, wiem o nim.

Myślę, że tych dwóch, Wiśnu i Siwe, nie tak łatwo rozłączyć. Drzę na ich widok. Wiśnu dosiada swego ptaka Garudy, Siwa przybywa z łoskotem na grzbiecie wielkiego białego byka Nandi. Czego ode mnie chcą? Kim jestem, by ich wyśnić?

W rzeczy samej. Kim jesteś, Kapitanie Dayananda?

Ależ tak, jestem... Ale jest jeszcze trzeci. W moim śnie jest on wciąż najstraszliwszym, najpotworniejszym z całej trójki.

Wymów jego imię - a może to ona? Czyżby był podobny do Kleth?

Imię jego to Brahma. Ale on... Masz rację, to kobieta. A może się zaplątałem. Wylania się ze złotego jaja. Tworzy niebo i ziemię. Zdobia go wieńce, a w dłoniach trzyma ofiarne narzędzia. Narzędzia...

Weź to, Dayanando. Weź to, co ukryte w złotym jaju, i zanieś mu. Będzie potrzebował tego cudu.

Czy Wiśnu i Siwa muszą... Och. Och. Och. Boję się. Drzę z lęku. Chciałbym się obudzić. *Jak my wszyscy, stary człowieku. I wszyscy obudzimy się, kiedy dokona się praca, a wszechświat wróci wewnątrz bębna Siwy, i nieskończony cykl zacznie się ponownie.*

TERAZ

No jasne.

Żadnych kosmolotów, Dayton. Mama powiedziałaaby, że to wszystko jakieś kompensacyjne rojenia. To prawda, że miałem problemy z nawiązywaniem przyjaźni, kiedy Thomas nie mógł oprowadzić mnie po „impreszowniach” Sydney. Zabijałem czas, czytając, a popołudniami jeździłem na plażę i uczyłem się odstawiać wariackie sztuczki na desce z laminowanego włókna szklanego. Bądź co bądź, większość życia (przynajmniej od chwili, kiedy cokolwiek pamiętam) spędziłem generalnie w okolicach Pustyni Simpsona, gdzie ostatnio można było sobie poszaleć na desce jakieś pół miliarda lat temu, jeśli nie jeszcze dawniej.

Przy okazji jeszcze mocniej się opaliłem (przecież nie zawsze padało), ale ze zdumieniem odkryłem, że laski, które lecą na surferów, w większości są niewiele starsze od tych

trzecioklasistek, które z radością zostawiłem ich losowi w Bazie. Te starsze wyglądały już na wiekowe, miały pryszczki, żuły gumę i paliły.

Nie żebym nie spotykał rówieśniczek.

W ciągu następnego tygodnia Celia Zębolog-Amator kilkakrotnie odwiedziła mnie, wracając z pracy, albo namierzała mnie na plaży (jeśli nie byłem otumaniony palącym słońcem, to kryłem się przed letnimi burzami). Była tak miła, że przedstawiła mi kilku swoim przyjaciółkom. Żadna z nich nie gawędziła o zębach. O szczęście niepojęte! Wszystkie bez wyjątku były urocze, atrakcyjne, przyjazne.

Bąłem się ich jak jasna cholera.

Moje rozmowy z płcią przeciwną zaczynały się zawsze i kończyły dźwiękami typu: „Eechh”, „Mghm” czy „Urhm”. Część środkową, bez wyjątku krótką, też wypełniałem tym bełkotem.

Celia, Judy, Susy i Sandy były zbyt dobrze wychowane, by na mój widok robić dziwne miny, wybałuszać oczy i wywalać języki z rozdziawionych ust, ale byłem pewien, że lada chwila zaczną to robić. Kiedy cała konwersacja ze strony mężczyzny składa się z odgłosów krztuszenia, trudno o romantyczność.

Dziwicie się, że moje poglądy na życie cechował cynizm, gorycz i inne skrzywienia?

Dziwicie się, że odbiło mi i poszedłem na totalne fantazje, żeby sobie ulżyć?

Tyle że to chyba zbyt łatwe wyjaśnienie.

Zbyt gładkie.

Ten inny świat, cholera, jest zanadto realistyczny.

I w ogóle skąd te obciachowe imiona i nazwy? W życiu o czymś takim nie słyszałem. Zmyślenia. Bajer. Podświadomość czy co tam.

To nie jest prawdziwe. Nie może być.

Kocham mojego ojca. Naprawdę. Nie chcę... nie chcę zabić...

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... dziesięć

Nim minie dwanaście godzin od powrotu Dworu do stolicy Imperium, Orissy, Najwyższy Dyrektor Jagannatha, Pan Shirampuru i Galaktyki Ludzi, wkracza do strzelistej, rzeźbionej światłem, monumentalnej Komnaty Rady i zajmuje swoje miejsce na jaskrawym tronie linga. Kolumna tronu wysuwa się gładko z podstawy yoni i unosi Dyrektora trzy metry ponad marmurową posadzkę. Pod jego siedzeniem baraszkuje tuzin czarnych i płowych tygrysiąt, zwolnionych z więzi i ozdobionych pięknymi, wysadzanymi klejnotami obrazami. Czujnie obserwują je treserzy w liberiach - tak się składa, że to także najlepiej wyszkoleni w walce wręcz członkowie lejbgwardii Dyrektora. Członkowie Rady stoją z szacunkiem na baczność, póki Jagannatha nie uniesie się nad ich głowy, wpatrując się zimno w szeregi. W milczeniu

siadają na swoich miejscach. W tej komnacie przyzwyczajali się milczeć. Jagannatha rzadko pyta Radę o zdanie w kwestiach polityki.

Jagannatha spogląda na nich niczym przerażająco komiczne objawienie boga Krysny. W odprasowanych białych szatach wygląda na bandziora nawet bardziej niż zwykle. Dyrektor nie bawi się w formalności, z miejsca przechodząc do rzeczy.

- Moi panowie Shirampuru, nie będę nazbyt długo zatrzymywał was z dala od waszych obowiązków. Mam dla was wieści z długiej i krwawej wojny z naszym nieprzejednanym wrogiem, Sojuszami Centrum.

Zgromadzeni możnowładcy są poruszeni. Było wiele plotek, ale w kosmicznym protoimperium tak wielkim, jakie zdołała wytworzyć ta dynamiczna kultura, żaden raport nie jest wiarygodny, póki nie nadejdzie potwierdzenie ze źródła. Największa władza Jagannathy leży w tym, że wzorem swego ojca i dziadka stał się jedynym źródłem wszystkich najważniejszych informacji i decyzji.

- Od dawna staraliśmy się podporządkować Dyrektoriatowi naszych wrogów - warczy Jagannatha chrapliwym głosem wojownika. - Oni jednak wciąż trzymali się strzępów, resztek dawnej chwały, które pozostawały w ich rękach.

Zaskoczył wszystkich uśmiechem.

- Mam dobre wiadomości. Dzięki wspaniałemu dowodzeniu Kontrolera Khurdda w Gaunilo, zarówno w przestrzeni, jak i na planetach, Shirampur doprowadził do tego, że rzecznik naszych nieprzyjaciół błaga o pokój.

Natychmiast wszczyna się harmider - każdy Rajca okazuje sąsiadom zaskoczenie, satysfakcję, hamowane obawy. Jednak hałas równie szybko ustaje pod mrocznym, karcącym wzrokiem Jagannathy.

- Kapitanie Dayanando! - Głos wywyższonego Dyrektora nie potrzebuje wzmocnienia. - Podejdźcie i przekazcie Radzie raport naszego dowódcy, Khurdda.

Punktowe światło reflektora wylawia oficera z mroku. Dayananda wstaje, podchodzi bliżej ze stukiem obcasów i robi zwrot, by stać twarzą zarówno do Dyrektora, jak i Rady. Jeśli coś w jego postawie sugeruje niechęć czy wręcz sprzeciw, są to oznaki zbyt subtelne, by spowodować naganę.

- Mój Władco, Dyrektorze, i wy, panowie - mówi wyraźnie, ale dziwnie obojętnie - pozdrowienia od Pana Khurdda. Donosi on o zbrojnych sukcesach, które ogłosił już Dyrektor, oraz prosi o zgodę na zniszczenie wrogów, póki wciąż są osłabieni.

Dayananda wraca na swoje miejsce i z nieruchomą twarzą siada z powrotem, składając dłonie na podołku.

Jego słowa powodują kolejny wybuch. Nawet tak wytresowana gromadka arystokratów nie została zupełnie pozbawiona mowy. Jeden woła z niedowierzaniem:

- Przecież będą z nami zajadłe walczyć przez całe pokolenia!

Inny wrzeszczy chrapliwie:

- Tak! Tak! Zniszczyć ich natychmiast, spalić ich ciała i kości!

Jagannatha toleruje ten rwetes przez pół minuty, po czym przerywa go nonszalanckim

uniesieniem prawej dłoni. Straże przesuwają się nieco bliżej rozkrzyczanych Rajców. Jeden po drugim Rajcy wracają do swoich miejsc. Dayananda przez cały ten czas nawet nie drgnął, teraz też siedzi nieruchomo. Patrzy na nieokrzesane, ale absolutnie opanowane rysy Dyrektora. On sam omiata komnatę wzrokiem.

- Przed nami dzisiaj tylko jedno pytanie. Czy działania zaproponowane przez naszego genialnego, zwycięskiego dowódcę służą najlepiej interesom Shirampur, czy też mamy przystać na warunki Sojuszów, ryzykując w niedługiej przyszłości kolejny bunt?

Obserwuje to, co się dzieje w komnacie. Wśród Rajców znów zaczynają się rozmowy, ale ciche i bardziej uładzone. Ci barbarzyńscy książęta mają swoją hierarchię, zobowiązania, polityczne układy, a równocześnie aż nadto rozumu, by pojąć, że stoją w tej chwili na krawędzi decyzji, której konsekwencje mogą być ogromne. Jagannatha nie ukrywa zniecierpliwienia, kiedy członkowie Rady naradzają się gorączkowo. Kolejny gest i przywołuje ich do porządku dowódca straży, wzywając pierwszego Mówcę Porady na mównicę.

Kiedy ten chudy, siwowłosy starzec podnosi się z miejsca, w pobliżu Wejścia Dynastów do wielkiej komnaty powstaje lekkie zamieszanie. Rady zerkają w tamtą stronę. Pierwszy Mówca przystaje, dostrzega powód zamieszania i jest tak zdumiony, że waha się jeszcze przez chwilę.

Wielkie drzwi w kształcie lotosu, wiodące do szybu nośnego Dynastii, otwierają się bezgłośnie. Pierwszy raz w życiu Chakravalin odważył się skorzystać z praw Dziedzica.

Wchodzi do Komnaty Rady.

Ubrany w szkarłatne płótno i białą skórę młodzieniec wygląda świetnie. Jego rysy odzwierciedlają dojrzałość i pewność podjętej decyzji, co jest dla Jagannathy wstrząsem. Z wysokości tronu Dyrektor obserwuje wejście swojego najstarszego syna - i po raz pierwszy w życiu czuje lekki strach z dala od śmiertelnego zamętu pola bitwy.

- Co tu robisz, chłopczyku? - warczy. - To komnata dla mężczyzn.

Pierwszy wyznaczony Mówca robi kolejny krok ku mównicy i znów się waha, nękany niepewnością czeka na dalszy przebieg wydarzeń. Jego towarzysze szepczą skrycie i wykręcają szyje, by śledzić Dziedzica. Sterczący w przejściu Mówca wygląda dość komicznie, ale nikt nie zwraca uwagi na jego dyskomfort. Dziedzic podchodzi bezpośrednio do yoni, podstawy kolumny, na której w chwale zasiada jego ojciec. Tam lekko iskrzy pole Ochrony, nie pozwalając mu podejść bliżej. Chakravalin, zgodnie z przysługującym mu prawem, jest uzbrojony w broń promieniową i ceremonialny nóż, ale nie sięga po nie. Przez wielką salę niesie się pomruk zaskoczenia i ulgi, kiedy młodzieniec klęka, oddając hołd władcy. Tygrysięta igrają przy jego dłoniach i włosach, liżą go po twarzy. Chakravalin wstaje i odchrząkuje.

- Pragnę wybaczenia Dyrektora i jego Rajców za to najście. - W głosie młodzieńca wyraźnie słychać powstrzymywane jeszcze wściekłość i lęk. - Wedle przyrodzonego mi prawa proszę o pozwolenie na wypowiedzenie się w rozważanej kwestii.

Jagannatha nie ma żadnych legalnych podstaw, by mu tego zabronić.

- Hmm. No dobrze, mów swoje tak szybko, jak możesz, i zmykaj.

- Dzięki ci, panie.

Kiedy Chakravalin podchodzi, by zwrócić się do Rady, wyznaczony Mówca wraca do swojego siedziska, pomrukując gniewnie. Jagannatha obserwuje wchodzącego na mównicę syna, a myśli kotłują mu się w głowie. Od dzieciństwa przez wiek młodzieńczy wywierał na niego coraz większą presję, rozmyślnie łącząc okrucieństwo z obojętnością. Jest pewien, że jego motywy były nie mniej złożone od tych, jakimi przez wieki kierowali się wszyscy ojcowie, których synowie prędzej czy później mogliby rzucić wyzwanie ojcowskiemu autorytetowi i zająć ich miejsce, ale zdaje sobie sprawę, że całkowicie uczciwie patrząc, zamierzał głównie uczynić Chakravalina niezdolnym do takiego właśnie buntowniczego działania, jakiego ten się teraz dopuścił. Musi świadomie wyteńczyć wolę, żeby przywrócić swój tradycyjny, sardoniczny spokój i skupić się na słowach syna. Pewność siebie Chakravalina rośnie, im dłużej przemawia. Na to nie można pozwolić. Tego przecież właśnie lękał się przez te wszystkie lata. Czyżby los splótl jego wszystkie wysiłki właśnie tak, żeby stała się ta straszliwa rzecz, której chciał zapobiec?

- Prawda to coś więcej niż doraźna wygoda - oznajmia Chakravalin drżącym głosem, mocno zaciskając dłonie na podium mównicy. Nie odwraca jednak wzroku od Rajców, którzy patrzą nań, wciąż zadziwieni. - Federacja to jedyny godny nas cel. Aż za dobrze wiemy, co stało się udziałem ludów Galaktyki ostatnim razem, gdy Imperium pozwolono rozrastać się bez opanowania, aż przeobraziło się w niepowstrzymane narzędzie dominacji.

- Zdrada!

- Gorzej! To herezja!

Chakravalin przerywa stropiony. Zerka na Dayanan-dę, który siedzi bez ruchu pośród Rajców. Oficer przez chwilę patrzy nań bez wyrazu, po czym lekko skłania głowę. Dziedzic przełyka ślinę, z rozmysłem rozwiera zaciśnięte na podium palce i zmusza się do rozluźnienia mięśni.

- Nieprawda! - woła. - To nie zdrada ani herezja. Nie stoję na przeszkodzie marzeniom mojego ojca o Imperium. Chciałbym tylko przekazać wam ideę... prawdę, rzeczywistość: że Imperium to przystanek na drodze do większych marzeń... do snu o Federacji Światów. Znów przerywa, ale tym razem płonie wewnętrznym przekonaniem. Kątem oka widzi, że Dyrektor na swoim wyniesionym tronie siedzi nieruchomo jak posąg. Tak samo jak pozostali. Nawet czas jakby zwolnił.

- Nie możecie wymordować komuś rodziny i oczekiwać, że będzie was kochał - mówi Chakravalin z zaangażowaniem. - Tak, to truizm, uważany w naszych akademiach wojskowych za nieistotny dla budowniczych imperiów. Miłość jest dla sentymentalnych dzieci i kobiet. Coś, czemu można się oddawać w domowym zaciszu. Nie ma dla niej w imperialnym wszechświecie większego miejsca. Jednak w Galaktyce wolnych i równych ludzi, w Federacji Suwerennych Światów, którą polecam wam jako przedmiot marzeń i aspiracji, jest to siła, która przeciwstawi się okrucieństwu... aż do śmierci. Nie wolno nam zantagonizować mieszkańców Centrum brutalnym ludobójstwem, którego żąda Khurdd. Powiadam wam, realizacja naszego marzenia jest bliższa, niż kiedykolwiek mieliśmy nadzieję. Najwyższy Dyrektor ujął to w swoim raporcie: państwa Centrum proszą o pokój. Czy to podstęp? Czy to nieuniknione, że ich odpowiedzią na naszą dobroczynność może być tylko łotrowska dwulicowość, atak w momencie, gdy tylko wycofamy nasze wojska? Moim zdaniem, nie. Moim zdaniem, to jest nasza szansa na Imperium pokoju. To najważniejszy krok, jaki musimy zrobić na drodze do pokojowej Federacji całej ludzkości.

Serce mu wali na myśl o tym, na co się poważył. Chakravalin odchodzi od mównicy, idzie w zupełnej ciszy, aż znów stoi na krawędzi pola Ochrony, u stóp kolumny podpierającej tron ojca. Treserzy odciągają warczące, uwięzione na łańcuchach tygrysięta.

- Panie Jagannatho. Ojcze. Wysłuchałeś mych słów. Mówiłem o teorii. Proszę cię teraz, byś ową teorię przetestował. Khurdd chce podpalić wszechświat. Proszę cię, byś odebrał mu dowodzenie... - Rada podnosi ryk protestu. Chakravalin jednak też podnosi głos, niemal krzyczy: - Pozwól mi zanieść pokój władcom Centrum, a przysięgam, że naszemu nowemu Imperium oszczędzone będą krwawe tragedie, jakie w przeciwnym razie pociągną nas do nowego Upadku!

Spowolniony czas waha się przez moment, jakby wskazówki zastygły w miejscu. W światłocieniu wielkiej komnaty ten beczasowy moment ciągnie się bez końca. Szczupły, wysmukły Dziedzic jest jak płomień gorejący u stóp Dyrektora. Jagannatha jest jak chłodny posąg furii, z wargami zaciśniętymi w zbielałą bliznę i mocarnymi, czarno owłosionymi dłońmi zaciśniętymi na rzeźbionych poręczach zdobionego tronu.

I czas znów rusza z szarpnięciem na chrapliwy dźwięk jego donośnego śmiechu. Jagannatha odrzuca w tył głowę, a jego gorzka kpina niesie się po całej sali. Ironia, zdumienie, już nie gniew.

Chakravalin wiotczeje, utrzymuje się na nogach tylko dzięki hartowi ducha. Zawiodły argumenty i prośba. Teraz musi zrobić to, czego za wszelką cenę chciał uniknąć - i co pragnie zrobić całym zatrutym sercem.

Jagannatha chłoscze go sarkazmem jak biczem.

- Nieszczęsny Chakravalinie, gdybyś nie był owocem mych lędźwi, bez wątpienia oddałbyś życie za to, co tu dziś powiedziałeś. Mętne sentymety w twym nędznym mózdzku przerodziły się w zdradę i herezję. I ty chciałbyś dowodzić!

Jego śmiech pali jak kwas.

- Prędeż oddałbym dowództwo błaznowi, który bawi moich dworzan. Moje nieszczęsne dziecko! Chciałbyś spomiędzy kobiet i dzieci wypuścić się między mężczyzn?

Odchrząkuje, dobywa z gardła grudę flegmy i posyłają splunięciem pod stopy Chakravalina.

- Idź do domu. Zapomnę, że ten żalorny wybryk w ogóle miał miejsce.

Dyrektor podnosi wzrok na Radę. Bez wahania, całkowicie ignorując syna, mówi do rzędów zszokowanych Rajców:

- Podjąłem decyzję. Khurdd ma zrealizować swój plan: światy Centrum mają zginąć. Imperium nie zniesie rywali. Dziękuję panom za ich obecność. To wszystko.

Jagannatha zamasyście okrywa się połami szaty i sprowadza okryte baldachimem, olbrzymie siedzisko na podłogę. Chakravalin stoi na jego drodze jak gliniana zabawka. Dyrektor przechodzi obok, jakby mijał psa, idąc w kierunku Wejścia Dynastów. Liście lotosu rozwierają się przed nim. Chakravalin obraca się na pięcie z twarzą pobladałą z przerażenia i determinacji.

- Czekaż, Jagannatho!

Jego załamujący się głos niesie się po sali. Jagannatha demonstracyjnie zatrzymuje się na jednej nodze i odwraca z sardonicznym uśmiechem. Niemal łagodnie mówi:
- Chakravalinie, powiedziałem ci już, żebyś wracał do swoich komnat.

Młodzieniec idzie jednak twardo naprzód, spokojny, choć drżący. Woła głosem, który mrozi Rajców, tak zupełnie brak w nim ludzkich uczuć:

- Jagannatho, jako pierworodny Dziedzic, wedle prawa Yamany, Pierwszego Dyrektora Shirampur, powołuję się na Pretekst.

Zapada martwa, potworna cisza. Jagannatha patrzy na syna bez wyrazu.

- Wyzywam cię na Otwarty Bój.

- Rzecz jasna, przyjmuję - mówi krzepki, posiwiały mężczyzna i nie odzywa się już więcej. Odwraca się od syna i opuszcza komnatę, w której znów rozbrzmiewają podekscytowane głosy.

hipersen

Yamana! Znam to imię! Napełnia mnie ono obawą.

Bo też powinno, człowiecze. Pamiętaj! Wspomnij, jak inaczej go nazywano...

Tak! Zwali go... Małpą? Nie. Dzieckiem? Niemożliwe. Ach, już pamiętam! Karzeł!

Oto legenda. Nawet za życia był już legendą.

Teraz, kiedy to sobie przypominam, mógłbym niemal przypuszczać, że naprawdę żył w ludowej opowieści. Te opary! Te przeklęte mgły, spowijające wspomnienia...

Być może żywoty wszystkich wielkich ludzi muszą się układać według tego wzorca. Masz rację - jego dzieje są jak mapa klasycznych szlaków, jakimi kroczył każdy ludowy bohater. Powiedz, co o nim wiesz.

Jakże zdołam rozdzielić prawdę od mitów? Powiadają, że Yamana urodził się wśród zamętu wojujących, nowo powstałych królestw między Obrzeżem i Centrum. Nisko urodzony miał tylko jedną możliwość, rokującą nadzieję awansu - karierę w wojsku.

Chwycił się jej, jakby zawładnął nim sen o chwale.

Sen? Wiem coś o snach...

Człowiecze, jedyne, co znasz, to sny. Zanurz się w nich. Sięgnij w głąb pamięci, która snem jest jeno, i opowiedz mi o Yamanie i Kleth.

O Kleth? Przecież ty jesteś Kleth. Wiesz wszystko o waszych związkach z legendami.

Sięgnij do swych snów, a znajdziesz tam wszelką wiedzę, której potrzebujesz. Przypomnij sobie tego martwego człowieka, Yamana, ojca Vasudevy Zdobywcy, dziada Dyrektora Jagannathy. W rzeczy samej, ucieleśniony paradoks! Barbarzyńca i człowiek kulturalny, wojownik i prawodawca. Czyż to nie Yamana dał Shirampurowi napęd międzygwiazdny i Kodeks Praw ?

Chcesz powiedzieć, że to od was otrzymał te dobra?

Czyż nie tak mówią legendy?

Nie umiem... Chwila. Tak, to prawda. Powiadają, że Yamana udał się do mrocznych sił władających upadłą Galaktyką i wyzwiał owych ukrytych władców na zawody, pragnąc zdobyć owo władztwo dla siebie.

Ha! Słyszac takie baśnie, ryczały ze śmiechu. Wy, ludzie, bardzo kochacie puszyć się, przechwalać i z prostych faktów robić rzeczy absurdalne.

Czyż nie powiadają, że Yamana wziął swój kosmolot o nowych, porażających silnikach i przeleciał nim po trzykroć w poprzek Galaktyki, zdobywając w ten sposób cały teren leżący wewnątrz tej przerażającej swym ogromem trasy?

Owszem, słyszałam barbarzyńskie obrzędy, w których o tym mówiono, śpiewano czy skandowano. Nie przeczę, Yamana otrzymał od nas wiele darów. Był on też jednak wielkim kpiarzem. Być może sam szerzył te opowieści, dla naszej i własnej zabawy.

Kpiarz. O, tak. Któż inny uczyniłby prawem tak ohydny obyczaj, jak Sąd Pojedynku? Chyba tylko najbardziej sardoniczny dowcipniś mógłby zaproponować rozstrzygnięcie sporów poprzez bezpośrednią walkę na arenie, gdzie wszystkie chwytaki są dozwolone, a żaden cios czy podstęp nie jest zabroniony!

Rozumiesz już, człowiecze? Rozumiesz, o czym mówimy?

Rozumiem tylko, że Jagannatha musi zarżnąć własnego syna w nierównym pojedynku. Widzę tylko makabrę i ruinę.

Czyżby w tak ekstremalnej sytuacji zawiodła cię wyobraźnia? Otwarty Bój jest przecież otwarty i dla jednej strony, i...

Dla drugiej? Ależ jak chłopiec zdoła przechytryć tak sprytnego ojca?

Cieszę się, że o to zapytałeś.

TERAZ

Chwila prawdy przyszła w sobotni wieczór. Wiedziałem, co się święci, ale dałem się namówić na wyjście z Celią do „Blue Suede Shoes”.

Terytorium Północne to matecznik rockabilly. Miejscowe radiostacje nie nadawały niemal nic innego, od kiedy ganiałem w krótkich majtkach. Pasterze - Aborygeni -lubili tę muzykę może nawet bardziej od swojej i grali ją przy ogniskach, paląc skręty z machorki i przytupując, odziani w kraciaste koszule i wypłowiałe na słońcu dzinsy. Nie brzmiało to może tak bogato jak rock produkowany w studiach nagraniowych, ale były w tym rytm i serce, które pokochałem.

Mama nauczyła mnie tańczyć rock'n'rolla, wirując i przemykając się pod moim ramieniem przy starych longplayach, które w latach pięćdziesiątych przywieźli z tatą ze Stanów: Eddie Cochrane, Gene Vincent, Elvis z Memphis.

Rzecz jasna, kiedy się dowiedziała, że „Blue Suede Shoes” w Bondi to mekka fanów rockabilly, znów zaczęła kombinować.

Celia zjawiała się tak odstawiona, że moje nieszczęsne oczy jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziały. Podkolanówki, plisowana spódniczka, nawet, jak rany Boga, włosy w koński ogon - nie mam pojęcia, jak ona to zrobiła, tydzień temu była ścięta na króciutko.

- Zmykaj - powiedziała mi mama i zasłoniła telewizor.

Miałem wypolerowane do połysku lakierki na słoninie, jarzeniowe skarpetki i ćwiekowany pasek. Podwinąłem rękawy koszulki aż pod pachy, żeby pęczniejące mięśnie prezentowały się lepiej w migotliwej poświacie kineskopu. Tom wykopał gdzieś słoiczek Brylcreemu - zarzekał się, że to nawet lepsze niż żel, no i teraz wszystkie włosy na mojej głowie były podkreślone, zaczesane do przodu w fałdę niczym opona krążownika szos z epoki, taka z białym bokiem, a potem robiły ostry zwrot w tył, tworząc klasyczny kaczki kuper. Czuję się jak rasowy pajac.

Celia zapiszczała z wrażenia i złapała mnie za rękę, a ja czekałem, aż rozstąpi się dywan i piekło mnie pochłonie.

Nie, tak naprawdę to czuję się zajebiście. Powietrze w Bondi było gęste od soli z rozgrzanego latem oceanu, piwa, hamburgerów, smażonych ryb i frytek. Z ciemnych kątów zalatywało trawką. Pojawiali się i znikali wielgaśni Maorysi, przeważnie w towarzystwie wielgachnych Maorysek. Bez przerwy się śmiali.

Tom pozwolił mi wziąć MG. Zaparkowałem pośrodku ulicy - i tak wszyscy tam stali, stłoczeni zderzak w zderzak.

W klubie latały marynary, moje ręce też, ale znajome rytmy podziałyły uspokajająco. Było tłoczno i mroczno, mimo czerwonych i niebieskich świateł, ale miło było choć raz samemu posłużyć za instruktora. Celia niespecjalnie знаła się na tańczeniu prawdziwego rockabilly, ale uczyła się jak błyskawica, naśladowanie szło jej świetnie. Więc się gibałem i hasałem, a potem przedarłem się jakoś do baru. Zamówiłem drinki, z rumem. Przez chwilę barman przyglądał mi się podejrzliwie, ale spojrzałem nań z wysokości i ustępliwie podał szklaneczki. Z zajętymi dłońmi odwróciłem się od baru - i zobaczyłem Tę Dziewczynę.

Śmiała się radośnie w ramionach jednego z koleś, których poznałem w Manly, nawet miłego bruneta. Chłopak studiował prawo. Od tego momentu nienawidziłem go z całego serca. Zabiłbym gada.

Nienawidziłem wszystkich, którzy kiedykolwiek wyszli z Nią na randkę. Z odrazą myślałem o każdym, kto kiedykolwiek spojrzał na Nią pożądliwie, czy choćby z lekkim zainteresowaniem.

Jakże chciałbym przebić się przez parkiet i, przekrzykując dudniący kawałek Gene'a Ymcenta, poderwać Ją na jakiś ciekawy albo szarmancki tekst. Tylko się przez to nienawidziłem, bo w głębi ducha podejrzewałem - ba, wiedziałem - co by się stało, gdybym próbował Ją zagadać.

Dokładnie wiedziałem, co miałbym Jej do powiedzenia.

Ot co: „Eechch”.

20 rok Imperium ...wspomnienie... jedenaście

W dwójnasób oderwana od macierzystej planety, targana nostalgią Adriel ponuro wyglądała przez okno na przepięknie oświetlony późnym popołudniem ogród. Światło słońca Rishipatany było nieco czerwiejsze od biało-złotego blasku padającego na Shirampur, a w porównaniu z błękitnawym lśnieniem zalewającym Tiresias wyglądało niemal blade. Zalane rdzawym światłem trawniki budziły tęsknotę. Za koronami drzew płynęła olbrzymia Kashi, niczym ocean oleju. W drzewach świergotały i trzepotały ptaki, sadowiąc się do snu. Na planecie wypoczynku trwała jesień, ale łagodna, ciepła. Adriel musiała niechętnie przyznać, że miło było opuścić Orisę, gdzie bez końca lały monsunowe deszcze.

Ktoś szedł ścieżką tam, na dole. Spojrzała i zakłuło ją serce. Chakravalin brnął niczym ślepiec ku chodniczce, wiodącemu ku rzece. Ostatnio w ogóle na nią nie patrzył. Wydawało się jej, że zeszywniał z tłumionej nienawiści. Na zewnątrz widać było tylko opryskliwość i wahania nastrojów, ale chłopiec był jak mina, czekająca, aż cokolwiek uruchomi zapalnik. Tak jak i ona sama. Znikł z jej pola widzenia.

Zgrzytając zębami, Adriel otworzyła na oścież wykuszowe okienko i przywołała do siebie ptaka. Jeden natychmiast przyleciał pod okno, zwabiony jej mocą. Był duży i połyskliwie czarny. Wystarczyły trzy, cztery machnięcia jego potężnych skrzydeł, by wystartował z drzewa niedaleko Pałacu i stanął na jej wezwanie. Jego ślepka pałały mrocznie wśród zmierzchu.

Adriel przez chwilę przyglądała się stworzeniu. Potwierdziła swą moc nad wszystkim, co żyje, ale jednocześnie wykazała jej bezużyteczność. Cóż mogła zrobić z tym posłańcem? Zmusić, by szponami i dziobem zaatakował Najwyższego Dyrektora, gdy ten wejdzie do jej komnat? Mogłaby nawet nakazać jego tygrysom-zabawkom, by rzuciły się na niego z kłami i pazurami, ale takie morderstwo nic by jej nie dało. Poza tym Jagannatha nie był głupi. Miałby się na baczości. Jego straż spodziewałaby się ataku i ochroniłaby go.

A nawet gdyby zginął z jej rąk, co wtedy? Jego miejsce zająłby jakiś inny potwór, bo przecież barbarzyńskie armie Jagannathy za nic nie dopuściłyby, żeby jego syn objął tron. Chyba żeby to Chakravalin zabił ojca.

Adriel zadrżała na tę myśl. Wypuściła ptaka i patrzyła, jak wystrzelił w górę, by opaść pomiędzy ginące w półmroku liście. Zdjęta niesmakiem zamknęła okno, po czym usiadła przed zlekceważonym ekranem, czekając na swoje dworki.

Te po jakimś czasie zapukały, weszły i zgromadziły się wokół niej jak szczenięta przy matce. Nic nie rozumiały, a ona nie mogła im nic wyjaśnić. Przychodziły co wieczór, rozchichotane wiodły ją do łazienki, nacierały słodkimi mydłami i szamponami, by w końcu wyciągnąć ją z parującej wody i osuszyć wielkimi, puszystymi ręcznikami, tłoczyć we włosy aromatyzowane powietrze i układać fryzury miłe oku Dyrektora. Potem ubierały ją w stroje, okrywające ciało od stóp do szyi, ale na przemian powiewne i przylegające. Dla Najwyższej Władzy była zabawką - daleko jej było do statusu żony, ale służki wiedziały, że jest przeznaczona dla rozrywki ich pana, więc traktowały ją z dziwną mieszaniną szacunku i wzgardy.

Kiedy już skończyły z upiększaniem, zostawiły Adriel w sypialni - jak każdej nocy od chwili przybycia na Rishipatanę, tak jak robiły i będą to robić każdej nocy jej życia na każdej planecie, na jaką rzuci je los, kiedy będzie tam też Najwyższy Władca, któremu może przyjść do głowy kaprys spędzenia nocy w jej towarzystwie. Odeszły wszystkie, z wyjątkiem tej najstarszej i najbardziej mdłej, która z przyjemnością siedziała i pogryzała słodczyce, choćby ciastka, póki odźwierni nie zaanonsowali nadejścia Jagannathy.

Ku niezmiernej uldze Adriel Jagannatha z reguły nie przychodził. Bądź co bądź, jego lud toczył wojnę. To jednak nie pomagało na skurcze lęku, które skręcały wnętrzności Adriel przez całe wieczory, aż wreszcie stłumione dzwonki nakazywały służbie udać się do łóżek, wyspać się na tyle, żeby mogli funkcjonować następnego dnia. Po tym sygnale Jagannatha już jej nie nachodził. Wtedy mogła się odprężyć, zasnąć. A potem zrywać się z koszmarów pełnych pajaków, snów o Chakravalinie, ukochanym, którego utraciła.

Zapukano do drzwi.

Ktoś oznajmił przybycie Jagannathy. Dworka wstała i umknęła z pokoju, spuszczać oczy. Jagannatha wpadł do środka jak cyklon i zatrzasnął z hukiem drzwi. Trzaskał drzwiami, bo czuł potrzebę odciśnięcia swego piętna na wszystkim, czego tknął, a poza tym był wściekły.

- Ha, widzę, żeś gotowa do łóżka. Nie masz lepszych zajęć, niż spanie?

Adriel przyzwyczała się już do tych prymitywnych dowcipów.

- Mój Panie, kształcono mnie w zakresie inżynierii genetycznej. Na tej planecie nie ma takich laboratoriów. Z przyjemnością udałabym się na świat lepiej wyposażony pod tym względem.

Spojrzał na nią ostro.

- Doprawdy? Nie wiedziałem, że jesteś uczoną. Czy kobiety są zdolne do pojęcia takich rzeczy?

Prowokował ją czy może takie pytania stanowiły dowód autentycznej ignorancji?

- Panie, pozwól sobie przypomnieć, że moja matka, Tyranka Tiresias, słynie ze swych naukowych osiągnięć.

- Tak, tak - zbył ją machnięciem dłoni. - Matriarchini wściubiaczy. Nic dziwnego, że ta wasza zapadła planeta tkwi w takim bagnie. Mam ci coś do powiedzenia.

Usiadł przy konsoli w rogu apartamentu i włączył wyświetlacz.

- Nie ma takich wieści, które chciałabym od ciebie usłyszeć, może poza...

- Nie obchodzą mnie twoje zachcianki.

Widziała rzędy słów spływające z ekranu wyświetlacza, diagramy pól kosmicznych bitew.

- Centrum jest o włos od upadku - oznajmił. W jego oczach, podświetlanych blaskiem ekranu, jarzył się tryumf, ale głos nadal był szorstki, obojętny. - Są na łasce Kontrolera Khurdda.

Lada chwila przybędzie oficjalny posłaniec z formalną deklaracją pokojową.

Nim uświadomiła sobie ogrom klęski, minęła dłuższa chwila. Adriel rozumiała, co mówił Jagannatha, ale jej ciało potrzebowało na reakcję całych sekund. Wtedy jednak przerażenie było jak ryk w jej uszach, jak ciężar spadający na jej wszystkie członki.

- Chcesz ich zmiażdżyć... - Widziała to w jego twarzy. - Chcesz uczynić siebie Imperatorem.

- Już nim jestem, choć nie z tytułu. Chodź tutaj.

- Nie.

Przeszedł przez pokój niezgrabnym krokiem - potężnie umięśniony, łysiejący mężczyzna, tak podobny do Chakravalina, że aż nie mogła nań patrzeć. Złapał ją za ramię w tym samym miejscu co wtedy, miesiąc temu, i zawlókł do wyświetlacza. Widniała tam Soczewka Galaktyki. Strzałki i diagramy przecinały jej olbrzymie, spiralne ramiona. Jagannatha naciskał klawisze, a Soczewka kołysała się i obracała. Strzałki i siatki poruszały się jak dłonie, zaciskające się na gardle.

- Oto, co zrobię Galaktyce. Zgwałcę gwiazdy. A tych, którzy wejdą mi w drogę, pozabijam.

Emanowała awersją. Jej moc poraziła ramię Jagannathy, zmuszając go do zwolnienia uchwytu. Zadrżała z odrazy.

- Mnie nie zdołałeś zgwałcić. - Trzęsa się z wściekłości i strachu, otulając się ramionami. - Gwiazd też nie zgwałcisz, bo nie dożyjesz.

Jagannatha spojrział na nią równie nienawistnie. Miał minę siłacza, którego jeszcze nigdy nie pokonano w walce, którego furia była skierowana tyleż samo przeciwko samemu sobie, co przeciwko niej.

- Tylko śmierć mogłaby mnie powstrzymać. Uwierz w to, dziewczynko. A nie ma w Galaktyce takiej mocy, która mogłaby mnie zabić, bo uczyniłem się jej władcą od krańca do krańca.

- Nie licząc Kleth - zdołała wykrztusić mimo dreszczy.

- Nie licząc mnie.

Wtedy coś mrocznego przemknęło za oknem, a potem ponad Pałacem - rozpędzona moc w czerni i błyskach purpury, bezdźwięczna, ale wibracje czuli w kościach jak bicie bębna. Po chwili przetoczył się grzmot, aż zadzwoniły szyby.

- Okręt od Khurdda! - Jagannatha z radości wyszczerzył zęby niczym wilk. Z rozmachem otworzył drzwi. Odwrócił się i powiedział: - Jesteś nieistotna. Przyjdzie czas, kiedy cię posiadę. Jak tylko puszczę z dymem planetę twojej matki Uśmiechnął się jak szaleniec.

- A co do Kleth... Widzisz, oni należą do mnie. Do mnie!
Trzasnęły drzwi.

hipersen

Nie możecie do tego dopuścić.

Nie próbuj nas do niczego zmuszać, starcze. Nam nie można grozić.

To akurat jest jasne. Już raczej spróbowałbym zastraszyć huragan albo eksplodującą gwiazdę.

To obrazy pełne przemocy. My, Kleth, jesteśmy ponad przemocą.

Niestety, my, ludzie, nie jesteśmy. W ich imieniu proszę was o pomoc.

W imieniu dzieci? Czy to będzie twój kolejny ruch w tej grze?

W grze? Odmawiam uznania tej definicji świata rzeczywistego. Owszem, ubiegam się właśnie o pomoc dla Chakravalina i Adriel. Możecie jej udzielić?

Oczywiście. Możemy zrobić wszystko. Ty też jednak jesteś do tego zdolny, jeśli zapręgniesz do tego swój umysł.

Nie jestem bogiem.

Na pewno?

Dość tej próżnej metafizyki. Chłopiec musi stoczyć ze swym ojcem walkę na śmierć i życie. Nie zwycięży, jeśli nie otrzyma pomocy. Udzielicie mu jej?

Jeśli zagłębisz się w swoje wspomnienia, starcze, znajdziesz tam wszystko, czego ci trzeba.

Szukałem już. Jeżeli tyle wiecie, dajcie mi wskazówkę.

Proszę bardzo. W kulturze, którą wybrałeś do tej rozgrywki, jest pewna forma o wielkiej mocy...

Proszę! Dość tej terminologii. Pomniejszacie rangę naszych przedsięwzięć.

Wręcz przeciwnie, to ty uparcie unikasz tego, co oczywiste. Mimo to niech i tak będzie. Forma, o której wspomnieliśmy, to mandala. Przypominasz sobie ten kształt? Pomyśl o Kole Sri - śricakrze.

Geometria sił, zdolna nimi powodować. Przypominam to sobie. Dziewięć przecinających się trójkątów równoramiennych różnej wielkości. Cztery skierowane są do góry...

Tak. To symbole Siwy.

...a pięć w dół.

Symbole Śakti, bogini, towarzyszki Siwy.

Jeśli Siwa jest tą formą, która zawładnęła Jagannathą, to kim jest Śakti? Młodziutką Adriel?

Dayanando, to nie są takie proste równania. Powinieneś już o tym wiedzieć. Kontynuuj swój opis mandali.

Wokół splecionych trójkątów znajduje się osiem płatków, kolejnych szesnaście w drugim rzędzie. Lotos stworzenia! Moce rozmnażania. A czym jest ów punkt bindu pośrodku tej formy?

Ha, czymże innym, jeśli nie Osobliwością, wirem mocy. Spójrz więc teraz na ten mechanizm, ten przedmiot wewnątrz złotego jaja.

Jedyne, co widzę, to anodyzowana rurka. Czy to aluminium? Wzdłuż niej ciągnie się szczelina. Bogowie! Pamiętam tę rzecz. Ze Starego Imperium...

Zajrzyj do jej środka.

Do środka? Nie potrafię przenikać wzrokiem ciał stałych!

Nie nadużywaj naszej cierpliwości. Czyż to nie sen, człowiecze? Czyż we śnie nie możesz dokonać wszystkiego?

Tak... W jej środku kulą się płatki. Najstraszliwiej poskręcane atomy. Jaka tu jest moc! Poza tymi atomami są inne, zakrzywione niczym płatki. A za nimi czworoboczne kryształy. W centrum - pole wiążących sił. To mandala wywrócona na nice! Oto diagram... ale czego? Unicestwienia? Morderstwa? Destrukcji?

Właśnie tak. Wyjmij to ze skrytki.

Nie mogę. To... odrażające!

Nie bardziej odrażające niż alternatywa. Weź to. Będiesz wiedział, co z tym zrobić, kiedy przyjdzie czas.

...Tak. Dziękuję.

Nie ma za co. Miłego dnia życzę.

TERAZ

Z filmów wiedziałem, że pewnych rzeczy nie da się załatwić dyplomatycznie, ale przy pierwszej okazji odwróciłem uwagę Celi, przerywając jej monolog o zaletach zdrowych siekaczy i unikaniu płytki nazębnej najlepiej przez codzienne używanie prądownicy wodnej, i zagadnąłem ją o tamtą parkę.

Zanim do tego doszło, zdołałem wraz z moją partnerką zbliżyć się do chłopaka, którego chciałem zabić, i Dziewczyny, którą desperacko pragnąłem wcisnąć w mój męski tors. Celia bez wahania zidentyfikowała oboje, mówiąc głośno i donośnie, co wskazywało, że zupełnie nie przeczuwała moich podstępnych intencji.

- To Jack Palmer, jest na prawie na uniwerku w Sydney, niegorsze zęby - powiadomiła całkiem sporo osób w okolicy. - A dziewczyna... hmm, chyba ma na imię Merle. Śmieszne ma siekacze, nie? Tak na siebie zachodzą z przodu. Umm... Merle Cato.

Wtedy już rumieniłem się jak rozpalona cegła. Tylko migoczące światła ratowały mnie przed pytaniami, czemu tak świecę po ciemku. Sam wysiłek zadania Celi tego pierwszego pytania pozbawił mnie i tak niezwykle skromnych zasobów równowagi umysłowej, jakie w ogóle posiadałem.

I w tym właśnie momencie, ku memu bezmiernemu przerażeniu, złapała mnie za mokrą od potu łapę i powlokła przez parkiet ku Merle i nędznikowi imieniem Jack Palanter czy jak mu tam było.

Nawet wtedy podłoga niezupełnie rozstała się pod mną, nie pochłonęła mnie ziemia, ale tylko dlatego, że zacisnąłem powieki, jakbym chciał nimi gwoździe wyciągać, i wziąłem trzy głębokie wdechy, jakie mógłby zaordynować instruktor jogi.

Otworzyłem oczy, czując znaczną ulgę, i zobaczyłem, że wszyscy patrzą na mnie z zainteresowaniem.

Na parę sekund znów zacisnąłem powieki i poczułem, że uszy mi płoną. Zerknąłem przez jedno oko. Dalej się gapili.

Fakt, widowisko musiało być niezłe - stoi taki drańgal z rozdętymi chrapami i gorączkowo usiłuje gdzieś ukryć łapska, które znieacka wydały mi się baaardzo duże, coś jak te płaskie zakończenia wiosła. To akurat czysty domysł z mojej strony, bo tam, w Terytorium Północnym, gdzie spędziłem większość mojego żywota, nie było żadnych wiosła, że już nie wspomnę o łodziach. Ani wiosła, ani łodzi, ani dziewczyn. Boże drogi.

Usiłowałem odtworzyć swój nastrój sprzed dwóch tygodni. Ignorując więc na moment moją partnerkę (nieuprzejmie, ale nie było innego wyjścia) przywołałem obraz Merle Cato uśmiechającej się do mnie i ciepłą bryzę. Celia wciąż nawijała, ale przypomniany warkot wydechu MG Toma zagłuszał jej głupawe uwagi.

Po chwili znów czułem się jak człowiek. To cudowne wspomnienie przywróciło mi pewność siebie. Z zabójczym uśmiechem spojrzałem Dziewczynie w oczy.
- Daytonie, to Merle Cato. Ma jazdę na kryształach - Celia dopełniła formalności.

W półmroku kasztanowe włosy Merle wyglądały jak lejący się miód. Uśmiechnęła się do mnie.
- Cześć, Day.

Jej głos był niski, melodyjny, jak dźwięczenie ciężkich kryształów.
Właśnie, kryształach? Jest geologiem? Ta słodka, czarująca dziewczyna to kamieniarz? No, może krytalograf. Ale... czy ci ostatni nie pracowali z rentgenami? Zresztą, przecież Tom mówił coś o kryształach, aparatach rentgenowskich, sondach kosmicznych i...
Wszystkie te rozważania wcale mi nie pomagały. Nie mogłem już dłużej odwlekać. Uśmiechnąłem się raz jeszcze i powiedziałem swoje. A jak.

Jack Palmer mało sobie szczęki nie zwichnął ze śmiechu.
- Echch? - powtórzył, niedowierzając.

Nie dzieliłem go brutalnie w łeb. Bądź co bądź wychowano mnie jednak na grzecznego chłopczyka.

Nie, stałem jak słup, a moja jaźń zanurkowała w otchłani żołądka, żeby tam znaleźć sobie jakąś kryjówkę, ale zaraz stamtąd wyskoczyła, bo soki trawienne przeszkadzały. Miała ochotę po prostu wiać, gdzie oczy poniosą.

Zdecydowałem, że skoro moja jaźń pragnie uciec, to nie będę jej przeszkadzał.

I tak w duecie uciekliśmy z „Blue Suede Shoes” w ciemność.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... dwanaście

- Boisz się, Chakravalinie?

- Nie - ucina młodzieniec, sprawdzając swój arsenał: włócznię, łuk, promiennik

cząsteczkowy, generator pola, spowalniacz gazów i kilkanaście innych broni. Dayananda siedzi wygodnie na luksusowej kanapie pokrytej pięknie zdobionymi poduchami i ogryza paznokieć przy kciuku. Chyba najdziwniejszym paradoksem, jaki widział podczas swojej koszarnej odysei, jest ten, że przemoc to często najpewniejsza i nieunikniona droga do osiągnięcia pokoju. Tysiące filozofów głosiły przeciwne poglądy. Kolejne tysiące potępiały samo dążenie do pokoju, napawając się brutalnością. Krew łomocze mu w uszach. Co prawda gra toczy się o życie Chakravalina, ale Dayananda ma pewność, jak echo gorączkowego snu, że w jakiś sposób to właśnie jego los niepowstrzymanie zmierza ku rozstrzygnięciu.

- A ja jestem przerażony - oznajmia spokojnie. - To jedyny normalny stan ducha przed walką.

Młodzieniec odkłada łuk i kołczan, prostuje się z nieśmiałym uśmiechem.

- No dobrze. Oczywiście, że się boję. Jestem przerażony, Dayanando. Musiałem jednak rzucić mu wyzwanie. I muszę tę sprawę skończyć.

- Wiem.

- Zabije mnie?

Oficer nie odwraca spojrzenia.

- Być może dla Dyrektora najlepszym wyjściem byłoby tylko poniżyć cię. Tak, żeby nie wyeliminować cię formalnie z linii dziedziczenia, ale zdyskredytować cię w oczach Rady.

- Tak, to chyba właśnie ten rodzaj zwycięstwa, który najbardziej by go ucieszył. A więc mam jakąś szansę.

- Chyba że postanowi dokonać radykalnej amputacji.

A jest zeń świetny wojownik.

A ze mnie żaden.

Chakravalin odpycha łuk z rzemienną cięciwą, podnosi generator pola i przypina go sobie do pasa.

- Przeszedłeś doskonale szkolenie w sztukach walki, Chakravalinie. Nie pomniejszaj swoich umiejętności.

- Teorie i kata. Kiedy ty walczyłeś z żywymi wrogami, moimi przeciwnikami były tylko symulacje, elektroniczne echa.

- Zgoda, nigdy nie zabiłeś człowieka, ale miałeś świetne wyniki w starciach z cybersystemami. W Sali Pojedynek nie będziesz miał czasu na roztrząsanie różnic.

- Tu także przewaga leży po stronie mojego ojca - wzdycha Chakravalin. - On już walczył w prawdziwych pojedynkach. I wszystkie wygrał.

Wchodzi ordynans ze świeżo naładowanym promiennikiem. Chakravalin dziękuje mu, odbiera broń, waży ją najpierw w jednej dłoni, potem w drugiej. Jak każdy wojownik trenowany w symulowanych kata, równie zręcznie posługuje się obiema rękami. Zadowolony chowa broń do wysadzanej klejnotami kabury przypasanej na brzuchu, nad generatorem pola. Patrzy na zegarek na palcu.

- Chodźmy. Pora na ostatnie ćwiczenia na Strzelnicy.

Idą więc szerokim, wyściełanym dywanem korytarzem ku pałacowej Strzelnicy.

Bezszelestnie mijają ich służący, odwracając wzrok, ale szepcząc w podnieceniu, gdy tylko znajdą się za plecami Dziedzica. Dayananda nade wszystko czuje wagę spoczywającego w jego kieszeni morderczego urządzenia. Czy powinien oddać je Chakravalinowi, ujawniając naturę tego przedmiotu... i swoją własną? Ten pojedynek odbędzie się w sali złudzeń, każdy postara się zwieść oczy, dłonie i umysł przeciwnika, ale skala interwencji, jaką planuje

Dayananda, jest bezprecedensowa. Tyle że na drugiej szali jest równie wyraźna groźba dla jego planów. Jeśli Chakravalin zginie lub zostanie wycofany z walki, rzeź Khurdda odbierze Galaktyce resztki nadziei na następne tysiąc lat.

Drzwi Strzelnicy otwierają się automatycznie przed nimi. Młodzieniec natychmiast zstępuje na podłogę dużej sali. Dayananda wycofuje się do osłoniętej niszy, kryje się za osłoną pola siłowego dużej mocy.

- Jesteś bezpieczny?

Dayananda potakuje.

Natychmiast, bez dalszych ostrzeżeń, Chakravalin w opętającym tańcu uruchamia mechanizmy Strzelnicy. Wiruje w olśniewającej kombinacji wypadów i fint. Dayananda widzi tylko początek tej walki, a i to jako powidok, bo w pokoju zapadła smolista ciemność. To idealna kopia warunków panujących w prawdziwej Sali Pojedyneków.

Rozbłyskuje włączone pole siłowe, chroniące Chakravalina. Purpurowa aureola podświetla go jak płomień pochodni, uniesionej nad głową w bezgwiazdną noc. Młodzieniec bez wahania rzuca się na ziemię i przetacza o kilka metrów w bok. W jego stronę pędzi jaskrawe wyładowanie, ale Chakravalin znów jest w ruchu, w losowym kierunku, uchylając się przed ciosem Przeciwnika. Zanim system zdoła oddać kolejny strzał, młodzieniec sam strzela w stronę, z której padło wyładowanie. W pokoju panuje cisza. Gdyby trafił, rozległby się brzęczyk Wskaźnika. Chakravalin nie klnie. Nie myśli, jego ciałem sterują wyćwiczone do perfekcji odruchy. Jego pole siłowe gaśnie, pogrążając pokój ćwiczeń w mroku. Znów jest pozbawiony ochrony. Ostrożnie, tak cicho, jak to jest w ludzkiej mocy, skrada się przez ciemność niczym pajak ku przeciwległemu końcowi Strzelnicy. Nagle rozbłyskuje aureola pola siłowego Przeciwnika. To idealna kopia Dyrektora w trykocie z plamami potu pod pachami, zaciskającego zęby w maniackalnym grymasie. Ładunek z promiennika Chakravalina strzela z sykiem w stronę mechanizmu. Niewiarygodnie kiepski strzał - jakże mógłby atakować człowieka, który dał mu życie, cierpienie, wszelki sens? Z upiornym, udręczonym okrzykiem Chakravalin strzela jeszcze raz. Mechanizm odpowiada ogniem i trafienie zbija młodzieńca z nóg. Chakravalin wali się w bólu na matę. Rozbrzmiewa triumfalny Brzęczyk. Zapalają się światła.

- Ach, na bogów!

Chakravalin leży przez chwilę wpatrzony w belki wysoko pod sufitem Strzelnicy, dysząc ciężko. W ustach czuje smak krwi - przygryzł sobie język.

Dayananda opuszcza barierę siłową i wchodzi na Strzelnicę, pomaga Chakravalinowi wstać. Dziedzic upuścił swój promiennik. Wstaje, podnosi broń i wkłada ją do kabury.

- Za bardzo go nienawidzę - dyszy. - Wojownik musi opróżnić swój umysł. Ja nie potrafię.

- Potrafisz - Dayananda mówi to ze świadomością, że kłamie.

- Już byłbym martwy, gdyby robot miał prawdziwą broń energetyczną. Mój Boże. Mam nadzieję, że Jagannatha nieco stracił na szybkości od czasu, gdy programował ten system.

Dayananda zdaje sobie sprawę, że podjął decyzję —jakby w jego umyśle zatrzasnęły się pewne drzwi. Kiedy zobaczył Chakravalina trafionego promieniem, zdał sobie sprawę, że jednak nie może już zostawić czegokolwiek na łasce losu. Wyciąga z kieszeni ciężką rurkę z anodyzowanego metalu, którą dostał od wom matki Kleth. Wkłada ją w dłoń Chakravalina.

- Galaktyki nie stać na ryzyko, że dziś zginiesz. Kodeks Vamany pozwala na Otwarty Bój? Proszę bardzo. Użyjemy wszelkich forteli, jakie są nam dostępne.

- Co to jest, do czorta? - Chakravalin czuje w dłoni chłód metalu. Patrzy na rurkę, nic nie rozumiejąc. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Dokoła ciągną się dziwne falujące linie, może jakieś nieznanne mu pismo. Nie ma żadnych widocznych ruchomych części.

- To broń Starego Imperium.

Chakravalin stoi z rozdziawionymi ustami.

- Żartujesz.

- Bynajmniej. Nazywa się działem entropicznym.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Dali mi ją Kleth.

Dziedziec jest całkowicie oszołomiony.

- Kleth? Ale... Nieingerencja jest ich najświętszą zasadą. Czemu mieliby ci dać coś takiego, Dayanando?

- Skąd możemy wiedzieć cokolwiek o ich motywach, a co dopiero o zasadach, jakie im przyświecają? - W głosie oficera brzmi nuta zniecierpliwienia. - Mówią nam to, co chcą. Jak możemy stwierdzić, czy ich wieloznaczne oświadczenia są prawdą?

- Hmm. Jak to działa? Powiedzieli ci choć tyle?

- Mówią, że to chyba najpotężniejsza broń, jaką wynaleźli starożytni ludzie. Nie mam pojęcia, jak to działa, ale bez wątpienia jest wyjątkowo skuteczne. To właśnie bojowe użycie tej broni sprawiło, że Kleth ujawnili swe istnienie naszym przodkom.

- Stracone Lata.

Otóż to, Chakravalinie. Historycy potrafią tylko powiedzieć, że Stare Imperium popadło w ruinę w fali mordów i nienawiści. Kiedy fala opadła, jedność Galaktyki była zniszczona, strzaskana. Przez milenia między gwiazdami panowała cisza. I właśnie w ciągu tych Straconych Lat ujawnili się nam Kleth.

Chakravalin kręci głową. Wspomnienie straszliwej przeszłości nagle stało się szumem bez znaczenia. Przykłada rurkę do ucha, potrząsa nią.

- Jak to działa? Jak to uruchomić?

- Ta broń sprawia, że wszystko w zasięgu bąbla jej pola osiąga stan maksymalnej entropii, totalnego nieładu. Wszystkie atomy celu zostają sprowadzone do tego samego poziomu energetycznego. To broń ostateczna, Chakravalinie. Można rzec, że sprowadza wszystko do bezsensownego szumu.

Chakravalin dostaje gęsiej skórki, jakby omiół go zimny powiew. Jakaś złowroga siła mogłaby zaczerpnąć te słowa prosto z jego umysłu, by je wypowiedzieć w tym pełnym pogłosów miejscu, gdzie ćwiczysz zabijanie.

- Nie pokazałeś mi, jak to działa.

- Podaj swój promiennik.

Dayananda przyjmuje broń i rurkę, wsuwa ją pod baterię promiennika. Kładzie broń na dłoni.

- Użyj go normalnie, tylko, na Siwe, nie daj się zabić, zanim będziesz miał szansę sam strzelić. Zasięg wytwarzanego pola jest na tyle duży, że nawet mając tylko ogólne pojęcie o

położeniu przeciwnika, obejmiesz go polem rażenia.

- Nie mogę tego zrobić - przerywa nagle Chakravalin. - To podły plan. To gorsze niż zdrada. Niehonorowe.

Dayananda zerka na zegarek w pierścieniu. Do Pojedyńku zostało tylko kilka godzin. Patrzy na Chakravalina, nie pozwalając mu odwrócić wzroku. Teraz jego spojrzenie jest zupełnie nieustępliwe.

- Ten pojedynek to Otwarty Bój, bracie - mówi nie wzruszenie. - Wątpię, żeby Jagannatha przybył nań ni czym jagnię pomiędzy tygrysy.

- Mimo wszystko... - Chakravalin patrzy tępo na promiennik. - Broń Starego Imperium?

Kręci głową, wstrząśnięty i zdumiony.

- Skąd Kleth wzięli coś takiego? Przecież to musi mieć z tysiąc lat.

- I ma - ucina Dayananda. - Co najmniej. Chodź. Masz pojedynek do wygrania.

hipersen

Skąd wzięliście tę broń?

My? To twoje odkrycie, człowiecze, wydobyte ze wspomnień i ze złotego jaja, w którym je ukryłeś.

Moje? Moje? Przecież to broń sprzed tysiąclecia, może starsza. Jakże mógłbym ją ukryć? Ach. Ach. O bogowie, czy to właśnie tego unikałem? Tej prawdy? Jestem... stary?

Powiedzieliśmy ci to, niejeden raz, więcej razy, niż można by zliczyć.

A jednak w tym śnie wydaje mi się, że jestem nieledwie młodzieńcem. Zgoda, wojownikiem, który ma już za sobą chrzest ogniowy, ale ledwie więcej niż nastolatkiem. Jak mogę być... stary?

Nie jest to tak straszny los.

Być może. To by wiele tłumaczyło. Chwileczkę. Czyż to nie podstawa ich filozofii, ta żalosna zasada ponownych narodzin?

Czyżbyś teraz odcinał się od nich? Od pozostałych ludzi?

To wy mnie od nich odcięliście. A raczej ta wiedza, którą mi narzuciliście.

Mc nie jest narzucone. Waszym gatunkiem włada ciekawość. Niczego nie da się ukryć na dłużej niż, no, mniej więcej tysiąc lat.

Znów się ze mnie śmiejesz.

To najlepszy lek na smutek, Dayanando.

TERAZ

Po katastrofalnym popisie w „Blue Suede Shoes” nie opuszczałem pokoju chyba przez trzy tygodnie, nie licząc posiłków, ale wtedy byłem generalnie wredny.

Za dnia, kiedy akurat nie lało (ulewy przychodziły nad Sydney raz po raz - pewnie przez efekt cieplarniany, ale nikt nie nadstawiał karku z takimi oświadczeniami), siedziałem w pokoju za zaciągniętymi do połowy roletami, czytając te pozycje z klasyki literatury, z którymi zawsze chciałem się zapoznać, oraz grając na pececie w erpegi. Bardzo potrzebowałem postaci do naśladowania. Poza Tomem nikogo takiego nie miałem, a on leżał na wznak z nogą na wyciągu i klepał we własnego blaszaka, podłączonego do superkomputera Cray na uniwerku.

Pewnego ponurego dnia wetknąłem głowę do jego pokoju i zapytałem, co ma na konpie. Jak zwykle, Tom przełączył ekran na inny program, kiedy tylko usłyszał moje pukanie. Dla bezpieczeństwa. Byłem ekspertem od kwestii bezpieczeństwa. W takim świecie żyłem od dziecka. „Wiesz tyle, ile musisz” - powiadano.

- Cześć, Dayton! - wydarł się radośnie. Miał wszelkie powody do radości. Skoro już wypuścili go ze szpitala, kształtne dziewczyny odwiedzały go w domu. Akurat żadnej z nich nie było. - Siadaj, gdzie chcesz, byle nie na nodze.
- No dobra, co tam masz za program?

Tym razem lekko obrócił monitor, tak że już w ogóle nie widziałem ekranu. Nie chciał mnie urazić, a ja niespecjalnie się przejąłem. Szczerze mówiąc, nudziłem się. Byłem też sfrustrowany i zły, tylko nie wiedziałem, na kogo konkretnie się wściec.

- Wybacz, koleś, nie mogę powiedzieć. Program badawczy NASA.
- Hola, to cywile! O ile wiem, muszą ujawniać wszelkie zgromadzone dane.

Tom zrobił niewyraźną minę.

- Kolego, to tutaj ma związek z wojskiem.
- Gwiezdne Wojny! - wściekłem się (nareszcie znalazło się jakieś ujście dla gniewu). - Kolejne miliony wydane na puszczenie ludzkości do piachu. A co się stało z atomowym rozbrojeniem? Podobno nasi dali już sobie siana z wysyłaniem atomówek w kosmos?

Tom rozpromienił się, jak niewiniątko.

- Żadnych takich paskudztw, młody. Moim zdaniem, coś wręcz przeciwnego. Bardzo chciałbym ci o tym powiedzieć, ale wszystko jest superultratajne. Przyjdzie czas.

Chyba jednak środki przeciwbólowe osłabiły jego samokontrolę, bo wyrwało mu się wtedy coś, co normalnie dałoby się zeń wydusić tylko poprzez wyrywanie paznokci obcęgami:

- Największe odkrycie w historii. Życie na...

Wtedy zdał sobie sprawę, o czym plecie, i zmienił tor myślenia, aż zwrotnice nieco zazgrzytały. Postarał się jednak zamaskować zmianę tematu i dokonał tego rozmyślnie, dźgając paluchami w sińce mojej psyche.

- Wygląda na to, że życie w Sydney ci nie służy, młody. Problemy z laskami? Rozważyłem trzy warianty wyważonych i dystygowanych odpowiedzi. Żadna raczej nie była na miejscu. Przyszła pora na dwa sarkastyczne, kąśliwe grepsy. Tyle że Tom był moim kumplem i jedynym bratem. Pomyślałem zatem, że po prostu poproszę go, by przymknął swój niekształtny ryj, na miłość boską. Skoro nie potrafiłem się zdecydować na żaden z powyższych tekstów, powiedziałem:
- Tak. Dziewczyny. Przerażają mnie.

Tom miał szczęście, że się nie roześmiał. Miałby obie giry w gipsie.

- Nie ma powodu, żeby się ich bać. - Wyłączył komputer. - Jeśli już jakąś bliżej poznasz, okaże się, że to prawie istota ludzka.

Załamalem ręce i zgrzytnąłem zębami.

- Problem właśnie w tym poznawaniu. Jakoś nie po trafię z nimi rozmawiać.

Tom wybałuszył oczy.

- Ty? Młody, ciebie przecież nie dało się zamknąć!

Wszystko prawda, ale to nie wyjaśniało moich problemów.

- Cóż, kiedy tylko jestem z dziewczyną, od razu mnie zatyka. Kiedy próbuję zażartować albo błysnąć intelektem, mózg mi się resetuje i zostaje tylko „Eechh”.

Smutno popatrzyłem na szynę, chroniącą peceta Toma przed przepięciami. Miałem ochotę złapać za kable i zamknąć sprawę w błysku i smrodzie.

Bracki wydał z siebie głośny i paskudny dźwięk, aż pomyślałem, że sam się poraził prądem. Poderwało mnie z wrażenia, ale był to tylko okrzyk triumfu -jego umysł ruchem konika szachowego dotarł do kolejnej Wielkiej Idei. Równie dobrze mogłoby to dotyczyć jego ściśle tajnych zadań, ale tym razem Tom zaprezentował odpowiedź na mój Problem.

- Cyrano de Bergerac. - Dumnie skrzyżował ramiona na torsie.

Rozważałem to przez dłuższą chwilę. A potem zapytałem: -E?

- Dayton, twa ignorancja jest bezdenna. Ten świetny szermierz z megakinolem.

- Jasne. - Wstałem. - Wiesz, wpadnę, jak będziesz się lepiej czuł, bo od tych środków przeciwbólowych porypa-ło ci się pod kopułą.

- Siadaj. Ułatwię twe zadanie. Pamiętasz taki film „Roxanne”?

- Ze Steve'em Martinem. - Pamięć do filmów mam bezbłędną. - Koleś z wielgachnym nochalem kocha się w dziewczynie, ale ona kocha takiego wielkiego głąba, który nie umie z nią...

Popatrzyłem na Toma jak na trupa.

- Ja jestem ten wielki głąb?

Tom przewrócił oczami, ucieleśnienie niewinności.

- No co, no co, ja tu tylko pracuję. Mówisz mi, jaki masz Problem, to co, mam ci nie wierzyć?

Wciąż nie widziałem związku. W filmie ten głąb używa radia CB, żeby Steve Martin (ten z ohydny nochalem) podsylał mu didaskalia i suflerował. Marcinowi serce pęka, bo sam kocha tę dziewczynę jak jasny gwint, ale jest zbyt nieśmiały, żeby samemu zadziałać. Może i były w tym pewne podobieństwa do mojego przypadku, ale jakoś nie potrafiłem czerpać z tego korzyści.

Tom już nieraz wyciągał mnie z takich tarapatów, jednak zawsze musiałem płacić pokorą. Facet wie, że jest mądrzejszy ode mnie, ale i tak muszę mu to powiedzieć.

- Thomas, jesteś ode mnie bystrzejszy — wydusiłem niechętnie. - W naszym pokoleniu niewiele jest umysłów równych tobie. Na Boga, podaj mi rozwiązanie mojego Problemu. Przetrzywał swój uśmieszek Mony Lizy dwie sekundy poza moją granicę wytrzymałości, po czym znów odpalił

peceta i wywołał jeden katalog. Po ekranie przemknęły kodowane nazwy plików. Uśmiechnął się szeroko.

- Mam zamiar złamać wszelkie zasady bezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek wynaleziono, bo jesteś matoł w potrzebie. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek się o tym do wie, zostanę

odprowadzony pod strażą i rozstrzelany o świtaniu. Ale nikt się nigdy nie dowie, prawda, Dayton?

Dopiero potem dotarło do mnie, że bracki mówił całkiem poważnie, ale wtedy było już za późno.

20 rok Imperium ...wspomnienie... trzynaście

- Niosę złe wieści z Rady, moja Pani.

Adriel pochyliła się, słuchając z napięciem. Posłanniczka, jedna z matron, które pozwolono jej sprowadzić wraz ze świtą, szeptała jej do ucha w starożytnym języku genowych magów z Tiresias. Kobieta dobrze wykorzystała swój wolny czas, wkupując się w łaski personelu Pałacu.

- Chce ich bombardować, aż spotulnieją - odpowie działą dworce w tym samym języku.

- Tak. Nikt się tego nie spodziewał. Rada szykowała się do przyjęcia kapitulacji sił Centrum.

- Wojna aż do całkowitego wyniszczenia...

Adriel wiedziała, że do tego dojdzie, od czasu furiackiej perory Jagannathy, ale miała jeszcze cień nadziei, że jakaś siła zewnętrzna wtrąci się choćby nawet w ostatniej chwili. Westchnęła, opadła na wygodny fotel, zamknęła oczy. Tiresias!

- To nie najważniejsza wieść, jaką przynoszę, Pani -ciągnęła dworka, ale jej słowa dopiero po chwili przedarły się przez wir skłębionych myśli Adriel. - Następca Mi-nistratora wyzwał ojca na bój. O świcie spotkają się w Sali Pojedynków.

Adriel znalazła się po przeciwnej stronie pokoju, zanim podjęła jakąkolwiek świadomą decyzję. Zrzuciła swe miękkie, nieformalne odzienie i zawołała pokojowe, czekające w sąsiednich komnatach. Zakręciły się wokół niej, otwierając lustrzane drzwi, za którymi kryły się szeregi kreacji, po kolei przedstawianych jej do oceny. Niecierpliwie machnęła ręką, wybierając jeden ze strojów do jazdy konnej.

- Zorganizujcie moją wizytę u Chakravalina - powie działą posłanniczce, naciągając wysokie sztylpy.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Pani. Nie mamy wstępu do komnat szlachetnie urodzonych panów, chyba że ktoś zażąda naszej tam obecności.

- Radź sobie! Przecież jesteś w tym mistrzynią. Moje ciotki aż nadto często piałły przy mnie na twoją cześć.

Zbyt profesjonalna, by pokraśnić, posłanniczka była jednak wyraźnie wdzięczna za pochwałę.

- Zrobię, co w mojej mocy, Pani.

Adriel zaczęła myśleć na wyższych obrotach. Od miesięcy układała w pamięci obraz układu i organizacji Pałacu tu, w Orissie (nie odważyła się zawrzeć go w bazie danych, którą mógłby odczytać ktoś jej nieprzyjazny). Odkryła kilka rzadko używanych ścieżek wiodących do nieco mniejszych ghatów, których szerokie stopnie opadały ku świętej rzece. Tam można by chyba znaleźć łódź, która poniosłaby ich do bezpiecznego, przynajmniej chwilowo, schronienia. Innym wyjściem mogłaby być przejażdżka na którymś ze wspaniałych rumaków po Jelenim Parku, a stamtąd łowieckim szlakiem w góry. Przy odrobinie szczęścia i odwagi mogliby wraz z Chakravalinem ukrywać się w

gę-

55

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■

sto porośniętej dziczy tak długo, aż wiadomość dotrze do któregoś z okrętów floty Tiresias. Szansę ucieczki z rąk rzeźnika były śmiesznie małe, ale nic więcej nie mogła zrobić. Nie mogła też pozwolić, by Chakravalin pojedynkował się z ojcem. Jagannatha dał jej jasno do zrozumienia, że służący mu Kleth ochronią go przed wszystkim, co mogłoby mu bezpośrednio zagrozić - nawet jeśli groźba ta była czysto defensywna jak jej zdolność odzwierciedlania i kontrolowania cudzych uczuć.

Adriel odesłała służki, które bez wątplenia popędziły rozpuszczać własne plotki. Przez

konsole systemu informacyjnego zapoznała się z Pałacowym biuletynem z przerwane go posiedzenia Rady Konsultacyjnej. Prezenter w turbanie miał wyraźnie problemy z zachowaniem neutralnego wyrazu twarzy. Kodeks Vamany. Otwarty Bój. Prezenter wyjaśnił zasady morderczego pojedynku z pomocą kilku starszawych Pałacowych historyków - co do jednego zakłopotanych, ale chętnych, by szerzyć ciężko zdobytą wiedzę o zakurzonych pomrokach dziejów.

Adriel wierciła się niecierpliwie. W Pałacu panował zamęt. Korytarzem ciągle ktoś przemykał. Pozostało już tylko czekać. Nerwowo przechadzała się przy oknie, patrząc na jaskrawo odzianych dworzan kręcących się tam w dole niczym zwierzęta, których naturalne leże zniszczyła jakaś katastrofa.

Tu też wszystko przewróciło się do góry nogami, ale ten kataklizm nie był naturalny.

Zadrzała. Ołowiane niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Powinni byli zostać na planecie wypoczynkowej.

Rozległ się brzęczyk monitora. Adriel czekała, aż ktoś odbierze, ale po chwili uświadomiła sobie, że odesłała całą świtę. Włączywszy ekran, ujrzała oblicze oficera Marynarki, Dayanandy.

- Kapitanie?

- Wybacz natarczywość, moja Pani. - Był posępny, zmartwiony, ale opanowany. - Mam wiadomość od Dzie dzica.

- Ja również próbowałam przesłać mu wiadomość. Czy może pan z nim rozmawiać?

- Mój Pan chciałby spotkać się z Panią przed Pojedyn kiem. Poślę człowieka, który zaprowadzi Panią do jego komnat.

- Jakże podobnie myślimy. - W uśmiechu Adriel nie było wesołości. - Chakravalin musi natychmiast opuścić Pałac. Zorganizowałam kilka alternatywnych tras ucieczki.

Zawahała się: - Czy to bezpieczne połączenie?

- Żadnym liniom łączności nie można całkowicie ufać. Chwali się Pani troska o zdrowie i życie Dziedzica. Dzię kuję Pani w jego imieniu. Pojedynku jednak nie wolno odłożyć.

- Należy w ogóle zeń zrezygnować! Chakravalin nie ma szans. To będzie mord z zimną krwią!

- Nie doceniasz Dziedzica, Pani. On sam wybrał Poje dynek. Wyzwał Najwyższego Dyrektora na Otwarty Bój.

Adriel zamilkła. Kiedy obie strony są absolutnie pewne swego, nie ma sensu dalej dyskutować. A już na pewno nie z monitorem.

- Kiedy mogę się z nim spotkać?

- Jak tylko wróci do swoich komnat. Wedle obyczaju, Pojedyn ek musi się odbyć jak najszybciej, zaraz po za kończeniu obrzędów. Arcykapłan szykuje kaplicę do na bożeństwa o świcie. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Mam nadzieję, Pani, że wkrótce cię zobaczymy.

- Dziękuję, Dayanando. Do zobaczenia zatem. Czas pełzł. Puls Adriel tętnił, szarpał się, zwalniał jak

gęstniejąca lawa, by znów tłuc dziko na byle szelest. W końcu u drzwi zjawiła się jej posłanniczka, a z nią pomniejszy fagas ze świty Dziedzica.

- Pójdź za mną, Pani. - Ruszyli przez Pałac: przez wnęki, korytarze, szyby nośne, a raz nawet po otwartej przestrzeni, gdzie znów zaczął siec popołudniowy deszcz. Unieśli się wewnątrz jednej z wież.

Stał tam w mundurze porucznika Marynarki Imperium. Miał rozczochrane włosy, jakby w gorączkowym skupieniu mierzwił je palcami.

- Adriel - powiedział tylko.

Dayananda uklonił się grzecznie i zostawił ich samym sobie, zamykając za sobą drzwi.

Ku swemu przerażeniu i udręce Adriel załapała się łzami.

- Och, kochana, kochana, kochana. Nie płacz, najdroż sza. Zwycięzę, wiesz? - przytulił ją do

siebie.

- Oczywiście, że tak. - Jej słowa stłumiło sukno mun duru i łyzy, które zdawały się krępować jej język. Odchyliła więc głowę i spojrzała na Chakravalina, którego te raz ledwie widziała. - Ale gdybyś jednak postanowił zmienić zdanie, to kazałam uwiązać parę całkiem śmiętych koni w...

Zmarszczył się straszliwie, urażony w swym męskim honorze, ale Adriel uśmiechnęła się szeroko i pociągnęła nosem, żeby pozbyć się tych głupich łyż. Po chwili on też się rozpogodził. Roześmiani, połączeni miłością i przerażeniem padli na łóżko Chakravalina i desperacko obsypywali się pocałunkami.

hipersen

Wyczuwam przyspieszenie. Czas sam w sobie uległ zagęszczeniu.

Powiadają, że widok stryczka ogromnie pomaga skupić myśli.

Czy to właśnie jest cel śmierci? Ten lęk, unicestwiający naszą ostrożność i samozadowolenie, ma sprawić, że dany nam krótki czas ma rozbłysnąć jak klejnot?

Na pewno taki efekt jest możliwy. Wydaje się jednak, że dopatrywanie się głównych przyczyn tego stanu rzeczy w jego skutkach ubocznych to chwytanie się brzytwy. Bądź też, żeby zapożyczyć od ludzi kolejne, w miarę odpowiednie powiedzenie, to jak robienie dobrej miny do złej gry-

A jednak takie myślenie ma sens. Oczekiwanie śmierci przekuwa nędzny kruszec życia w coś, co łączy.

Jeśli ma się szczęście. Dla znacznej większości ludzi to toksyczne brzemię, które zatruwa ostatecznie, niepewne chwile życia, i tak już zwarzonego przez świadomość, jak krótko trwa.

Może różnica między nadzieją i rozpaczą leży w tym, co my, ludzie, zwiemy honorem.

Dayanando, mówisz z doświadczenia czy tylko na podstawie domysłów?

Pytasz, czy już kiedyś umarłem? Odpowiedź jest oczywista.

Mc nie jest oczywiste, jeśli można o to zapytać. Czyżbyś wciąż tego nie pojmował?

Mówisz mi, że w rzeczy samej przeszedłem już przez wrota śmierci? Poczekaj, nie przerywaj.

Tak. Widzę, że ta groteskowa możliwość kryje się w twoim wcześniejszym oświadczeniu.

Lub wyzwaniu.

Prawda sama się odślania, jeśli ją o to poprosić.

Tak jak złudzenia i oszustwa. Chcesz, bym wierzył, że mam ponad tysiąc lat...

Skąd ta skromność? Niechby i milion. Niechby miliard. Ile lat ma Wszechświat?

56

POWIEŚĆ

Poprzestańmy na tysiącu, żebyś zdążył złapać oddech. Jeśli tak jest, to nie jestem tym, za kogo się uważam. Nie jestem kapitanem Dayanandą z Marynarki Imperium Shirampur. Ten byt to nic, tylko skorupa, maska, tymczasowe odzienie, które noszę przez czas jednego życia, by potem je porzucić.

Bramiński arcykapłan Orissy nie byłby bynajmniej zgorzony tą wypowiedzią. Czyż nie tego uczy wasza państwowa religia?

Równie szybko uwierzę naukom kapłanów, co reklamom w mediach.

A nas oskarżasz o cynizm! No, starcze, wygląda na to, że nawet uzasadniony sceptycyzm musi mieć granice. A może masz także to wszystko za złudzenie? Sądzisz, że zmyśliłeś nas w swoim śnie?

Raczej w to uwierzę niż we własną boskość.

A może wymarzyliśmy siebie nawzajem. Lub też jesteśmy tylko snem jakiejś maszyny, mówiącej do chłopca, który sam nie potrafi mówić.

Nie rozpraszaj mnie swoimi bredniami. Moje ciało drży z odrazy. Chakravalin czeka, by umrzeć lub dać się zabić. Muszę mu to dać, to coś, co ma tysiąc lat. Jeśli to sen, Smutna Góra, nie jest on miły. To koszmar.

To posłanie, starcze, jak wszystkie sny.

Jakiej treści?

Zawsze zadajesz niewłaściwe pytania. Wiesz, jaka jest treść tego posłania, bo w nim żyjesz.

Zapytaj raczej, skąd to posłanie przybywa i do kogo jest adresowane.

Z ust Boga do mojego ucha?

Jakże celnie ujęte.

TERAZ

MÓWISZ SAM DO SIEBIE. DAJ SPOKÓJ.

Że co? Mówię do sie...

NASTĄPIŁA ŚMIERĆ MÓZGOWA. SPÓJRZ PRAWDZIE W OCZY. TEN CHŁOPAK TO JUŻ WARZYWO.

Hola! Bez takich! Mówicie tu o bardzo błyskotliwej marchewce! Może nie potrafią stwierdzić, czy na pewno coś mi jeszcze w głowie iskrzy... Może chcą mnie odłączyć?

Odłączenia, podłączenia. Podłączenie do komputera.

- Podłącz się do komputera - poradził Tom. — Jest tam więcej podrywów, niż kiedykolwiek zdołasz wykorzystać.

- Nie w moim. Tam mam tylko prace domowe i gierki strategiczne.

- Psychologowie od sztucznej inteligencji na MIT spę dzili lata, budując ten pakiet programów - wyjaśnił. - Nazywa się TWARZĄ W TWARZ. Podobny do ELIZY, DOKTORA czy PARANOIKA. Pamiętasz je?

A pewnie. Programy, które udawały ludzkie rozmowy. Zacząłem się nimi bawić, kiedy tylko skończyłem z DR LOGO, czyli mniej więcej wtedy, kiedy palce miałem już na tyle silne, by walić w klawisze. Najbardziej lubiłem PARANOIKA. Czyste wariactwo. Program traktował wszystko, co się napisało, jako wyzwanie dla rzeczywistości, jaką postrzegał. Wszystko było podejrzane. Na przykład napisałbym: JAK SIĘ DZIŚ CZUJESZ?, a komputer

odpowiedziałby: CZEMU O TO PYTASZ? SĄDZISZ, ŻE ZE MNĄ JEST COS NIE TAK?

- TWARZĄ W TWARZ... Nazwa w sam raz dla eks perckiego systemu sztucznej inteligencji.

- Żebyś wiedział. Najlepsze jest to, że pakiet oprogra mowania jest bardzo rozbudowany. Są moduły o archi tekturze, programy asystenckie dla chirurgów, rozlicze nia podatkowe, nawet cała masa pomocy do psychoterapii.

Aha. Świetnie. Myślisz, że powinienem pogadać z psychiatrą?

Tom parsknął śmiechem. Wbijał kolejne kody, uruchamiając pakiet krzemowych ekspertów.

- Skądże. Myślę, że zorganizujemy ci tylko cyfrowego suflera. Chodź tutaj, będziesz widział ekran. Dobra, weź klawierkę.

W prawym dolnym rogu monitor wyświetlał nazwę uruchomionego programu - TWARZĄ W TWARZ: KAFFEEKLATSCH. U góry ekranu znajdowała się już jedna linijka tekstu, a niżej mrugał kursor, czekając, aż zacznę pisać. Komputer pytał:

CZEŚĆ, DAYTON. CO SŁYCHAĆ?

Wyszczrzyłem zęby i wklepałem EECHCH.

Pecet nie uległ. Szybciej od błyskawicy wyrzucił kolejną radosną linijkę:

NIE MOŻE BYĆ AŻ TAK ŹLE. OSOBIŚCIE LUBIĘ LATO, A TY?

- Co za obciach - mruknąłem. - Nieważne, co mu po wiesz, i tak wraca do pogody. To chyba angielski program.

- Przesadzasz. Pogoda to idealny wstęp do rozmowy. Zawsze jest o czym mówić, a trudno kogoś urazić. Poza tym zobacz, program daje ci się wypowiedzieć. Niemal zmusza cię do odpowiedzi, żebyś podtrzymał konwersację. Lekcja Pierwsza.

- Hmm.

Wpalcowałem: ZA MOKRO i natychmiast dostałem odpowiedź.

WIEM. DESZCZ W LECIE, CO ZA KANAŁ. TO NA PEWNO EFEKT CIEPLARNIANY.

opodal świątyni. Cha-kravalin słyszy słowa wypowiedane przez starego arcykapłana, ale nie zwraca uwagi na ich sens. Widzi łzy spływające po policzkach starca. Rytuał dobiega wreszcie końca. Dworacy wychodzą, szurając nogami, przepelnieni gorliwą pobożnością i ekscytacją pomieszaną z przerażeniem. Gdzieś pomiędzy nimi, zasłonięta woal-ką, niedostępna dla Chakravalina z powodu nakazów zwyczajowego prawa i okrutnego kaprysu Dyrektora, jest też Adriel z Corydonu. Nie będzie o niej myślał, nie teraz. Jeszcze nie. Po przesyconym kadzidłem powietrzu świątyni spacer w ogrodzie oczyszcza, odświeża. Słońce Shirampuru, bielsze i gorętsze od gwiazdy gorejącej nad Rishipataną, ledwie wyłania się nad horyzont. Chakravalin dygocze. Rozbrzmiewa muzyka: bębny, konchy, piszczałki, ponure i przeszywające. Procesja zbliża się do Sali Pojedyneków. Jagannatha kroczy przodem. Ani razu nie spojrzął na syna. Chakravalin czuje się tak, jakby brnął przez gęste błoto. Trudno mu oddychać, a serce tłucze się przerażająco mocno. Spogląda na podnoszące się słońce, raz jeszcze mruży pod nosem mantrę gayatri, szukając spokoju i duchowej równowagi w adoracji gwiazdy. Śmierć nie budzi już w nim przerażenia. Wszyscy umierają, niektórzy honorowo. To lęk przed nienaturalnym i niesamowitym krępuje jego członki, usiłuje spowolnić jego krok

Nienawiść, jaką Chakravalin żywi do ojca, niknie w obliczu wizji ojcobójstwa. Nie ma prawa przegrać tej walki. Żaden produkt tych barbarzyńskich czasów nie oprze się broni ze Starego Imperium. Pot ścieka mu po twarzy. Czy zatem czyn, jakiego ma się dopuścić, jest niehonorowy? A gdzie honor jest w przyzwoleniu, by setka kultur raz jeszcze runęła w ciemną noc nowego Upadku?

Jazgot instrumentów ustaje.

Chakravalin wraca do siebie, a raczej zostawia siebie samego i znów widzi świat.

Stoją u wejścia do Sali Pojedyneków.

Jego sekundantem jest Dayananda. Podchodzi teraz w odprasowanej kurtce z insygniami kapitana, by stanąć obok Dziedzica.

- Kryszna z tobą, Chakravalinie - mruży i lekko chwyta ramię chłopca.

Potem wraz z sekundantem Dyktatora, kapitanem gwardii, rozstępują się na boki i pierwszy raz tego ranka przeciwnicy stają twarzą w twarz. Ojciec i syn kłaniają się sobie - tak każe obrządek. Nie widać, by Jagannatha czuł choćby cień obawy. Jego wzgardliwy spokój powoduje, że Chakravalina ogarnia furia. Emocje zapierają mu dech, przechodząc w coś więcej niż zwykły strach czy lęk. Przez chwilę Chakravalin jest tak bliski otwarcia ust i odwołania Pojedyńku, że serce niemal mu zamiera.

- Skończmy z tą farsą - mówi obojętnie Jagannatha, odwracając się doń plecami.

Chakravalin czuje, że opada z sił. Do oczu napływają mu łzy. Roztrzęsiony, bierze głęboki wdech. Rozgląda się wokół i widzi, że świadkowie pojedynku, dworzanie i w ogóle wszyscy poza Dayananda i drugim kapitanem schronili się już za osłonami dużej mocy. Teraz Chakravalin oddycha spokojniej: wdech, wydech, pozwala nawykowi wpojonym przez trwające od dzieciństwa lekcje sztuk walki opanować emocje i ustabilizować ducha. Podchodzi do zbrojowni, gdzie czekają przygotowane bronie, zdejmuje ozdobne szaty i w rytualnej kolejności oddaje je w ręce sekundanta. Ten miarowymi, określonymi w obrządku ruchami układa je na półkach, widocznych dla wszystkich obecnych. Powietrze w Sali jest chłodne, ale nie ziębi. Chakravalin rozbiera się do naga, zdejmuje też sandały. Stoi całkowicie obnażony, bez wstydu, ale też pozbawiony uczucia złudnego bezpieczeństwa, jakie każdemu człowiekowi daje odzież i zajmowane stanowisko. Na drugim końcu Sali Dyrektor również stoi nagi. Jego krzepkie, dojrzałe ciało jest poznaczone starymi bliznami z walk, klatka piersiowa i kończyny porośnięte są gęstymi włosami, tylko głowa jest niemal zupełnie łysa.

- Twoja osłona - mówi cicho Dayananda, podając Cha-kravalinowi generator. Na chwilę zapala się lampka sygnalizacyjna, gdy sekundant sprawdza zasilanie urzą dzenia.

Chakravalin zapina pas z generatorem na brzu chu i włącza osłonę. Nie ma żadnego

widocznego efektu, nawet najcichszego odgłosu. Za osłoną dużej mocy ktoś nerwowo odkasłuje i odgłos niesie się głucho po długiej, pustej sali. Chakravalin chrząka i przełyka. Biorę promiennik - mówi głośno i wyraźnie. Strate gie pojedynkowiczów są skomplikowane i od dawna zna ne. Osłona może sparować pchnięcie włócznią czy strza łą albo rozproszyć strzał z promiennika, ale tylko wtedy, gdy jarzy się purpurową aurą. Nie chroni przed trującym gazem, którego użycie wymaga jednak podejścia bardzo blisko i wskutek tego może zaszkodzić obu stronom poje dynku. W mroku można też po prostu walczyć wręcz, ale to zdradza pozycję atakującego, który może wtedy zostać rażony z bliska strzałem z promiennika. Kombinacji jest nieskończenie wiele i wszyscy o tym wiedzą. Pojedynek,

58

POWIEŚĆ

skomplikowany jak partia szachów, przede wszystkim jest testem dla wytrzymałości nerwów, śmiałości, siły i odwagi obu stron.

Otwarty Bój wprowadza dodatkowy element ryzyka -niczego nie da się wykluczyć.

Kuśtykając, nadchodzi Nadzorca Pojedyneków, zaskakująco młody jak na pułkownika lejbgwardii Dyrektora i zręczny mimo kalectwa. Wyładowanie promiennika stopiło jego prawe ucho w pofałdowaną grudkę bezużytecznej tkanki. Nadzorca kłania się każdemu z pojedyn-kowiczów i donośnym głosem przedstawia wymagane rytuałem formalności.

- Dozwolona jest każda zabójcza nowinka, jaką można wynaleźć. Dopuszczalne są wszelkie mechanizmy odwracające uwagę. Nie obowiązują żadne z rycerskich zasad.

Można wylupić tu wrogowi oczy, zmiażdżyć mu jądra, wszystko. Klauzula ta znalazła się w prawach Shiram-puru dzięki Dekretom Vamany - zarazem reliktnajgorszych barbarzyńskich ekscesów na drodze ku Imperium i sposób na przynajmniej częściowe nad nimi zapanowanie. Nadzorca Pojedyneków kłania się raz jeszcze i odchodzi.

Chakravalin przyjmuje naładowany promiennik.

- Powodzenia.

Dyskretnym gestem Dayananda pokazuje, że założył urządzenie Starego Imperium pod zasilaczem broni.

- Dziękuję.

Dziedzic zakłada pas z kaburą promiennika i podchodzi do skraju Strefy Walki. Na drugim końcu Sali czeka nań Jagannatha.

Koniec z obrzędami. Pojedynek już się zaczął.

Nagle gasną światła.

Samotny. Zdany wyłącznie na siebie.

W tym momencie Chakravalin zdaje sobie sprawę, że ćwiczebna Strzelnica to coś zupełnie innego - tu może zginąć naprawdę. W jego ciele nie pozostanie nawet iskierka życia. Przełyka i ma wrażenie, że w całej Sali słyhać, jak zaschło mu w gardle. Z lekkim zaskoczeniem zdaje sobie sprawę, że odruchowo podkradł się bezszelestnie wzdłuż ściany po prawej stronie.

Promiennik, solidny i namacalny, podnosi go na duchu. Chakravalin czeka w półprzysiadzie; wyćwiczony instynkt pozwoli mu rzucić się w dowolnym kierunku. Czyja osłona włączy się pierwsza? Jeśli jego własna, rzuci się naprzód, w lewo, przetoczy się w prawo, unik, myląca chwila zwłoki, znów finta, aż wreszcie aura zgaśnie. Jeśli włączy się osłona ojca, strzeli natychmiast prosto w powidok. I tak skończy się pojedynek - jeśli Dayananda ma rację. Jeśli to niezwykle pole siłowe broni entropicznej ma wystarczająco duży zasięg. Jeśli ten cholerny zabytek nie wybuchnie mu po prostu w dłoniach. Jest już za późno, żeby się o to martwić.

Aura osłony bez ostrzeżenia rozbłyskuje wokół jego ciała.

Chakravalin jest jak pochodnia w mroku, neon obwieszczający fakt własnego istnienia.

Przez ułamek sekundy nie rusza się z miejsca. I to już wystarczy. Kiedy rzuca się naprzód i w lewo, promiennik Jagannathy już wypalił. Wyładowanie trafia w osłonę.

Dziedzic wrzeszczałby, gdyby nie zakneblował go ból.

Ten wstrząs jest dziesięciokrotnie - ba, stokrotnie! -gorszy od symbolicznego rażenia przez robota na Strzelnicy. Gdyby nie osłona, ładunek z promiennika rozerwałby go na strzępy. Leci w tył, kiedy pole siłowe przekształca i wydala napływającą energię. Z porażonej dłoni wypada ulepszony promiennik. Broń z łomotem sunie po podłodze.

Pole osłaniające Chakravalina gaśnie i jego wzrok musi się na nowo przyzwyczajać do mroku.

Każdy nerw w jego ciele płonie w sprzężeniu, kiedy pole pochłania resztki czystej energii wyładowania. Cha-kravalin czuje potężne nudności i równie mocno wysila się, by opanować rozdygotany żołądek. Byle hałas i przeciwnik strzeli jeszcze raz, a bez osłony pola Chakravalin zginie jak owad w płomieniu świecy. Dygocząc, zszokowany, raczkuje w poszukiwaniu upuszczonego promiennika. Dłonie trafiają na jakiś twardy i chłodny przedmiot. Ma broń! Ulga i odpływający stres obezwładniają ciało. Bezsilny jak zabawka, jak ten zaginiony bóg-słoń Ganeśa, Chakravalin siedzi na podłodze i tuli do siebie broń tam, gdzie ją znalazł.

Zapala się aura Jagannathy.

Chakravalin ani drgnie. Wciąż siedzi z promiennikiem przyciśniętym do piersi.

I nagle Dyrektor jest wszędzie.

Dosłownie. Jego postać mnoży się kaskadowo. Niczym rozchylające się płatki składanego lustra, odbijające światło do wewnątrz, podwajające, potrajające, zwielokrotniające obraz w labirynt. Jagannatha stoi przed i za młodzieńcem. Chakravalin może tylko patrzeć. Niemal od razu pojmuje, na czym polega podstęp ojca, ale nie jest w stanie przeciwdziałać. Salę zalewa purpurowe światło osłony, wzmocnione sztuczką Dyrektora. Chakravalin rusza z miejsca i tysiąc Jagannathów obraca się jakby twarzą do niego, unosząc broń. Widzą go? Czy słaby blask osłon wystarcza, by wykryli jego cichą obecność? Dziedzic bierze się w garść i pozwala, by zawładnęły nim wyszkolone instynkty - znów porusza się jak wojownik, podchodzi do najbliższego z nagich mężczyzn. Jeśli sam nie może sobie poradzić ze zwielokrotnionym przez odbicia blaskiem osłony Jagannathy, to samo musi dotyczyć oczu i umysłu jego przeciwnika. Jak Jagannatha mógłby dojrzeć syna wśród niewyraźnych, bąblastych błysków swoich kopii? Te zaś unoszą broń i strzelają w podświetlany fioletem mrok. Tylko jedno wyładowanie jest prawdziwe. Z sykiem trafia w próżnię. Jego odbicia rozbłyskują pozornie morderczej, ale nieszkodliwej sieci. Sylwetki zamierają w miejscu, maniackalnie szczerząc tysiące zębów. Chakravalin czuje, jak jego serce przyspiesza. Jego ojciec pała żądzą zabijania. Tylko kto z tego tłumu to Jagannatha?

Wszystko to trwa nieco dłuższą chwilę. Chakravalin rozgląda się. Wygląda na to, że te widma są wszędzie dokoła. Krok naprzód. Horda odbić migocze, jak marszczona wiatrem powierzchnia mydlanej bańki. Kolejny krok. Sylwetki gasną. Ciemność.

Rozpacz jest nie do odparcia.

Diabelsko chytra sztuczka Dyrektora zneutralizowała broń Starego Imperium.

Jak Chakravalin może wziąć wroga na cel, jeśli widzi go wszędzie dokoła, prawdziwego czy nie? Koniec z celowaniem.

Jak kwiat z lodu, sposób przełamania tego impasu rozwija się w jego umyśle. Jedyny, przerażający sposób.

Ta myśl naprawdę napawa lękiem. Nie ma chyba jednak żadnej alternatywy.

Chakravalin musi wystawić się na strzał ojca.

Cicho cofa się pod ścianę, staje tyłem do niej tak, żeby chronić przynajmniej plecy, i oburącz podnosi broń do strzału. Jego nagie ciało splywa potem. Sól szczypie w oczy. Chakravalin mruga, żeby usunąć podrażnienie. Oddycha bezgłośnie, głęboko. Zapala się jego aura. Trafia go strzał z daleka, z lewej strony. Ból huczy w każdym targanym skurczami mięśniu. Bez udziału

świadomości Chakravalin wychyla ramiona w lewo, ugina kolana, obraca nieosłonięty tors dokładnie tak, jak trzeba, by strzał był celny. Jego wewnętrzny wojownik znajduje po widok wyładowania, określa kierunek uniku Jagannathy z lekkiego rozmazania powidoku u źródła. Uruchamia promiennik.

Salę zalewa światło jaśniejsze od dziennego. Z broni Chakravalina strzela koszmarny lej jasności, płynie niczym mleko wzdłuż Sali. Trafia Jagannathę, rozświetlając go w pół skoku, i omiata bladym ogniem przeciwległą ścianę. Wtedy gaśnie, ale Dyrektor topnieje w smrodzie i dymie, a za nim krąg muru i posadzki paruje jak suchy lód w świetle lampy. Ciało Jagannathy nabrzmiwa w parodii przyspieszonego rozkładu, upada, rozsypuje się i paruje, dołączając do chłodnej mieszanki powietrza i gazów powstałych z materiałów konstrukcyjnych: gipsu, drewna, stali, które znalazły się w ulotnej, straszliwej strefie działania broni entropicznej. Węzyki dymu kręcą się i wiją wokół białej czaszki zabitego mężczyzny, aż i ta w końcu pęka i znika. Przez nową dziurę w murze do środka dostaje się promień wstającego słońca. W jego świetle podobne do sadzy cząstki wirują, tłumią jasność. Powiew z zewnątrz niesie do Chakravalina słodki aromat ogrodowych kwiatów i słabiutką nutę odoru jatki, smrodu rozprutych trzewi. I już nie ma żadnych powodów, żeby walczyć z mdłościami.

hipersen

To ja jestem odpowiedzialny za ten dzień zabijania.

Oczywiście że tak, jeśli upierasz się, żeby tak właśnie na to patrzeć. Bo kogóż innego można winić?

Przepelnia mnie wstyd.

Wiesz jednak, że my nikogo nie obwiniamy. Nie obdarzamy też pochwałami, chyba że za zręczne posunięcie w grze. W tym wypadku była to kwestia ekonomiczności. Nieuniknione, a jednak zaskakujące. Nasze gratulacje.

Z tytułu jego śmierci? Był bydłciem, rzeźnikiem, ale też żywą istotą, odrębną osobowością. Jak można dobrze się spisać, odbierając życie?

Każdy mały fragment jest częścią Całości. Wróci, gdy przyjdzie pora.

Moim zdaniem, to odrażająca, ohydna ideologia, zacierająca wszelkie różnice między dobrymi i podłymi uczynkami.

Jakwiesz, my, Kleth, jesteśmy filozofami i obserwatorami, a nie sędziami.

Dzielenie włosa na czworo. Kto dał mi broń, której użyto, by odebrać życie, która, jak widzę, zostanie użyta, by zabijać dalej, póki nasze żołądki nie zaczną się buntować przeciwko takiej ohydzie? Ty, Smutna Góro.

Nie. Ja zwróciłam twoją uwagę na miejsce, w którym sam ją ukryłeś. To jednak rozróżnienia pozbawione znaczenia. Wszystkie istoty, którym dane jest życie, muszą z tego życia odejść.

Zgoda, to złuda, ale wewnątrz tej iluzji są inne wartości, nie tylko sama uporczywość życia.

Zacznij myśleć o miłości, Dayanando.

Czyż miłość nie została oddana na zatracenie, kiedy ojciec walczy z synem na śmierć i życie? *Wręcz przeciwnie. To odwieczne nieszczęście ludzkiej historii - tej gry, którą wymyśliłeś - że w tej bitwie miłość się rodzi. W tym przeciwieństwie. W tych zabójstwach bez końca. W tym niekończącym się ucieleśnianiu symboli.*

Nie przypominaj mi o tym. Mit Edypa, ojcobójcy, męża własnej matki. Starożytny, okropny mit! Odrzucam go! Zaprzeczam jego sile!

A zatem żądasz, by spuścić ostatnią kurtynę na ten dramat.

60

Z przyjemnością! Precz z tragedią! Dajcie mi komedię, niech w śmiechu utopię me łzy!

TERAZ

Uniosłem słuchawkę. W uchu czekał kryształek w pełnej gotowości do suflerowania. Usłyszy wypowiedzi dziewczyny, bardzo szybko przesortuje wszystkie możliwe szarmanckie i/albo dwuznaczne odpowiedzi w jego rezerwuarze, szeptem z podrabianym japońskim akcentem

podaje mi najlepszą z wybranych, po czym cierpliwie odczeka, aż odtworzę ją do mikrofonu. Wszystko to przeleciało mi przez głowę jak oślepiający błysk, aż prawie się porzygałem. Słuchawka z łomotem wyłądownała na aparacie.

Przez parę minut siedziałem jak w chorobie sierocej. Głos Toma odezwał mi się prosto w ucho:

- Przestań ściemniać, chłopie, i dzwoń! Wystrzeliłem z łóżka z dzikim spojrzeniem. Potem pognałem korytarzykiem i wpadłem do izolatki brata. Tom miał na głowie lekkie słuchawki z pałąkiem mikrofonu pod brodą, podpięte do blaszaka. Może nie klasa mojego kryształka, ale do podsłuchiwania w sam raz.

- Zboczeniec! Podglądacz! - wydarłem się nań. Udał wielce urażonego i zaskoczonego:

- Ależ, Dayton, to tylko kontrola jakości i wsparcie mo ralne. Możesz spać spokojnie, zejdziesz z linii, kiedy tylko rozmowa wejdzie na naprawę... śliskie... tory.

Zaczął się obleśnie ślinić, a rżał, że mało sobie szczęści nie zwichnął. Przestał dopiero, gdy z groźnie uniesionym mosiężnym pucharem za osiągnięcia sportowe podszedłem do zawieszanej na wyciągu, zagipsowanej kończyny.

- Nie utrudniaj, Tom. Lojalnie uprzedzam. I bez tego nie jest mi łatwo.

- Hej, wyluzuj. „Nie utrudniaj...” Przecież ja ci właśnie ułatwiam, jak mogę.

- A weź się zamknij. - Odstawiłem puchar i klapnąłem na krzesło z giętego drewna przy jego pececie. - Nie dam rady. To ponad siły człeka czy zwierzęcia.

- Darwin by polemizował. - Tom zdjął słuchawki i po dał mi je, zgrywając wielce potulnego.

- Człek i zwierzę bawili się w te klocki od miliardów lat, z całkiem niezłym skutkiem. Odrzuć splątane nici trosk i do boju, dzielny rycerzu!

- A ty co, instruktor od robótek ręcznych? - odpaliłem bez wdzięku i powlokłem się do swojego pokoju. Szekspir zaraz po Darwinie... Matko Boska.

Telefon zadzwonił cztery razy, potem pięć. Z niezmierną ulgą zacząłem odkładać słuchawkę.

Nikogo nie ma w domu! I wtedy rozległ się zniekształcony męski głos:

- Tu rezydencja państwa Cato, a nie Kwatera Główna NATO.

Huknąłem słuchawką o widełki, tłumiąc wrzask przerażenia. Zmaltretowany telefon brzęknął tak, że w całym domu było słyhać. Tom zawołał ze swojego pokoju za rogiem korytarza:

- Spróbuj jeszcze raz, śmiało! Komputer z opóźnieniem podsunął:

- Musimy spalić ten dom - zawyrokował Królik, [tłum. A. Marianowicz]

- Co takiego? - wymamrotałem z niedowierzaniem. - Spalić... Jak można wyskoczyć do kogoś przez telefon z takim idiotyzmem?

Lewis Carroll, 1832-1898, „Alicja w Krainie Czarów” - TWARZĄ W TWARZ natychmiast podsunął stosowny przypis.

POWIEŚĆ

To tylko durnowaty program, pocieszałem się. Jak można się spodziewać podpowiedzi z sensem od systemu eksperckiego szóstej generacji? Przecież on nie ma świadomości, i w ogóle. „Musimy spalić ten dom...” - ha! Przecież tak naprawdę to całkiem niezła odpowiedź w rozmowie z facetem, który potrafi uprzedzać, że jego dom to nie Kwatera NATO.

Znów podniosłem słuchawkę.

- Tak trzymać! - wydarł się Tom ze swojego pokoju. Odebrał ten sam mężczyzna:

- Jeśli poprzednio się pan pomylił, tym razem to rówież pomyłka. Jeśli miał pan nadzieję zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce, z żalem informuję, że jesteśmy jedyną rodziną w Manly, która jeszcze nie posiada tego urządzenia. A jeśli sprzedaje pan aluminiowe obicia ścienne, pozostaje mi tylko złożyć wyrazy najszerszego współczucia.

- Nie sprzedaję... -wydusiłem.

- Ach, to dobrze. - Przez chwilę obaj milczeliśmy. -A czym pan nie jest?

- Nie jestem zbyt dobry w żonglerce słowami. Czy mogę rozmawiać z Merle?

- Najstarsza z moich córek, żrenica ucha mego -stwierdził wariat. - Pozwól, młody

człowieku, że udzielę ci pewnej rady. Nadrabiaj swoje niedociągnięcia. Pracuj nad kunsztem wysławiania się albo Merle od siebie sto pącię odtrąci. Wysoce sobie ceni grę słów i żarciki.

- Przepraszam bardzo, czy ona jest w domu?

- W rzeczy samej lada moment do urządzenia tego ją poproszę.

W tle słyszałem radosne pogawędki i salwy śmiechu. „To nie ze mnie”, wmawiałem sobie.

Nie ma co popadać w paranoję. Zrobili sobie po prostu weekendowego grilla pod dachem.

Starzy znajomi wpadli z wizytą. Albo państwo Cato oglądają na wideo film ze Steve'em Marcinem.

- Halo - w słuchawce rozbrzmiał cudowny, ciepły, me lodyjny głos.

- Miałbym cię porównać do poranka latem? - ode zwał się komputer.

- Nie bądź śmieszna - wyrwało mi się.

- Słucham? - Merle była wyraźnie urażona. - Kto mówi? Oż kurwa. Eechch. Nie. Nic nie mów. Rozłącz się. Nie,

nie możesz rozłączyć się z nimi dwa razy w ciągu jednego dnia. Suflerze, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? I wtedy komputer zaczął mi nadawać do ucha, a ja tylko powtarzałem, bo nie było czasu na redakcję.

- Szalenciec, kochanek i poeta, wszyscy dziełem są wy obraźni.

- Szalenciec... to by się zgadzało. Czy ty przypadkiem nie jesteś ten chłopak z „Blue Suede Shoes”?

- Ja - przytaknąłem gwałtownie, nie pojmując, co się dzieje. Co takiego jej przed chwilą powiedziałem?

- Dobra. Czyli przynajmniej tyle już wiemy - przerwa ła, po czym ciągnęła już łagodniejszym tonem: - Słuchaj, jeśli to faktycznie ty... przepraszam za tego idiotę Jacka Palmera. Był naprawdę nieprzyjemny.

- Lorenzo, w oczach Miłości młody pielgrzym... - pod sunął komputer.

- Jaki Lorenzo? - zapytałem idiotycznie i pospiesznie dodałem: - To nie do ciebie, Merle. O Boże.

- John Keats, 1795-1821.

- Może powinienes się położyć, zdrzemnąć nieco - za proponowała.

- Maszyna szwankuje - wypaliłem.

- Nie ona jedna, jak widać.

- Naprawdę chciałbym się z tobą spotkać - wykrztusi łem całkiem samodzielnie.

Totalnie mnie zaskoczyła.

- Dobra. Jutro o czwartej po południu pod McDonalodem. Jeśli nie będzie padało, możemy pójść na spacer po Esplanadzie. A jeśli będzie, to wejdziemy do środka i objemy się do urzygu.

- Dobrze. - Zamilkłem. Myślałem, że już odłożyła słu chawkę, więc szepnąłem do mikrofonu: - Kocham cię do szaleństwa.

- Przez ten deszcz padło ci na banię - słyszałem jed nak, że mówi to z uśmiechem. - No, to do jutra.

Tym razem naprawdę się rozłączyła.

- I znikła jak chmura, co deszcz swój wyplakała - do łożył swoje komputer.

- A weź się zamknij. Kurde, zakochałem się. I ona chy ba też mnie lubi.

- Percy Bysshe Shelley, 1792-1822.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty... piętnaście

Wyrwana ze snu jego stłumionym krzykiem Adriel przez chwilę rozgląda się nerwowo, usiłując przeszyć wzrokiem ciemność. Chakravalin dygocze obok niej, wtulony w poduszki.

Adriel włącza słabą lampkę nocną, siada naga w olbrzymim łożu i delikatnie przygarnia głowę młodzieńca do piersi.

- Ciii, kochany, to tylko sen - szepce. - Wspomnienie.

- On się roztapia - mówi Chakravalin w udręce. - Roz wiewa go wiatr z ogrodu.
- Zabiłby cię, gdyby zdołał. - W głosie Adriel roz brzmiewa stanowczość. - Musisz się z tym pogodzić. Akurat tym razem zgadzam się z waszym arcykapłanem. Wracaj do tych wspomnień, aż stracą moc. Śnij o tym, opowiadaj sobie całą historię. A potem zapomnij.
- Spróbuję.

Chakravalin sięga po nią, żeby mogli się nawzajem obejmować, już nie szuka pociechy jak dziecko. Tak niedawno zostali małżonkami. Dotyk jego nagiego ciała jest jak szok, wypełniający Adriel nagłą falą zaborczego, dogłębnego pożądania. Wstydzi się tego. Powinna ulegać tym pokusom, kiedy jej mężem targa żal i poczucie winy z powodu czynów, do których zmusił go los?

- Pocałuj mnie - mówi wtedy Chakravalin i Adriel za pomina o wszystkim poza namiętnością, która ich łączy.

Po jakimś czasie zasypiają, wyczerpani, by zbudzić się niemal natychmiast (jak myśli półprzytomna Adriel) na dźwięk mocnego pukania do drzwi. Wartownik z piechoty desantowej otwiera drzwi, wpuszcza kadeta z korpusu łączności. Ten staje na baczność, jasno dając do zrozumienia, że nie widzi królewskiej pary w dezabilu.

- Depesza od ambasadora dla Głównodowodzącego, Ekscelencjo.

W odróżnieniu od żony Chakravalin jest rozbudzony, czujny. Adriel znów uświadamia sobie, jak mało wie o tym młodym mężczyźnie, z którym związała swe życie. Przez większość dzieciństwa i wieku młodzieńczego szkolono go w sztukach walki i wojennym obyczaju.

Ona, dla odmiany, najczęściej widzi go wtedy, gdy Chakravalin jest w najmniejszym stopniu sobą. Jej mąż, jakim go zna, czuły, delikatny, zaangażowany idealista, zdecydowanie nie jest tym, którego wszyscy znają. Szczególnie nie teraz. Obecnie znają go jako Chakravalina Pojedynkowicza, Zabójcę Ojca. Podziwiają go za to - świadomość tego faktu budzi w niej lekki wstręt. Jego lud kocha w nim właśnie to, czym on sam gardzi, czego nienawidzi.

Nadbiega dworka Molly, także wyrwana z płytkiego

61

NA KRANCU MORZA ■■■■■■■■■■

snu, i zaciąga muślinową zasłonkę wokół łóżka, by chronić skromność swojej pani. Ordynans już pomaga Chakravalinowi ubrać się.

- Przeczytaj depeszę na głos.
- To szyfrowany komunikat tachionowy z Rdzenia, Wasza Ekscelencjo. Programy łączności potwierdzają je go autentyczność, zgodnie z...
- Dobra, dobra, czytaj wreszcie.

Kadet głośno przelyka ślinę. Adriel pozostaje w łóżku, słucha bardzo uważnie. Minął niecały miesiąc, od kiedy Dayananda, obdarzony całkowitym pełnomocnictwem dla posłowania do ludów Centrum, ruszył z listami dla Kontrolera Khurdda. Nawet przy prędkościach nadświetlnych jego krążownik dopiero co trafił pomiędzy ogarniętą wojną gwiazdy. Na szczęście przynajmniej łączność tachionowa jest niemal natychmiastowa, dzięki czemu wiadomość otrzymali bez opóźnienia.

**POCZĄTEK DEPEZY AMBASADOR DAYANANDA PRZESYŁA POZDROWIENIA
DLA NAJWYŻSZEGO DYREKTORA STOP WIDZIAŁEM ADMIRAŁA KHURDDA
DZIŚ O GODZINIE 1950 CZASU STANDARDOWEGO STOP WASZE ROZKAZY
DOTYCZĄCE JEGO STANOWISKA PRZEKAZANO OSOBIŚCIE I
ZAPIECZĘTOWANE STOP AKAPIT**

**NIESTETY REAKCJA NAJGORSZA Z MOŻLIWYCH STOP KHURDD OTWARCIE
ODMAWIA ZŁOŻENIA DOWÓDZTWA STOP SĄ DOWODY
ZAAWANSOWANYCH PRZYGOTOWAŃ DO ZNISZCZENIA GŁÓWNEJ PLANETY
GAUNILO JAKO PRZYKŁADU DLA INNYCH STOP POWTARZAM UNICESTWIĆ
GAUNILO STOP AKAPIT.**

Na chwilę kadetowi załamuje się głos. Młodzieniec od-chrząkuje, nerwowo spogląda na Chakravalina, czyta dalej. Ciało Adriel pokrywa się gęsią skórą. Unicestwienie całej zamieszkałej planety! Ten człowiek to szalowiec, nie lepszy od Jagannathy.

- ZALECAM NATYCHMIASTOWE WYSŁANIE ESKADRY BY ODEBRAĆ KHURDDOWI DOWODZENIE STOP BĘDZIE STAWIAŁ OPÓR STOP CHOĆ JEDNOSTKI FLOTY LOJALNE WOBEC KHURDDA SĄ ROZPROSZONE PO REJONIE RDZENIA PRZECIŃKI DOSTĘPNE NA MIEJSCU SIŁY LOJALNE WOBEC WASZEJ WYSOKOŚCI NIE WYSTARCZĄ BY STAWIĆ CZOŁA BUNTOWI STOP ZALECAM WYPOSAŻENIE OKRĘTÓW GWARDII IMPERIUM W BROŃ ENTROPICZNĄ JAKO UZBROJENIE OSTATNIEJ SZANSY STOP AKAPIT.

- Na bogów, człowieku, sam ledwie pojmujesz, na ja kieć zasadzie działa to urządzenie! - Chakravalin krzy czy do swojego nieobecnego przyjaciela. - Jakże mamy zaadaptować zasadę działania broni Starego Imperium na czas, by...

Przerywa na chwilę.

- Proszę skończyć czytanie depechy.

- Tak jest, Ekszelencjo. Niewiele więcej zostało. Ta chionowy szum w Rdzeniu jest bardzo silny, panie, i część wiadomości uległa zagłuszeniu. Użyliśmy algorytmów korekcyjnych, ale...

- Rozumiem. Kończ, proszę.

Mój panie, oto reszta: LUKA MOICH POKOJACH W PAŁACU ZNAJDZIESZ ZAPIS DANYCH PROJEKTOWYCH LUKA WYJĄTKOWO PROSTA W KONSTRUKCJI LUKA ZASILANA KWANTOWĄ ENERGIĄ PRÓŻNI STOP MIOTACZE MOGLIBY WYKONAĆ ZBROJMISTRZE W CZASIE PODRÓŻY DO SYSTEMU GAUNILO SZACUNKOWY CZAS TRZY

TYGODNIE STOP LUKA OD KLETH JEŚLI TO NIEZBĘDNE STOP AKAPIT WRACAM DO SYSTEMU LEITH NIEZWŁOCZNIE STOP SUGERUJĘ SPOTKANIE ZA DZIESIĘĆ DNI STOP TYLKO OSOBISTY AUTORYTET NAJWYŻSZEGO DYREKTORA MÓGLBY W TEJ CHWILI ZMIENIĆ BIEG WYDARZEŃ STOP NIECH BOGOWIE BĘDĄ Z TOBĄ CHAKRAVALINIE ODSTĘP KONIEC WIADOMOŚCI AMBASADOR DAYANANDA Z POKŁADU „MATSYAVATARY”.

- Dziękuję. Możecie odejść.

Wartownik salutuje, kadet wychodzi i pokój jest taki, jak przed jego przyjściem. Tylko że już nic nie jest takie, jak było.

- Będę musiał lecieć. - Chakravalin ujmując dłoń Adriel. - Nie wierzę, żebyśmy zdążyli na czas, by ocalić Gaunilo. Sukinsyn! Zdradziecki sukinsyn!

- Zrozumiałeś, o co chodziło Dayanandzie pod koniec? Mówił coś o Kleth.

- O tak. - Chakravalin kiwa głową. - Filozofowie mają ją w zapasie wiele asów, nawet jeśli obywają się bez rękawów. Zastanawiałem się już, skąd Dayananda to wziął...

Nagle podejmuje decyzję i idzie do ekranowanego sejfu w gabinecie obok sypialni. Przynosi mały, nieciekawy przyrząd, wyglądający na wykonany z aluminium. Obraca go w dłoniach z mieszaniną przerażenia i nabożnego podziwu.

- Oto, czego użyłem, by zabić ojca. O tym śniłem, kiedy wyrwałeś mnie z koszmaru. Czy rzeź nigdy się nie kończy? Obawiam się, że nim dokonamy swego, ta broń spopielę cały świat.

Ciska urządzeniem o ścianę, metalowy przedmiot odbija się z brzękiem.

- Ohydztwo! Jaka szkoda, że nie zaginęło bez śladu w czasie Lat Upadku. A teraz będę musiał użyć go, by za bić własnych ludzi.

- Tylko jeśli sprzeciwi się twojej władzy - szepce Adriel. Wciąż trzyma go uspokajająco za rękę, śląc fale miłości w jego skłopotane serce. Nie cieszy jej, że właśnie taki użytek robi z własnego daru. Chakravalin jednak rozpaczliwie potrzebuje jej kojącego dotyku, troski, za

ufania. Spogląda na nią, nagle uśmiecha się, przytula mocno i podnosi urządzenie z dywanu.
- Chciałbym móc cię z sobą zabrać. Jedno spojrzenie na twą uroczą twarz i złożyliby broń.
Adriel milczy, ale w jej głowie zapala się nowa myśl. Czy po to ją tu wysłano, tutaj, do serca państwa wrogiego jej ludowi? Czy po to ukształtowano ją w laboratoriach Tiresias z DNATyranki? Czyżby to właśnie był najgłębszy, najokrutniej narzucony obowiązek i sens jej życia?

Nie chce teraz o tym myśleć. Opiera się szeptem własnych myśli. Myśl zakorzenia się jednak w mrocznych zakamarkach jej umysłu, zmienia Adriel, a ona przeczuwa jakoś, że to z kolei zmieni cały świat.

hipersen

Przekażecie mu sekret tej antycznej broni, jeśli o to poprosi?

Oczywiście. Służymy mu radą i pomocą, tak jak służyliśmy jego ojcu.

Najemni filozofowie, he? Zwracacie uwagę, ile wasze usługi kosztują tych, którzy o nie występują? Nie pobieramy opłat za nasze dary, przecież o tym wiesz. W twym przypadku naszym darem jest błogosławieństwo odzyskanych wspomnień. Czy jest coś bliższego sercu?

62

POWIEŚĆ

Coraz bardziej wątpię, czy istotnie są to wspomnienia. Wydaje mi się, że to raczej mit, który znalazł zarzewie w moim opróżnionym umyśle.

Gdy wydarzenia osiągną określoną skalę, wspomnienia zlewają się z mitami.

Moje podejrzenia dotyczą bardziej szczegółowych kwestii. Te imiona należą do bogów i herosów. Wszystkie obrządku i wierzenia zapożyczone są z pradawnych czasów, kiedy wszyscy ludzie żyli jeszcze na jednej planecie. A ta broń...

Strzała Indry.

A więc nie zaprzeczasz?

Indra to mityczna zasada organizacji, porządku, władzy. Strzała jest najpotężniejszą bronią, jaką Indra włada w walce z chaosem. Czyż nie godzi się, by zawierała w sobie zasadę nieładu?

Zasadę entropii. Ogólnego zniszczenia.

Otóż to, Ambasadorze Pełnomocny.

TERAZ

Kiedy poszedłem zdać raport, Tom cnotliwie studiował coś z wyglądu przypominającego instrukcję obsługi. Zestaw słuchawkowy prosto ze Star Treka walał się po drugiej stronie pokoju, tam, gdzie go porzuciłem. „Widzisz, mamusiu? Nie podglądałem”.

- No i jak poszło?

- Ten gadżet to straszna kiła - odparłem z niesmakiem. Komputer zaczął recytować prosto w moje ucho dane o objawach, przebiegu i konsekwencjach zakażenia krętkiem bladym. -

Cytował poezję.

- Bo dziewczyny lubią wiersze.

- No tak, ale nie takie.

- Dała ci kosza. Przykro mi, młody.

- Szczerze mówiąc, jesteśmy umówieni na jutro po południu.

- No bomba! Więc co cię gryzie?

- Przecież ci mówię, ta maszyna nic nie daje, ale i tak jej potrzebuję.

- Znaczący, musisz ją wytresować - zamachał swoim małym gazynem. - To tak, jak z magicznymi kryształami: mu siesz je nauczyć reagować na częstotliwość wibracji twojej energii.

- Że jak? - Z reguły Tom nie wytrzymał nawet se kundy, jak to ujmował, „New

Age'owych pierdoł dla pół-mózgów”. - Co ty ostatnio czytałeś, facet?

- „Sceptyczne Skandale”, jest tam cała seria artykułów o tych świrach. Najwyraźniej musisz się ze swoim kryształem zaprzyjaźnić, głaskać go i prawić mu komplementy. Swego czasu ci

kretyni proponowali takie samo podejście do roślin i „twojego wewnętrznego ja”.

- Merle ma ciężką jazdę na kryształach.
- O, jakże mi przykro. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Ileż czasu i energii ci ludzie poświęcają na takie brednie! Gdyby tylko zaangażowali się w coś pożytecznego, jak na przykład...

- ...głowice nuklearne - wtrąciłem sarkastycznie.

- No co, no co, w to już się nie bawię. Mówiliśmy o twoim kilaku. Musisz go wytresować. Co myślałeś, że sam zaczniesz kombinować?

- Zdaje się, że na tym właśnie ma polegać główna zaleta tych systemów eksperckich?

- W granicach rozsądku, Dayton. Śmiało. Pogadaj z nim. Porozmawiajcie o sekretach kryształów. Albo lepiej nie - poprawia się szybko - może to nie najlepszy pomysł, zważywszy na to, na jakim supersystemie chodzi ten pakiet. Miłej zabawy.

Jakby nigdy nie wraca do lektury.

I o co w tym wszystkim chodzi? Tom naprawdę dziwnie się zachowywał. Spróbowałem sobie przypomnieć ten jego poprzedni dziwny tekst. „Największe odkrycie w historii”. Co to niby miało znaczyć? I jeszcze: „Życie na...”, po czym się zamknął.

Usiadłem na łóżku i zmarszczyłem brwi. Tyle mogłoby być tych największych odkryć w historii. Efekt cieplarniany, na przykład, nieźle by się nadawał. Może nabrał tempa. Może całe życie na Ziemi miało pójść do piachu z powodu dziury ozonowej. Może znaleźli naukowy dowód istnienia Boga. Albo dowód Jego nieistnienia. Ta myśl mnie nieco zmroziła. Może bardzo rzadko chodziliśmy w rodzinie do kościoła, ale zawsze zakładaliśmy, że wszechświatem rządzi jakaś wyższa siła, moc przekraczająca ludzką, a na pewno więcej niż przypadek. Tom, co prawda, wyglądał na większego sceptyka. Jakby się nad tym zastanowić, Tom nie wierzył chyba w nic, czego nie dałoby się modelować na komputerze. Czyżby to było tym największym odkryciem? Model Boga? Hej, pomału. Symulacja człowieka byłaby wystarczająco dużym osiągnięciem.

Jasna dupa. Ktoś sztucznie stworzył życie?

Wziąłem głęboki wdech, który mnie zmroził, i otworzyłem oczy tak szybko, że zapiekły powieki. O to chodzi? Jakiś genetyczny Frankenstein? A może to, o czym najpierw pomyślałem, symulacja człowieka na superkomputerze, obdarzona świadomością istota z bitów i bajtów, a nie krwi i kości.

Szalone pomysły. Ale Tom powiedział „Życie na...”

Boże drogi.

- Życie na Księżycu - mruknąłem cichutko. Głos z japońskim akcentem odezwał się w uchu:

- Nie spodobałoby ci się, nie ma gdzie surfować. Zamrugąłem. Dużo lepsza odpowiedź od cytatów z Ke-

atsa i Shelleya, ale nie o to mi chodziło. Jak mógłbym wykorzystać ten program, żeby wejść w strukturę plików superkomputera? Tom mówił, że to pakiet połączonych systemów eksperckich, więc musiał być jakiś sposób, żeby przechodzić od jednego do drugiego. I to na tyle elastyczny, żeby dało się nim sterować głosem. Oparłem się o ścianę.

- **TWARZĄ W TWARZ.**

- Program aktywny.

- Menu.

- Gorzką i słodką strawę przeżuwasz / Myśli miło snych... [„Jak wam się to podoba”, tłum. M. Słomczyński, akt IV, sc. 3] - stwierdził komputer, aż mnie dreszcze przeszły. Czytał w moich myślach? E, nie, wciąż jeszcze bawił się w suflera. No dobra, próbujemy dalej.

- Pliki... - Zanim system zdążył się odezwać, poprawiłem się: - Menedżer plików.

Jakiś jajarz od programowania naprawdę nieźle się przy tym bawił. W moim uchu rozbrzmiała seria pięciu krystalicznie czystych tonów: melodia kontaktu z „Bliskich spotkań trzeciego stopnia”. System stał przede mną otworem.

- Kryształy.

- Wyrażenie „kryształy” występuje w 18 473 hasłach, pogrupowanych w 27 głównych kategoriach. Czy chcesz zobaczyć listę tych kategorii?

Wyglądało na to, że lekko nie będzie. - Nie. - Zastanowiłem się przez chwilę. Życie na... Na czym? Na ekranie, skutek komputerowej symulacji? Na Księżycu? E, idiotyzm, żadnych warunków do surfowania ani nawet atmosfery, żeby żywe organizmy miały czym oddychać

63

NA KRANCU MORZA

Dreszcze wróciły z nową siłą. Tom powiedział, że cała ta sprawa to działka NASA. NASA zajmowało się misjami międzyplanetarnymi. To ograniczało listę kandydatów. Może jakieś cuda, organizmy z metanu czy czego tam, unoszące się w gęstej, gazowej atmosferze Jowisza, bo przecież sonda Galileo zebrała tam z bliska mnóstwo szczegółowych danych. Tyle, że to byłoby raczej życie „w” niż „na”. To co, Wenus? Za gorąco, chyba około 400 Celsjuszy. Została tylko jedna realna możliwość.

- Życie na Marsie - powiedziałem systemowi.

- Wyrażenia „życie” oraz „Mars” występują w 914 hasłach, pogrupowanych w 12 głównych kategoriach. Czy chcesz poznać listę tych kategorii?

-Nie.

Jak tak dalej pójdzie, to będę tu kwitł do nocy. Dobra, spróbujmy połączyć oba tematy.

Znaczy „wyszukiwanie krzyżowe”. Bo i czemu nie? Co mi zależy?

- Wyszukiwanie krzyżowe: „życie na Marsie” i „kryształy”.

Usłyszałem stanowcze: - Dostęp do obszarów zapytania wzbroniony. Podaj hasło dostępu do plików na ten temat dla Działu Nauk Planetarnych NASA.

Szczęśliwy jak gwizdek padłem na łóżko. Wolałbym podskakiwać i wrzeszczeć z radości, ale bałem się przyciągnąć uwagę Toma. Bez wątpliwości wściekłby się jak sto pięćdziesiąt, gdyby się dowiedział, że grzebałem w zastrzeżonych materiałach NASA, niedostępnych dla osób nieposiadających odpowiedniego upoważnienia.

Myśl, Dayton. Da się jakoś obejść te zabezpieczenia?

Wróć na start, zacznij od zera w nadziei, że system nie jest wciąż jeszcze zjezony.

- TWARZĄ W TWARZ.

- Program uruchomiony. Witaj znowu, słoneczko.

- Mogłabyś podać się za administratora systemu komputera macierzystego, albo co, i wydostać dla mnie hasło Działu Nauk Planetarnych NASA?

- Będę musiała wystąpić o wyższy poziom dostępu. Proszę czekać...

Przez następne dziesięć minut ogryzałem paznokcie i słuchałem wiązanki kawałków Sex Pistols w wersji dla supermarketów, serwowanej mi prosto w ucho. Ten odrażający syrop urwał się zniecka.

- Zdołałam uzyskać upoważnienie do dostępu do Za zabezpieczonych Katalogów.

Rewelka!

- Dobra, wracaj do Menedżera Plików i wyciągnij rezultaty wyszukiwania krzyżowego: „życie na Marsie” i „kryształy”.

Da dii da d a da.

- Wyszukiwanie... Utajniony raport z połączonych, amerykańsko-rosyjsko-japońskich tajnych badań z zakresu Nauk Planetarnych, dotyczących tak zwanych Pi ramid na Elysium, 15 stopni szerokości areograficznej północnej, 198 stopni długości areograficznej zachodniej oraz tak zwanej „Twarzy na Marsie” na Cydonii, 41 stopni szerokości areograficznej północnej i 9,4 stopnia długości areograficznej zachodniej. Przypomina się, że raport ten dostępny jest tylko dla osób, którym jest on niezbędny do badań. Następuje streszczenie. Kontynuować? Tak/Nie.

Niemal dławiąc się z wrażenia, szepnąłem „Tak”. - Po dokładnym zwiadzie przeprowadzonym przez łażki ładowników NASA i Wielkiej Brytanii z Ośrodka Lo tów

Kosmicznych Bajkonur wystrzelono dwa zrobotyzowane próbniki marsjańskie serii Ares, zawierające mo duły lądowania i powrotu wyposażone w zaawansowane pokładowe systemy sztucznej inteligencji, jak też moduły orbitalne. Podróż na orbitę Marsa zajęła im jedenaście miesięcy. Misjataupamiętniała trzydziestolecie miękkiego lądowania próbników serii Viking na powierzchni Marsa 20 lipca i 3 września 1976 roku. Podstawowym celem misji było badanie anomalii wykrytych przez wcześniejsze próbniki i uszczegółowionych przez cyfrową obróbkę obrazu, szczególnie z ujęć próbników Mariner NASA klatka 4205-7 z 8 lutego 1972 roku i 4296-23 z 7 sierpnia tegoż roku, potwierdzonych przez zdjęcia z polarnej orbity, wykonane przez sondę NASA Observer w 1993 roku, a ukazujące czworościenne obiekty dziesięciokrotnie wyższe od piramid w Gizie, jak też tak zwaną „Twarz z Marsa”, klatki z misji Viking 034A72, 070A13, 753A33, 753A34, 673B56 i 673B54.

Oczy już prawie wylaziły mi z orbit. Co to za gadka? Jakiś gigantyczny żart? Na pewno. Tylko kto zadałby sobie tyle kłopotu, żeby akurat ze mnie robić sobie jaja? A Tom mówił o życiu na Marsie...

- Ładownik Jeden misji Ares przeszedł z wysokiej orbity wokółmarsjańskiej nad rejonem Czworoboku Marę Acidalia, przesyłając czyste obrazy obiektów znanych ja ko Piramida Wrót, Twarz na Cydonii i towarzyszące jej czworościany oraz Piramida na Krawędzi Krateru. Przy trzecim podejściu ładownik osiadł w odległości pięciuset metrów od Twarzy. Obserwacja radarowa, w podczerwieni, ultrafiolecie i zakresie światła widzialnego potwierdziła, że ten obiekt to podobna do Sfinksa rzeźba męskiej, humanoidalnej twarzy o przybliżonych wymiarach 2,5 kilometra długości i 2 kilometry szerokości, symetrycznej, patrzącej w zenit. Nos sylwetki osiąga wysokość około 780 metrów nad powierzchnią okolicy. Oczy wyrzeźbiono znacznie bardziej szczegółowo, niż na to wskazywały poprzednio dostępne zdjęcia - odzwierciedlone są źrenice, tęczę i kanaliki łzowe. „Rampa”, której istnienia domniemywano na odcinku od lewego policzka do podbródka, to efekt uderzenia meteorytu w odległej przeszłości. Rozległe zwietrzenie potwierdza wyniki datowania dokonanego dzięki magnetycznym i protonowym instrumentom pomiarowym, określające go wiek obiektu na ponad 1,8 miliarda lat. Uwaga — to datowanie jest sprzeczne ze stopniem uszczegółowienia rzeźby oczu.

Miałem problemy z oddychaniem. To było fantastyczne. Cudowne. Porażające. Na ile się orientowałem, cały stan naszej wiedzy został obalony. Jeden i osiem dziesiątych miliarda lat? Ludzie pojawili się na Ziemi milion lat temu, no, może trzy. Dinozaury poszły do piachu 65 milionów lat temu, a na scenę wyszły może dwieście milionów lat wcześniej. Wszystko to drobiazgi. Życie w ogóle nie mogło być o wiele starsze od tych przedmiotów z Marsa. Algi? Cieniutka powłoka sinozielonego śluzu na mętym oceanie? Nieważne.

A komputer wciąż szeptał mi w ucho: - ...W składnicach artefaktów przy piramidach w rejonie Elysium znaleziono czterdzieści siedem kryształów wych czaszek. Ewidentnie były to kopie dużej Twarzy, bądź też to właśnie ona stanowiła ich powiększenie. Zrobotyzowany system próbkowania z Ładownika Jeden podjął pięć z tych artefaktów i powrócił z nimi na orbitę wokółmarsjańską. Podczas pierwszego okna odlotu obiekty te i zgromadzone kopie zarejestrowanych danych zostały przesłane z powrotem na Ziemię, gdzie obecnie są poddawane rozległym testom w upoważnionych laboratoriach bez dostępu osób postronnych. Rozwinięcie tego streszczenia można uzyskać za pomocą menu. Przejść do menu? Tak/Nie.

64

POWIEŚĆ

- Nie... - szepnąłem baaardzo cichutko. Kryształowe czaszki! Tu, na Ziemi! Twarz na Marsie? Czemu nigdy nie słyszałem o czymś, co odkryto już na fotografiach z misji Mariner i Viking? Przecież to było całe lata temu! Przekopywałem się przez wspomnienia. Jakies brednie o UFO, mocach umysłu, poltergeistach, astrologii... ha, Tom miał rację, nawet ten

idiotyczny koncept, że rośliny czuły ból i darły się wniebogłosy, kiedy się je wrywało z korzeniami i zjadało. Któż spamiętałby te wszystkie bzdury? Kto w ogóle zabrałby się za oglądanie tych zdjęć? Widocznie NASA i reszta narodów, które wysłały próbniki na Marsa: Rosjanie, UE, ostatnio nawet i Japończycy, musieli wyretuszować zdjęcia, żeby ukryć przed ludźmi przerażające fakty.

Może Merle, o, proszę. Lokalny kryształomaniak.

- Zakończyć podprogram Zabezpieczone Katalogi? -zagadnął komputer.
- Tak - odpowiedziałem memu niewidzialnemu roz mówcy. - Dobra robota. Dziękuję.
- Zawsze gdzieś jest ładna pogoda, proszę pana - i z ty mi słowami wyłączył się.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty...

Lejbgwardia Najwyższego Dyrektora to doborowa jednostka Floty Shirampuru, doskonały, idealnie sprawny mechanizm krążący niczym wyostrzone miecze po orbicie nad planetą Imperium, w każdej chwili gotów, by na rozkaz pomknąć choćby na drugi koniec Galaktyki, niosąc śmierć lub jej zapowiedź każdemu wrogowi, który zechciałby zagrozić władzy czy bezpieczeństwu Imperatora.

W centrum zawieszony w mroku kosmosu formacji, chroniony od obserwacji polami ochronnymi, znajduje się „Garuda” - bojowy kosmolot Starego Imperium, wyciągnięty, jak powiadają, przez Vamanę z otchłani czarnej dziury Osobliwości Kleth. To przerażający monolit, długi na całe kilometry, olbrzymi jak asteroida, nazwany na cześć olbrzymiego, drapieżnego ptaka, którego jak rumaka dosiadał bóg Wisznu. Jego pola przy pełnej mocy generatorów przez wiele minut zdołałyby się oprzeć atakowi energetycznemu, który puściłby z dymem całą planetę. Jego uzbrojenie mogłoby wysterylizować glob, w ciągu godzin pogrążyć go w dymiących zgłiszczach atomowej zimy.

„Garuda” ma tylko jedno ograniczenie. W nadprzestrzeni masa ma przełożenie na szybkość. „Garudy” można użyć do ataku z zaskoczenia, ale tylko w takiej sytuacji nadaje się on do działań zaczepnych. Kiedy już wojna jest wypowiedziana, przeciwnik może przygotować sferę za sferą zabójczych urządzeń obronnych na orbitach wokół swych planet i nawet tak potężni siewcy śmierci jak „Garuda” są wtedy bezradni. W związku z tym najlepiej nadaje się on do obrony, zbrojnego czuwania jak zły pies na orbicie nad miastem, w którym znajduje się akurat Lord Dyrektor.

Większą taktyczną korzyść dają mniejsze jednostki: lekkie krążowniki, kutry szturmowe. Żołnierze desantu w pancerzach bojowych przecinają przestrzeń między nimi, przygotowując się do odlotu z Shirampuru. Napędy statków doprowadzane są do pełnej gotowości. Purpurowe światła pozycyjne krążowników pojawiają się i znikają podczas testów pól ochronnych.

Na okrętach Gwardii rozbrzmiewają syreny. Oficerowie i kadeci są w pełnym pogotowiu.

Jacht Dyrektora opuścił powierzchnię obracającej się pod nimi planety i wznosi się teraz jak drapieżny ptak, pragnący dołączyć do pobratymców.

Nie minęło jeszcze pięć godzin, od kiedy odebrali wiadomość od ambasadora Dayanandy.

Chakravalin, tytularny Admirał Floty, otrzymuje pełne honory przy wejściu na pokład „Garudy”. Ten olbrzymi okręt, flagowa jednostka Gwardii, po raz pierwszy od lat ma opuścić system planetarny Shirampuru. Za plecami Dyrektora stoi bosman z walizką. Wewnątrz zapieczętowanej i opatrzonej ładunkiem wybuchowym torby znajduje się komputerowy zapis danych dotyczących broni entropicznej: rysunki techniczne, zasada działania, metody powiększenia broni do rozmiarów możliwych do zastosowania w systemach uzbrojenia okrętu. Wszystko dzięki Kleth.

Dla Chakravalina zaczyna się właśnie udręka czekania. Serce pęka mu z tęsknoty za Adriem, a mózg nie potrafi poradzić sobie z ogromem stojącego przed młodzieńcem zadania.

Skoki przez nadprzestrzeń należy wyliczyć z absolutną precyzją. Podróż praktycznie po promieniu Galaktyki, pięć tysięcy parseków, piętnaście tysięcy lat świetlnych, to jak ciśnienie

pojedynczego atomu na drugą stronę planety z nadzieją, że trafi dokładnie tam, gdzie się go spodziewamy. Niemożliwość. Dlatego potrzebne są częste wynurzenia z przestrzeni o dodatkowych wymiarach, by sprawdzić położenie okrętów wewnątrz tej wielkiej, zakurzonej gwiazdami Soczewki Galaktyki i wydać polecenia przyrządom astronawigacyjnym, które pokierują jednostkami podczas kolejnego nurkowania w nadprzestrzeń.

A to jest strasznie nudne. Zabójczo nudne.

Na statkach wycieczkowych ekstrawaganckie maskarady i koktajle pozwoliłyby zabijać czas, dni i noce marnowane przez podróżnych w czarnej pustce. Tych ze skłonnościami do naukowych ploteczek mogłyby rozerwać zabawne, ilustrowane wykłady o dalekich i zwykle niewidzialnych cudach wszechświata. Rozrywki i ukojenia można też szukać w muzyce i innych mediach.

Na okręcie, który pędzi przez mrok ku nagłej śmierci, nie ma zbyt wielu z tych rozrywek: dla jednych brak tu miejsca, inne byłyby nie na miejscu.

Z drugiej strony jednak, wśród mechaników nie dałoby się wykryć nawet cienia znudzenia. Mężczyźni w wysmarowanych kombinezonach harują i klną w warsztatach, obrabiając metale i kryształy w kształt mandali śrica-kra, której znaczenie przepadło w mrokach snu i minionych lat. Niewielu z nich ma prawo wiedzieć, co naprawdę budują, a owoce ich pracy w niczym nie przypominają znajomych dział, laserów, generatorów pól. Główny Inżynier jest w stanie nakłonić swych zdumionych podwładnych do pracy tylko dzięki ich niezachwianej wierze w Najwyższego Dyrektora, tego zdumiewającego młodzieńca, którego w pogawędkach w mesie wszyscy nazywają Pojedynkowiczem.

Chakravalin siedzi w specjalnym fotelu, zarezerwowanym dlań na mostku „Garudy”, obserwując ekrany pokazujące widok sprzed dzioba okrętu. Na trójwymiarowym wyświetlaczu rośnie zielony, z rzadka okryty pasmami chmur glob - planeta Leith. Admirałowi Antace salutuje kadet, młodszy nawet od Dyrektora.

- Panie, Główny Inżynier Sraddhadeva ma przyjemność zameldować, że zainstalowano już ostatnie z no wych miotaczy.

- Przekażcie mu, żeby przygotował się na próbne strzelania, kiedy wejdziemy na orbitę nad Leith. Antaka odsyła chłopca z powrotem do warsztatów.

65

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■■■■■■

Komendant Gwardii Imperium to prawdziwy olbrzym. Jego pobrużdżoną twarz w większości skrywa czarna broda. Nie oswoił się jeszcze do końca ze swym nowym przełożonym. Wieść o śmierci Jagannathy głęboko go zbulwersowała. Wielu z jego ludzi nazywało poprzedniego Dyrektora „Rzeźnikiem” - nic złego w takim określeniu dla dowódcy wojowników. A ten młodzieniec, taki zapaleniec...

Admirał Antaka kryje uśmiech, gładząc czarne kędziory porastające podbródek. Prawdę mówiąc, ma słabość do tego chłopaka. Shirampur jest na krawędzi wojny domowej, najgorszego koszmaru dla oficera Floty, ale w ciągu półtora tygodnia od odlotu Chakravalin zaraził wszystkich swym niegasnącym entuzjazmem, przekonał, że bynajmniej nie wszystko stracone. Nie da się traktować poważnie jego wizji pokojowej federacji ludów Galaktyki, ale niewątpliwie ten młodzieniec poświęci całą swą niebagatelną energię, by osiągnąć wymarzony cel.

- Z całym szacunkiem, Wasza Ekscelencjo - mówi te raz - sądzę, że przydałby się panu odpoczynek. Do wejścia na orbitę parkingową mamy co najmniej pół godziny. Mogę zaproponować toast za zainstalowanie nowych systemów uzbrojenia?

Dyrektor patrzy mu w oczy.

- Dziękuję, Admirale. Chętnie napiję się z panem brandy. Wolałbym jednak toast za pojednanie.

Steward nalewa trunki, wznoszą kieliszki. Słyszą szepty, umundurowani mężczyźni przychodzą na mostek i odchodzą. Kapitan okrętu siedzi przy swym stole, dając przełożonym

złudzenie odosobnienia. Po jakimś czasie Chakravalin odzywa się niemal udręczonym tonem:

- Antako, jesteś człowiekiem wojny...

- ...i pokoju, Ekscelencjo.

- Zawsze jednak wydaje się, że droga ku pokojowi ocieka krwią. - Chakravalin jest bliski rozpacz. - Jeśli ka taklizm zagraża mężczyźnie czy kobiecie, będą oni walczyć jak demony, żeby go powstrzymać. Stworzono nas z popędem do zachowania życia. Żaden z nas nie zawałałby się poświęcić własnego życia dla ocalenia dziecka. A jednak raz za razem rzucamy się w otchłań narodowe go samobójstwa.

Admirał wzrusza ramionami.

- Żaden ze mnie filozof, Ekscelencjo. Czyż nie nauczyło nas, że Wisznu jest zachowawcą, a Siwa niszczy? Naszym losem władają obaj bogowie, żaden z nich nie dominuje. Czyż nie tak urządzony jest świat?

Na ekranie planeta Leith pęcznieje jak podświetlony klejnot na roziskrzonym gwiezdnym ciemnym aksamicie kosmosu. Filtry optyczne kompensują narastający blask planety - gwiazdy w tle blakną i gasną. Chakravalin patrzy na piękny widok, ale go nie dostrzega.

- Całe me życie spędziłem, studiując sztuki walki, tak jak i ty, Admirale. Żołnierzy uczy się, że wojny należy unikać, o ile to tylko możliwe. Uczy się ich, by słuchali władz cywilnych z wyjątkiem najwyższego stanu zagrożenia w czasie wojny. Robimy, co możemy, żeby chronić naszych braci, oficerów i żołnierzy, dopóki ofiara z ich życia i zdrowia nie okaże się niezbędna do zdobycia zwycięstwa. A to nigdy nie jest piękna równowaga między życiem a śmiercią, Antako. To odrażający paradoks, nikczemny błąd logiczny. Nie wolno zabijać, by żyć, a jednak tak właśnie musimy robić. Nim minie wiele dni, spotka my Khurdda i musimy go zniszczyć, jeśli nie skapituluje, a wiemy, że tego nie uczyni. A przez cały ten czas mówi mi o życiu, honorze, chwale.

Ostrożnie, zniżając głos, Admirał układa odpowiedź:

- Mógłbym ci, panie, przypomnieć ustępy z „Bhaga-vad-Gity”, kiedy Pan Kriszna wyjaśnia te same kwestie księciu Ardżunie przed jego bitwą. Jak obaj wiemy, mój panie, najszczytniejszy jest szlak wierności obowiązkom. Myślę jednak, że mylisz się, doszukując się tu paradoksu. Czyż nie stwierdzono, że mimo wszystkich katastrof i niepowodzeń w dziejach widoczny jest stały, dominujący trend ku pokojowi? Stanowczo wierzę, że żądze wojny można znaleźć tylko u nielicznych psychopatów, choć, na bogów, oni właśnie często mają aż nadto wiele władzy.

Chakravalin mówi równie cicho:

- Moja żona, Adriel, uznałaby za znamienne, że stale używamy tu rodzaju męskiego i że na tym mostku - ba, w całej Grupie Bojowej - załogę stanowią wyłącznie mężczyźni. Może nasz gatunek byłby mniej krwiożerczy, gdy byśmy słuchali rad niewiast. Powiem więcej: gdyby kobiety znalazły się w naszych strukturach władzy i, skoro już o tym mowa, także w siłach zbrojnych.

Antaka usiłuje zamaskować niepokój. Gładzi brodę, rozglądając się, czy ktoś nie podsłuchiwał tej rozmowy. Wygląda na to, że nikt z obecnych na mostku nie dostrzegł, jak niepokojące treści były tu poruszane. Diabli nadali! Trzeba było zabrać Chakravalina do kajuty, wtedy wszystko działałoby się na osobności, bezpiecznie. Lepiej stanowczo i szybko zamknąć temat.

- Ekscelencjo, w każdej jednostce bojowej stwierdzi pan, że znaczna większość żołnierzy, jak ja, nie kocha wojny. Walczymy, by bronić siebie, swego honoru i tych, których kochamy. Szczególnie wspomnianych przez pana kobiet. Za pozwoleniem, nic nie byłoby mniej honorowe niż narażenie ich na jeszcze większe ryzyko. Taki jest nasz męski obowiązek i godzimy się na to. Jeszcze raz proszę o wybaczenie: tak jak ty, Panie, pogodziłeś się ze swymi obowiązkami i stawiałeś czoło swemu ojcu w walce. To był czyn chwalebny. Dzięki niemu mamy teraz większą szansę na pokój niż całe poprzednie pokolenie. Trzy mamy się

tej nadziei. Teraz jednak, Panie, obawiam się, że musimy zakończyć naszą dyskusję. Lada chwila bę dziemy musieli przygotować się do wejścia na orbitę.

Chakralin potakuje i siada wygodniej w fotelu przeciwnociężeniowym. Rozlegają się syreny ostrzegawcze. Komunikat uprzedza o zmianie ciężenia. Okręt przyspiesza, zmieniając wektor, po którym się porusza. Na ekranie widać, jak pędzą nad wielkim kołem planety Leith, mknąc ku jasnej nici horyzontu, ale nigdy jej nie osiągając. Srebrna igielka odbija blask Słońca, pęcznieje, aż pokazuje się zgrabna sylwetka szybkiego okrętu Daya-nandy. Jednostka Ambasadora rozbłyskuje na moment, kiedy pola siłowe zbliżają oba okręty na orbicie przed dokowaniem. Z „Garudy” wysuwa się pępowina. Rozlegają się spokojne, wyraźne komunikaty - pokładowa rutyna.

Potem Dayananda wchodzi na okręt flagowy i Chakra-valin obejmuje go w braterskim uścisku.

- Dzięki bogom za twój bezpieczny powrót.

- Ekscelencjo, ciebie też dobrze zobaczyć. Obawiam się, Chakralinie, że mamy wiele pracy i bardzo mało czasu. Czy nowe uzbrojenie zostało już zainstalowane?

Odpowiedź nadchodzi niemal natychmiast:

- Urządzenia są właśnie montowane na promiennikach naszych okrętów, panie - melduje Główny Artyle-rzysta. - Testy wstępne dały pozytywne wyniki. Główny Inżynier Sraddhadeva przygotował już grafik strzelań próbnych, poczynając od zakończenia pobierania paliwa.

- Możemy nie mieć czasu - odzywa się Dayananda. Luksusową kabinę Dyrektora wyposażono w sprzęt

nagrywający, by służyła jako tymczasowa sala konferencyjna. Steward nalewa parującą herbatę i wychodzi.

66

POWIEŚĆ

- Naradę wojenną zwołano dzisiejszego dnia, o godzi nie i tak dalej... - mruczy Antaka do urzędników rejestrujących, które automatycznie uzupełnią datą zapisu. - Jego Ekscelencja Najwyższy Władca Chakralin Cha-kravatin, obecny na sali, poprosił mnie o przewodniczenie obradom. Ambasadorze Dayanando, chyba najszybciej przejdziemy do rzeczy, jeśli przedstawi pan ocenę sytuacji po spotkaniu z Kontrolerem Khurddem.

- Dyrektor Chakralin stał się popularną i barwną postacią wśród naszych sił zbrojnych w konsekwencji dramatycznych wydarzeń, jakie doprowadziły do objęcia przezeń władzy, co bez wątpienia udało się już ustalić agentom i szpiegom Khurdda. - Dayananda nie wdaje się w formalne wstępy. - W związku z tym, bezwstydnie nieposkromione ambicje Kontrolera muszą w tej chwili popychać go ku zamachowi stanu.

Dayananda uśmiecha się leciutko; to raczej ulotny, chłodny grymas.

- Wynikają z tego ponure konsekwencje. Khurdd mu siał tymczasowo odwrócić uwagę od problemu eksterminacji rywali w Centrum i wycofać stamtąd siły, żeby skoncentrować się na zlikwidowaniu Najwyższego Władcy.

- Słusznie. - Antaka gryzmoli nieuważnie na ekranie rejestracyjnym, choć jego umysł jest równie skupiony na swoich zadaniach, co system komputerowy okrętu, przeobrażający jego mazanie w wykresy, wektory, grafiki przechwytywania. - Khurdd może i jest megalomanem, ale bynajmniej nie idiotą. Nie będzie wiązał wojsk i okrętów w ilościach niezbędnych do spopielenia planety, jeśli w ten sposób utraci swą przewagę nad siłami lojalnymi wobec nas. Zbyt łatwo znalazłby się wtedy w pułapce po między dwoma wrogami.

- Też tak sądzę - potakuje Dayananda. - Jeśli zdoła najpierw nas zniszczyć czy zdziętkować, nie będzie już miał najmniejszych problemów z likwidacją wrogów w Centrum. Jeśli zaś teraz uderzy na Gaunilo, odsłoni się na nasz atak.

- Zbyt optymistycznie patrzycie na sytuację - przerywa szorstko Chakralin. Przywołuje z

komputera ra port o rozmieszczeniu sił Imperium w Soczewce Galaktyki. Nad stołem pojawia się obrotowy obraz Galaktyki, przecinany liniami, usiany bryłami o kolorach wyjaśnionych w legendzie. - Khurdd ma ogromne rezerwy, po części osobiście mu wierne, a do tego tych, którzy otrzymują informacje wyłącznie od niego. Nie wszyscy z nich rozumieją, że stali się współuczestnikami zdrady i buntu. Wśród tych, którzy mają tę świadomość, część z radością wykorzysta okazję do zdobycia sławy, stanowisk i majątków. Są tam wilki, Admirale, mimo wszystkich pańskich słów o honorze. Antaka z lekkim rumieńcem otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale jednak milczy. Chakravalin po chwili mówi dalej:

- Ważniejsze jest to, iż Khurdd nie wie, że mamy za miar użyć przeciwko niemu uzbrojenia rodem ze Starego Imperium. Na pewno nie uzna Gwardii za realne zagrożenie militarne. Potraktuje nasz przyłot jako czysto polityczne zagranie. Nie musi wcale rezygnować z masakr na wielką skalę.

Instalacje oczyszczania powietrza cichutko szumią w ścianach.

- Na koniec, wiemy, że Khurdd jest rozgoryczony. Możliwe, że jest megalomanem. To szakał dowodzący sforą wilków. Mój ojciec powinien był odebrać mu dowodzenie całe lata temu. Jeśli zda sobie sprawę, że niechybnie przepadnie, może w odwecie rozkazać rozpoczęcie ogólnej rzezi.

„Garuda” pruje bezkształtny mrok nadprzestrzeni jak klinga przecinająca gęsty olej. Wraz z nim przez pół Galaktyki pędzi reszta Grupy Bojowej, rozwijając niewiarygodną wielokrotność prędkości światła. Na kadłubachokrętów, wbarbetachuzbrojenia, artylerzyści robią ostatnie poprawki przy niewypróbowanych jeszcze promiennikach, tęsknie wspominając znajomy oręż. W salonie Chakravalina obraz Galaktyki wiruje powoli w pustce, jak koło ruletki zbrodni.

hipersen

Stwierdziłeś, że świat, w którym przyszło ci żyć, to mit. Proszę bardzo. Jeśli tak, to spójrz nań z wysokości, z miejsca, które obecnie zajmujesz, i powiedz, co widzisz.

Widzę... Ależ widzę... Planszę. Igra na niej sto miliardów roziskrzonych światła.

Czym są te światła? Czy to gwiazdy?

Nie. Są cenniejsze od gwiazd. To dusze. To żywe istoty. To moi ludzie.

Grasz nimi, jakby byli figurami w szachach?

Szachy... Więć mój król jest zagrożony.

Królowie są zawsze zagrożeni. Taką pełnią rolę. A co z królową, twą najpotężniejszą figurą? W jakim jest stanie?

Moja królowa... Widzę, że wisielczy humor cię nie opuszcza. Płeć nie przekłada się bezpośrednio w tym odwzorowaniu rzeczywistości. Król, królowa, skoczki, pionki - wszystkie mogą być mężczyznami lub kobietami zależnie od wymagań Gry. Cóż, zatem moja królowa jest...

Milczysz. Lustro jednak nigdy nie zdoła odbić własnego obrazu. Zadajmy zatem inne pytanie. A co z Gońcem? Znasz jego imię, nie ma w nim nic ze służby. Brutalnością dorównuje pamiętnemu ojcu twojego króla.

Goniec... Raczej pająk. Siedzi w Centrum, w sercu Galaktyki. Flota Dyrektoriatu Imperium pod jego dowództwem rozciągnęła się między gwiazdami jak delikatna sieć. Ugrzęźli w niej wojownicy ludów Centrum: Gaunilo, Anani, Kieł, Ghatoos, Blucher, Menai, wszystkie te dumne królestwa zostały objęte siecią mojego Gońca, mojego pająka - Kontrolera Khurdda. *Rozmawiałeś z nim ostatnio, Ambasadorze. Opowiedz nam o nim. Opowiedz wszystko, co wiesz o tym żołnierzu, który stoi na drodze do realizacji planów twojego króla.*

Jest moim pionkiem i nie moim. Gram przeciwko samemu sobie. Jeśli wygram, przegram. Przegrywając, wygram.

Jak zwykle. Taki już jest twój los. Ukaz nam tego człowieka.

Znajduje się na okręcie flagowym swojej Floty. W dłoni trzyma szklanekę mocnego napitku. Khurdd jest przesiąknięty goryczą, nie bez powodu. Przez jeden z moich... Wskutek kaprysu Natury urodził się bez nóg.

Czyż genetyczni magowie Tiresias nie zdołaliby naprawić tego błędu? Czyż nie można by wyhodować mu nowych nóg i przeszczepić ich na jego ciało?

Ha, na tym właśnie polega piękno jego gorzkiej mizantropii. Naród Shirampuru, jak wszystkie prócz jednego ludy Galaktyki, wzdryga się z odrazą na myśl o osiągnięciach naukowców z Tiresias. „Nie będziesz ingerował w ludzkie DNA”. A więc siedzi, beznogi, stępując alkoholem swój genialny umysł stratega, mistrza w tej zabójczej profesji, która pozwalała mu w majestacie prawa wywierać krwawą zemstę na ludzkości en masse.

Wiemy o nim, ale nie dostrzegamy go wyraźnie. Pokaż nam. Pragniemy go ujrzeć.

Siedzi sztywno na wyściełanej pławie magnetycznej, która unosi go do wzrostu dorosłego mężczyzny, zastępując nogi. W mundurze Admirala Floty wygląda jak posępny, czarny so-

67

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■■■■■■

kół. Alkohol płonie w jego gardle. Khurdd pała nienawiścią do tego dzieciaka, który pojawił się znikąd, by rzucać mu kłody pod nogi. Gwiazdy Rdzenia płoną jak wysadzone klejnotami piekło na ekranie, który zajmuje pół ściany w jego centrum dowodzenia. Smutna Góro, w tej plejadzie światel kryje się wasza wielka Osobliwość, tajna siedziba Kleth, miejsce, w którym przestrzeń i czas zapadły się w mrok.

Świetnie o tym wiemy. Wydaje się, że Khurdd pragnie tego, czego posiadanie nie jest pisane żadnemu spośród ludzi czy Kleth.

Dręczy go potworny głód. Khurdd dostaje wiadomość od szefa sztabu. Z Orissy meldują, że nowy Dyrektor odleciał ze Shirampuru, zapowiadając, że chce zmusić Kontrolera do zrzeczenia się stanowiska. Grupa Operacyjna przybędzie tu w ciągu paru tygodni.

Zastanawiająca wiadomość, doprawdy. Po co Chakravalin miałby wysyłać skromną flotyllę? To prawda, większość Floty znajduje się wewnątrz Rdzenia, pod kontrolą Khurdda, ale Najwyższy Dyrektor ma do swej dyspozycji potężne siły pozostawione do obrony samego Imperium. Może pozbawienie ochrony centralnych obszarów Imperium nie byłoby zbyt popularnym posunięciem, ale tylko szalenie nie zrobiłby tak w podobnie dramatycznych okolicznościach.

Wydaje się, że wręcz mówisz głosem tego człowieka! To znaczące osiągnięcie.

A czemu nie? Khurdd jest moim stworzeniem, tak jak i ty. Duma o synu człowieka, któremu służył. Bez wątplenia dzięki starannej tresurze, jakiej poddawał go Jagannatha, chłopiec wyrósł na moralnie wątłego. I ten „ssipalec” spodziewa się, że dostanie władzę nad Flotą tylko dlatego, że zjawi się tu osobiście? Nie wydaje się to zbyt prawdopodobne, ale ten chłopiec to ucieleśnienie naiwności.

Khurdd rozmawia ze swym zastępcą, wiceadmiralem Floty, zawieszając plany zaatakowania Gaunilo niszczycielami planet. Rozkazuje, by sformowano małą grupę operacyjną, na której czele stanie, by samemu uporać się z Chakravalinem.

Uśmiecha się. Kontroler Khurdd rzadko się cieszy, Smutna Góro, ale teraz widzę na jego twarzy prawdziwe szczęście. Sprawy zbliżają się do zadowalającego rozstrzygnięcia.

Pozbędzie się tego dziecka, które uzurpuje sobie tron Imperatora. Zmiecie życie z kilku światów, by dać nauczkę wszystkim, którzy mogliby zechcieć wejść mu w drogę. Będzie Imperatorem. Będzie Imperatorem.

Gwiazdy widoczne na monitorze świecą na jego chwałę.

To liryka, Dayanando. Czyżbyś śpiewał nam epos?

Mit, epos, gra, zawody pełne nieuczciwych zagrań.

Zakończ je, Ambasadorze. Czekałszy na tę chwilę piętnaście miliardów lat albo i więcej.

Zakończę. O tak, zakończę. Dośpiewam wszystkie światy do ich ostatecznego zakończenia i odpocznę. W końcu znajdę sen.

TERAZ

Jak się okazało, rozmowa z Merle szła bardzo gładko. Dzięki niej, przynajmniej. Mówiąc szczerze, z Merle praktycznie nie musiałem się odzywać. Nie to, żeby monopolizowała rozmowę jak Celia - po prostu wszystko bez wysiłku wskakiwało na swoje miejsce.

- No cześć - pochyliła się nad MG. Złożyłem dach w na dziei, że deszcz da sobie spokój. I się nie zawiodłem. - Wchodzimy do środka z resztą dziewczyn czy przejedzie my się gdzieś?

- Siedem dziewcząt z „Albatrosa”... - kryształek zaczął się rozkręcać.

Jedziemy - wydusiłem, usiłując poradzić sobie ze zwykłą, nieskomplikowaną angielszczyzną. Nie było tak strasznie, jak zazwyczaj, żadnych „Eechh” - przynajmniej póki co, bo tym razem miałem nieożywionego wroga, którego znałem i mogłem nienawidzić w najlepszym. Siedział mi w uchu.

- Ja zamówię - zaoferowała się Merle. - Hamburger i frytki?

- I cola. Dzięki.

Była z powrotem w mgnieniu oka. Podjechaliśmy gdzieś, skąd mieliśmy widok na ocean, i oddałem się przeżuwaniu, półprzytomny ze szczęścia.

- Dayton... To taki rodzaj motocykla, nie?

- Tak naprawdę to nazywam się właściwie po takim miasteczku na Florydzie. Daytona Beach. Moi starzy po jechali tam na wakacje z Przylądka Canaveral, kiedy mnie... eee, kiedy oni... A ty?

- „Merle” to „Merlin” dla dziewczyn.

- Imię „Merle” pochodzi od łacińskiego słowa oznacza jącego „szpak”.

- Wybacz, chwileczka przerwy.

TWARZĄ W TWARZ wciąż działał, choć pecet stał w domu: zdalnie podłączył się do sieci komórkowej Telecom. Z moim szczęściem mógłby na zmianę serwować mi grepsy wzorem Steve'a Martina i zamówienia na taksówki z lokalnej korporacji. Dużo lepiej walczyć na solo, zanim sprawy nie wymkną się spod kontroli. Pochyliłem się aż pod kierownicę, żeby stłumić głos.

- Mądrała pieprzony. TWARZĄ W TWARZ off. Dobrze, że Tom nauczył mnie, jak wyjść z programu.

Zarumieniony wróciłem do mojej pięknej partnerki.

- Hmm. Magiczna Merle? Całą twoją rodzinę kręcą te sprawy?

- Jakie sprawy?

- No, wiesz, New Age. Celia mówiła, że kryształy to twoja pasja.

Merle rozpromieniła się entuzjastycznie i zapuściła dłoń w dekolt, aż wydostała spory kawał kwarcu na łańcuszku. Nawet ładnie błyszczał w popołudniowym słońcu.

- Używam go, żeby rozbudzić moją piramidę energii Kundalini — wyjaśniła.

- Bajer! - Zastanawiałem się, co powiedziałby Tom, gdyby to słyszał. - A automatyczny channelling? Jak MAFU czy inni tacy?

MAFU był chyba starożytnym Mistrzem, czy jakoś tak, który mówił ustami bogatej Amerykanki. Parę razy widziałem to w telewizji.

- Mój ojciec jest medium. - Merle była zupełnie poważna. - Tak jak mój najstarszy brat, zanim umarł.

Wstrząśnięty i skruszony przestałem jej docinać:

- Przepraszam, naprawdę nie chciałem...

- Nie ma sprawy. Pooh-Bah był naprawdę słodki. W zeszłym roku zmarł na AIDS.

Boże drogi. Są rzeczy, z którymi sobie naprawdę nie radzę. W związku z tym mój mózg stanął w poprzek i zanim się zorientowałem, zadałem pytanie z zupełnie innej beczki:

- Pooh-Bah?

- No przecież wiesz, z operetki „Mikado” Gilberta i Sullivana. PAN Najwyższy od Wszystkiego Innego. Moje imię też ma pewien związek z muzyką. Mój pierwszy ojciec

nazwał mnie Pearl.

- Chwileczkę: masz paru ojców?

- Mój prawdziwy tata nazywał się Orson. Biejący to Cat-Weazel. Kojarzysz? Był taki magik z serialu w tele wizji. Orson autentycznie szalał za Janis Joplin...

- Za kim?

Chyba nie powinienem był wyłączać TWARZĄ W TWARZ. Wszystkie te nawiązania do postaci z pop-

68

POWIEŚĆ

kultury odbijały mi się od mózgu i śmigały prosto za okno.

- Taka pradawna rockmenka, chyba z lat sześćdziesiątych. No więc, na nią wszyscy mówili „Pearl”. Tak też na zwał mnie Orson, ale kiedy Cat-Weazel wprowadził się do nas, takie imię mu się nie spodobało i zmienił je na „Merle”, na cześć Merle Oberon, dawnej gwiazdy filmowej. Chyba też z lat sześćdziesiątych. A „Oberon” także jest magiczne - to z Szekspira.

Wyglądasz na oszołomia nego.

- Bo jestem prawie ogłuszony. Wygląda jednak na to, że trafiłem na właściwą osobę.

Słyszałaś kiedyś o Twarzy na Marsie?

Zmarszczyła brwi. Naprawdę była przepiękną dziewczyną, siedziała obok mnie w wózku, który robił na ludziach niezmiernie wrażenie, i naprawdę nie na ten temat chciałbym z nią rozmawiać, ale przynajmniej nie byłem ograniczony do „Eechch”, a poza tym jakbym z kimś o tym nie pogadał, to chyba by mi odbiło.

- Tata ma chyba o niej książkę. Tam są też jakieś pira midy, nie?

Westchnąłem z ulgą, tak od serca.

- Tak jest! Więc to prawda!

- Opowiadaj.

Jej oczy lśniły jak piękne kryształy.

- Ha, mogę zrobić coś lepszego. - Wydłubałem z ucha przyrządek łącznościowy NASA i wytarłem go do czysta. - To jak seans mediumiczny, tylko z komputerem. Włóż go sobie do ucha.

Zaskoczona, ale dzielna, zrobiła, o co prosiłem. Wypowiedziałem komendy aktywujące system. Poderwało ją, kiedy TWARZĄ W TWARZ odezwał się, a potem uśmiechnęła się szeroko, słysząc melodyjkę z „Bliskich spotkań”.

Spojrzała w bok, jak to robią ludzie, kiedy coś ich rozprasza.

- Tak - szepnęła. Potem zamknęła oczy i przygryzła wargę. Zaraz jednak otworzyła oczy szeroko i zapatrzyła się na mnie. - Nie - powiedziała, jakby zadziwiona, po kręciła głową, a jej włosy zapłonęły w promieniach słońca. Wydobyła kryształek z ucha, oddała mi go, po czym delikatnie sięgnęła, przyciągnęła moją głowę i pocałowała mnie leciutko w usta.

- Dziękuję, Dayton. To był cudowny dar.

A ja znów mogłem tylko powiedzieć: „Eechch”.

- Chodź do nas, do domu - rzuciła. - Omgadamy sprawę z Weazelem. Kiedyś już coś wspominał o kryształach wych czaszkach, ale te chyba nie były z Marsa. Jakieś ruiny Majów, coś takiego. Albo może Atlantyda. I załapie my się na coś do jedzenia.

- Starzy nie będą narzekać?

- A skąd. Tam jest zawsze pełno ludzi. Istny dom wariatów.

Tom pewnie nie powstrzymałby się od komentarza.

U drzwi powitał nas wysoki, chudy facet z obłądem w oczach i ręcznikiem na ramionach.

Łysiał, ale był cholernie przystojny, i wyglądało na to, że właśnie wzmacniał kolor tego, co mu tam jeszcze zostało z włosów.

- Nie podam ci ręki, Dayton - zamachał dłońmi w chi rurgicznych rękawiczkach - ale bardzo miło cię poznać, chłopcze. Podoba mi się twoja aura.

komputer dostaje histerii i sklamrzy jak głupi o kody dostępu?

Merle nie słuchała tego, co miałem do powiedzenia, tylko popatrywała raz na foto z okładki, raz na moją twarz, aż zadygotała:

- Hej, to przypomina ciebie.

- Bez żartów. Żaden z moich przodków nie pochodził z Marsa. Jesteśmy lojalnymi Amerykanami, a Mars to Czerwona Planeta.

- Jeść zupę - nakazała pani Cato. - Witaj, Dayton. Nie przedstawiono nas sobie. Siadaj obok Megalith, zaraz ci znajdę talerz.

- To wyszło przed lądowaniami misji Ares - przypo mniała mi szeptem Merle. - Pewnie to te kryształowe czaszki tak namieszały. Naprawdę chciałabym je zoba czyć.

- Megalith? - znowu nic nie rozumiałem.

- Wielkie, stojące głazy - z wiaderka rozlecił się znużony głos dziewczynki. - Stonehenge. Druidzi. Mnóstwo ta jemnic. Mów mi Meggy, jak wszyscy.

Podawała urękawiczoną dłoń.

- Miło cię poznać, Meggy.

Uścisk rękawiczki, szczególnie latem, to baaardzo dziwne doznanie. W tym momencie Merle zaświtał rewelacyjny pomysł - miała to wypisane na twarzy.

- No, co takiego?

Usiadła bliżej, tak że czułem ciepło jej ciała.

- Dayton, możemy zapytać komputer, gdzie są czaszki. Wiesz, że próbki skał z Księżyca rozesłano do badań w każdym kraju? Może podesłali do Australii jedną z cza szek.

Moje serce wierzgnęło z podniecenia.

- Byłaby w Canberze - zgadywałem. - Na Uniwersytecie Narodowym. W CSIRO. Tom by wiedział.

Tyle że jego nie mogłem zapytać - obdarłby mnie ze skóry i osolił za ujawnienie całej sprawy komukolwiek.

- Słuchaj, sorki, ale tak naprawdę nikomu nie możemy już o tym wspomnieć, bo wsadzą nas do pierdła na milion lat. Nawet mojemu staremu. To ściśle tajne - wychrypiałem jej do ucha.

Meggy ze wzgardą obserwowała naszą tajną pogawędkę ze swojej poduchy.

- Wetknij go sobie do ucha i zapytaj - odpowiedziała mi Merle z anielską cierpliwością.

Tak też zrobiłem. A on odpowiedział.

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty...

Akuszer z zawodowy muśmiechem odwraca się od monitora swojego terminala, rozświetlonego barwnymi słupkami: poziomy hormonów, parametry bioelektryczne, skany ultradźwiękowe. Cięża jest bardzo wczesna, ale wyniki już jednoznaczne.

- Doskonale wieści, Wasza Godność. Mogę jako pierw szy złożyć najserdeczniejsze gratulacje?

Adriel jest uszczęśliwiona, podekscytowana, ale na dobry nastrój kładzie się jednak jakiś cień.

Na Tiresias, gdzie żadnego mężczyzny nie dopuszczono by do tych najbardziej osobistych i uświęconych spraw kobiet, z ludzkich ciał już dawno zdjęto zwierzęce brzemię ciąży.

Embryony powinny dojrzewać w bezpiecznych, aseptycznych maszynowych łonach! Co za barbarzyństwo wracać do metody zarzuconej tysiąc lat temu przez wszystkie rozwinięte cywilizacje Starego Imperium. Choć cieszy się na myśl o tym, że nosi w sobie dziecko Chakravalina, to jednak Adriel musi walczyć ze szczątkową odrazą.

Dziękuję, doktorze. Czy jest jeszcze za wcześnie, by znać płeć dziecka? Brodaty położnik promienieje.

- To właśnie najwspanialsza wieść, Pani. Zostałaś obdarzona bliźniętami! Chłopcem i dziewczynką!

Adriel patrzy na niego bez wyrazu, całkowicie rozdarta. To cudowne! To straszne! Bliźnięta?

Tylko zwierzęta mają mnogie ciąży, no i Klonowani, ale ich produkuje się w grupach

zaprojektowanych do specjalnych zadań. Prawdziwi ludzie, naprawdę „osobne” osoby, powinni przychodzić na świat pojedynczo, każdy bezcenny, każdy specjalnie obdarzony. Tak jak ona sama. Czy ma stać się matką dla miotu?

Ajednak...

Nagle wybuchła radosnym śmiechem. Jej dzieci, oboje naraz, będą dorastać razem, towarzyszyć sobie, przyjaźnić się ze sobą - brat i siostra. Jakie dziwne słowa! Dzieci Chakravalina!

- Dziękuję, doktorze. To doprawdy cudowne wieści. W antyszambrze czekają dworki.

Aromaty czystości

wgryzają się w nozdrza Adriel. Z pobliskiego kojca dobiega łatwo rozpoznawalny odgłos gaworzenia niemowlęcia.

- Zaprowadź mnie do nor Kleth - poleca Adriel damie dworu.

Ta zamienia kilka słów ze strzegącym drzwi żołnierzem piechoty desantowej, który kłania się nisko i prowadzi je gmatwaną korytarzy Pałacu na otwartą przestrzeń, do okolonego balustradą atrium, które już przedtem widziała. Adriel krzywi się na samo wspomnienie. Nagą ziemię pokrywają rozrzucone grudy i kamienie.

- Odejdźcie - nakazuje świecie.

Wycofują się poza zasięg słuchu, ale wciąż dyskretnie obserwują swoją podopieczną. Adriel odzywa się cicho:

- Głosy Prawdy, pragnę z tobą porozmawiać. Ziemia faluje jak woda, pęka, syjąc mniejszymi

i większymi bryłkami. Jedna z nich trafia w kurtkę Adriel, ale ta nie reaguje. Wielki, ślepy stwór, który wyłonił się przed nią, porusza potężnymi pazurami.

- Witaj, więdmo z Tiresias. Cieszymy się z twoich od wiezdin. Witamy również twoich małych pasażerów.

- Potrafisz stwierdzić, czy jestem w ciąży? - pyta, za skoczona.

- Życie zawsze daje znać o sobie. - Woni mówi bezgło śnie, prosto do jej umysłu. - Nawet tak mało rozwinięte jak płód.

- Używasz medycznej, nie ludzkiej terminologii.

- Nie obrażaj się. Rozumiemy, że wolałabyś, żebyśmy nazywali twoich pasażerów „dziećmi” czy „niemowlęta mi”, ale jeszcze nimi nie są, i minie wiele miesięcy, nim takimi się staną. W tak wczesnym stadium to tylko po tencjalni ludzie. Ktoś, kto studiował biochemię na Tiresias, powinien chyba zdawać sobie z tego sprawę.

- Masz rację. - Zbita z tropu Adriel jest lekko zaniepo kojona. - Mimo wszystko fakt, że noszę te stworzonka w sobie, robi różnicę. Przynajmniej tak się wydaje.

- Spoglądasz w przyszłość, kochając to, czego jeszcze nie ma. Tak. To jest mądrość, w pewnym sensie. Przy chodzisz prosić, byśmy zapuścili się w przestrzeń, by przynieść ci wieści od odległego ukochanego.

Zmiana tematu jest zaskakująco gwałtowna i stuprocentowo logiczna.

- Tak, Głosy Prawdy. Myślę, że w waszej mocy jest...

- Jestem wam matką Smutna Góra - wtrąca się Kleth. - Głosy Prawdy jest wewnątrz Osobliwości, medytuje nad końcem wszechrzeczy.

- Ach. Przepraszam, jest nam bardzo trudno... Nas rozróżniać.

70

POWIEŚĆ

Czyżby ten stwór pokpiwał sobie z niej?

- To zrozumiałe. W ostatecznym rozrachunku nie ma żadnych różnic. Tak jak z ludźmi. Wszyscy jesteście Aspektami Snu.

Metafizyka Kleth jest w najlepszym wypadku nużąca. Zniecierpliwiona Adriel naciska:

- Czy macie możliwość nawiązania kontaktu z moim mężem? Dzielą nas tysiące parseków, a

technicy mówią mi, że łączność tachionowa jest zdecydowanie zbyt zawodna, by umożliwić nam kontakt głosowy. Możemy nadawać i odbierać tylko kodowane sygnały. Chciałabym móc powiedzieć Chakravalinowi o naszych dzieciach własnym głosem i usłyszeć jego odpowiedź.

Po niebie nad zagrodą przemykają chmury, przesłaniając blade słońce Shirampuru. Adriel tęskni za diamentowymi wierchami swojej rodzinnej planety. Jej ciało pragnie zapachów i dotyków niebezpiecznego lotu, rzeźkiego powietrza Tiresias. Kleth stoi bez ruchu, nieodgadniony umysł obcej istoty mógłby równie dobrze być właśnie pograżony w konwersacji z pobratymcami na drugim końcu wszechświata.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ogarnia ją wrażenie, że znajduje się na mostku kosmolotu „Garuda”. Gwałtownie wciąga powietrze, spłoszona zakrywa usta. To tylko złudzenie! Kleth w jakiś sposób zawładnęła jej umysłem. Oficerowie szybko przechodzą od konsoli do konsoli. Nikt jej nie widzi. Przed wielkim ekranem stoi mężczyzna w czarnym mundurze admirała. To Antaka -Adriel pamięta, jak składał jej życzenia i gratulacje w czasie uroczystości ślubnych. Odwraca się. Chakravalin i Dayananda siedzą w fotelach dowodzenia, pochyleni w oczekiwaniu.

Oficer stojący przy tablicy upstrzonej lampkami kontrolnymi odzywa się z napięciem w głosie:

- Mamy ich na maksymalnym zasięgu widoczności, panie. Z Gaunilo zbliża się flota.
- Jak duża?
- W tej chwili nie mamy pewności. Za kilka minut będziemy mogli dokładnie określić jej wielkość.

Adriel jak we śnie robi krok naprzód. Ten sen jednak jest całkowicie wyraźny. Rozchyła usta, by się odezwać, ale coś w jej głowie, głos w jej matki, mówi: „Czekaj”.

Milczy więc i czeka, zdjeta lękiem.

- Jeśli jest z nimi Khurdd... - zaczyna Chakravalin, napięty.
- Na pewno - przerywa mu Dayananda. - Musi wiecie, że przybyłeś z nami. Nie pozwoli, by wymknęła mu się taka szansa.

- No cóż, spróbujemy negocjować. Jeśli nie zechce, to niech go demony porwą do piekła.

Nawet w panującym na mostku półmroku Adriel widzi wściekłość na twarzy Chakravalina.

- Użyjemy broni entropicznej.

„Nie wolno ci!”, chce zawołać Adriel i jednocześnie „Tak, użyj jej, zabij zdrajcę, zrób, co musisz, żebyś wrócił do nas żywy i zdrowy!”. Te sprzeczne porwy jakby zderzają się w jej piersi, tłumiąc się nawzajem. To boli.

- Admirale, dokonaliśmy szacunkowej oceny sił wroga. Mają nad nami dwu- albo trzykrotną przewagę. Zbliżają się z maksymalną prędkością.

- Miałeś rację, panie - mruczy Antaka. - Zostawił większość sił, by utrzymać blokadę Centrum.

- Dayananda, czy reszta Floty podda się rozkazom Imperatora, jeśli zniszczymy Khurdda? - cicho pyta Chakravalin.

Jak sądzę, większość z nich nie zdaje sobie sprawy,

że są buntownikami. Khurdd zdołał przeciągnąć na swoją stronę wyższych oficerów. W takich sytuacjach historia daje dość jednoznaczne lekcje. Kiedy zabraknie Khurdda, będą się prześcigać w okazywaniu ci lojalności. Jeśli szybko wykonamy odpowiednie kroki, resztę paryzytów wymiecie Trybunał Wojenny.

- Panie, nadciągające okręty nadają do nas - odezwał się podoficer Łączności.
- Kodem tekstowym czy głosem?
- Głosem, panie. Wciąż dzieli nas trzysta parseków, ale radiota uważa, że algorytm redukcji szumów pora dążyć.
- Mam dać połączenie z tą świnią, Dyrektorze?

- Proszę.

Adriel obserwuje tę scenę skonsternowana. Chciała swymi wieściami ulżyć Chakravalinowi w opresji, a teraz musi uczestniczyć w wydarzeniach bez żadnej możliwości wpłynięcia na nie. Wyjątkowo frustrująca sytuacja. Mogłaby się rozplakać.

Dźwięczny, czarujący głos wypełnia mostek „Garudy” jak miód wyciekający ze słoja. Zniekształcony w transferze przez lata świetlne szumów kosmicznej pustki, ten porywający głos przywołuje w umyśle obraz promiennie-okiego, kruczowłosego boga z mitów i legend, może Ramy ze strzałą w prawej dłoni i łukiem w lewej. Adriel widziała zdrajcę na hologramach, niekompletne ciało unoszone na magnetycznej pławie. Ten głos zaprzecza rzeczywistości, każe słuchaczom wyobrażać sobie kroczącego dumnie władcę. „Nic dziwnego, że go kochają”, myśli wstrząśnięta.

- Rzecz jasna zdaje pan sobie sprawę - dźwięczą mio-dopłynne słowa - że nie mogę uznać pełnomocnictw, na jakie się pan powołuje. Nie otrzymałem żadnych wieści od Rady, pozostaje mi więc nieunikniony wniosek, że za mordował pan swego ojca, naszego Imperatora, i nielegalnie przejął władzę.

Dayananda spogląda na Chakravalina, który odpowiada skinieniem. Oficer mówi twardo, donośnie:

- Admirale Khurdd, tu ambasador Dayananda. Przy bywam do pana jako pełnomocny wysłannik Rady Shi rampuru i pańskiego Najwyższego Dyrektora, Chakra-valina Chakravalina z Rodu Vamany. Przedłożyłem za pieczętowane listy, nakazujące panu zdać dowództwo sił w Centrum Galaktyki na ręce Naczelnego Dyrektora. Odrzucił pan te pełnoprawne i obowiązujące polecenia. Oświadczam zatem, że zbuntował się pan przeciwko Na rodowi i osobie Najwyższego Dyrektora. Jeśli uprze się pan pozostać przy swoim szaleństwie, może się pan spo dziewać tylko egzekucji oraz niesławy dla własnej osoby i rodu.

Następuje chwila przerwy, kiedy obwody redundancji oczyszczają nadświatlne sygnały z kosmicznego szumu, pozostawiając tylko mowę. Gdy cudowny głos. Khurdda rozlega się ponownie, jest w nim ostry, okrutny ton — bóg karci swe zbuntowane stworzenia.

- Minął już czas na słowne gierki. Mówmy wprost. Mam ze sobą flotyllę trzykrotnie większą od waszej. Za sobą mam całe siły uderzeniowe Imperium. Jeśli nie pod kulisz ogona i nie umkniesz, kiedy jeszcze możesz, nędz ny uzurpatorze, obawiam się, że będę musiał cię rozdep tać.

Nikt się nie śmieje. Obcasem Khurdda są skoncentrowane siły nowego, dynamicznego Imperium, gotowe do rozpoczęcia rzezi.

Adriel nie może oderwać wzroku od Chakravalina. Z jego twarzy odpłynęła krew, wargi zacisnęły się niemal do białości, skóra ściągnęła się we wściekłą maskę. Dy-

71

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■■■■■■

rektor przez chwilę dygocze, bierze kilka niepewnych wdechów, mruga i znów jest spokojny, opanowany, całkowicie pod kontrolą. Jego głos mógłby zatrwożyć każdego osiłka:

- Milcz, mój panie. Niniejszym ogłaszam pana bun townikiem. Odbieram panu dowodzenie, stopień osiłągnięty w siłach Imperium i przynależne mu przywileje, jak też prawo do życia. Upoważniam wiernych mi oficerów Imperialnego Dyrektoriatu, by pana areszto wali i doprowadzili na mój Sąd Wojenny przed egzekucją. Każdy okręt, który mi się przeciwstawi, rów nież uważam za zbuntowany, a jego załogę spotka śmierć.

Chakravalin pochyla się w fotelu. Teraz on też przemawia jak okrutny, pozbawiony sumienia bóg.

- Skończyłem z tobą, Khurdd. Wycofaj się lub giń. Unosi dłoń i łączność z nadciągającą flotyllą zostaje

przerwana. Zapada cisza. Chakravalin wstaje, raczej niepewnie, by opuścić mostek. Widzi stojącą przed nim Adriel i z jego twarzy odpływają resztki krwi. Zadziwiony wyciąga dłoń,

która zdaje się przenikać jej ciało, i wypowiada jej imię.

- Chakravalin, mój najdroższy. - Adriel chciałaby paść mu w ramiona, ale jest tylko zjawą.

- Skąd ona się tu wzięła? To niemożliwe. Jest w Oris-sie...

- To Kleth - mówi Dayananda ze zdumiewającą prze nikliwością. - To ich dzieło.

Adriel przytakuje.

- Chakravalinie, nie będę odciągała cię od obowiązków. Masz przed sobą bitwę.

- Tak... Czy jesteś zdrowa? Powiadają, że w największych tarapatach może się pojawić duch, widmo...

- Nie jestem duchem, ukochany. Owszem, jestem zdrowa. Nawet więcej niż zdrowa. Mam dla ciebie wieści, Chakravalinie.

Dociera do niej, że śmieje się, zarazem szczęśliwa i przerażona.

- Doprawdy, cudowne wieści.

hipersen

Pamiętasz narodziny wszechrzeczy?

O dziwo, wydaje mi się, że tak.

Opowiedz nam, jak wyglądały.

Wszędzie jest ciemno, bez kształtów. Świat jest niepoznawalny zmysłami czy myślą, śni w pustce. Byt, Brahma, zamknięty sam w sobie, rozpostarł pustkę w potężne spektrum energii, rozpraszając mrok.

Gdzie leży źródło tego Bytu?

Brahma nie ma źródła poza sobą, jest wiekuisty, zawiera w sobie wszystkie możliwe stworzenia, miejsca i czasy.

Jakże ta istota rozwija kosmos?

Własną myślą tworzy Przestrzeń i wewnątrz niej składa swe nasienie - Czas. Owo ziarno zakwita złotym jajem, jasnym jak słońce, rozchylającym swe płatki z pępka owej Istoty niczym biały lotos.

W jaki sposób wszystko, co jest na tym świecie, może pochodzić z jednego jaja?

Złote jajo pęka na dwie części. Pomiędzy nimi rozpościera się i rozwija wszystko, co jest.

Czy Brahma wie o wszystkim, co się stanie, nim się stanie Czas?

Czas to plansza gry każdego stworzenia, gdzie wszystko, co w nim stworzone, musi się rozstrzygnąć.

Tak, Dayanando. Tak jest napisane. A teraz musisz dokończyć tę partię.

TERAZ

DAY, SŁYSZYSZ MNIE? TU MERLE, DAYTON. OCH, BOŻE, GDYBYM WIEDZIAŁA, ŻE DO TEGO DOJDZIE, NIGDY BYM Z TOBĄ NIE POJECHAŁA.

Co? Co? Merle? Matko, mam wrażenie, że nawiedził mnie duch. Duch Minionych Świąt.

Eee... a to skąd się wzięło? Karol Dickens, 1812-1870. Wyłącz się, cholera. TWARZĄ W

TWARZ off. Kurwa, nie działa. System nie chce się zamknąć. Utknąłem w ciężko

popieprzonym programie. A wszyscy myślą, że nie żyję albo co.

NIE BÓJ SIĘ, DAYTON. MUSIMY CIĘ PRZENIEŚĆ.

A czemu miałbym się martwić? Przenosiny? Jeśli trzeba, nosi mnie jak sto pięćdziesiąt.

Wyjazd do Canberry - żaden problem. Z maszyny dowiedziałem się nie tylko, gdzie w tej

chwili znajduje się ta piątka kryształowych czaszek, które przywieziono na Ziemię

(„zwrócono”, jak to ciekawie ujęła): jak się okazało, po jednej przekazano do Gwiezdnego

Miasteczka Rosjan, w Stanach do Laboratoriów Państwowych imienia Lawren-ce'a

Livermore'a w Kalifornii i Laboratorium Badań Planetarnych na Uniwersytecie Cornell, do

Narodowego Muzeum Nauki w Tokio i Australijskiej Narodowej Fundacji Badawczej w

Canberze. Uzyskałem też adres budynku ANFB, piętro, na którym znajdowało się

niedostępne dla osób postronnych laboratorium, w którym zabawiali się z czaszką, nazwiska naukowców i biurokratów kierujących projektem w Australii oraz wszystkie hasła niezbędne,

by obejść zabezpieczenia, choć gdybym spróbował użyć tych haseł, i tak wzbudziłbym podejrzenia — ani ja, ani Merle nie wyglądaliśmy na noblistów. Nawet z daleka. Mimo to po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że bycie bratem To-ma, a przez to możliwość wykradania Strasznie Tajnych Sekretów, miało spore plusy. Porażająco spore plusy.

- Pieniądzy na benzynę mi wystarczy - powiedziałem Merle z rana, siedząc pod jej domem w samochodzie z silnikiem mruczącym na luzie. — Weź w torbę jakieś ciepłe ciuchy, coś do żarcia na drogę i za trzy godziny jesteśmy na miejscu.

- Cztery.

- W tym wózku?

- Wolałabym dożyć do przyjazdu. Co powiesz moim starym?

- Hmm... Najchętniej nic. Po prostu dać dyla i cześć.

- Nie mogę. Martwiliby się. Poczekaj chwilę. Jakbym usłyszał przepis na katastrofę, ale po dziesięciu

minutach wyszła z domu z zapakowaną torbą, siatką jabłek i sześcioma puszkami coli oraz pryzmą książeczek

o kryształach. Z drzwi machał jej stuknięty ojciec.

- Zadzwońcie, jak dojedziecie! Jedź ostrożnie, Dayton.

- Oczywiście, proszę pana! - odkrzyknąłem. Pan Cato zatoczył się lekko, jakby uderzony, i usłyszałem, jak mamrocze do kogoś w przedpokoju: - Pana? Pana? Co to się teraz porobiło z młodzieżą!

Świeciło słońce, więc jechałem z opuszczonym dachem

i radiem rozkręconym na pełen regulator. Najlepszy po ranek mojego życia. Merle śpiewała z radiem, przekrzykując silnik i wiatr. Żadna z zasuwających jak rakiety cystern nie przerobiła nas na klej, nawet gliny miały dzień dobroci dla zwierząt. Po chwili, pogryzając jabłko, Merle zaczęła czytać na głos kawałki z tych książek o kryształach. Normalne to to nie było.

- W ciągu całej historii Ziemi planetę tę zamieszkiwa ły liczne, wyjątkowo wysoko rozwinięte cywilizacje. Były to społeczeństwa istot na bardzo wysokim szczeblu du chowego rozwoju, dysponujących zaawansowaną wiedzą naukową.

72

POWIEŚĆ

- Taak? Rzuć się jabłkiem. A czemu teraz po tych go ściach nie ma nawet śladu?

- A Twarz na Marsie? Albo kryształowe czaszki?

- Dobra, ale ci autorzy o tym nie wiedzieli. Kto to w ogóle napisał?

- Dr Randall N. Baer i Vicki V. Baer.

- Doktor? A czego?

- Eee... Naturopatii.

- Taak. No, na Uniwersytecie Sydney chyba tego dy plomu nie dostał.

- Chcesz słuchać dalej? Super. Nie licząc stosunkowo dobrze znanych cywilizacji Atlantów, Egipcjan, Majów i Lemurian, byli wśród nich też Cyklopi (Elowie), Orak-sjanie, Posejdończycy, anty-Atlanci, Uramoranie i wiele innych ludów. Wiele z tych kultur używało kryształów kwarcu jako kluczy, narzędzi potężnych technologii...

- Anty-Atlanci. Rewelacja. A ci pod koniec... Urra-ma-karony?

- Uramoranie.

- A co ja powiedziałem?

- Dayton, masz spaczony, cyniczny umysł. Jeśli nie bę dziesz uważał, odrodzisz się jako ropucha trzciniowa.

Zatrzymaliśmy się w Yass na kawę i szybką pizzę, a potem Merle wskoczyła za kółko.

- Hmm... Wybacz pytanie, ale masz prawo jazdy?

- Jeśli ci się nie podoba, jak prowadzę, to śmiało, idź piechotą.

- Nie, nie, tylko legalista ze mnie wyłazi. Tom nie był by szczęśliwy, gdyby jakiś matol

wjechał mu w zderzak...

- Spokojnie, mam stuprocentowo porządną dowód toż samości i uprawnień do kierowania pojazdem mecha nicznym, opatrzony kolorowym zdjęciem. Poczytaj mi jeszcze coś o tych kryształach. Powinniśmy wiedzieć, w co się pakujemy.

Chciało mi się czytać te pierdoły, jak psu orać, więc podkręciłem dźwięk w radiu i zacząłem własne wokalizy. Merle ściszyła radio. Westchnąłem.

- No dobra. Rzućmy okiem na „Przewodnik po kryszta łach od A do Z”, strona pierwsza. Możesz naenergetyzo-wać całe ciało i zrównoważyć jego energię. Co to jest, re klama muesli? Nienawidzę muesli.

Przejechaliśmy obok sosnowego młodnika. Słońce odbijało się od tafli rzeki, a może jeziora?

- Wiem, o co jej chodzi - odezwała się Merle. - Kunda-łini, siedem czakr.

- Aha, no to okej. Jedziemy dalej. Możesz rozwinąć wiele zdolności parapsychicznych, w tym jasnowidzenie, jasnosłyszenie i podróże w planie astralnym i mentalnym. Możesz użyć kryształów, by zmienić wiele niepożą danych stron twego życia i stworzyć nowe sposobności. Jesteś zainteresowana którąś z tych możliwości?

- Jasne - zęby Merle lśniły jak rozbliski na wodzie. Westchnąłem tak trochę bardziej agresywnie i osunąłem się w fotelu.

- Możesz poznać przewodników i istoty z innych wy miarów, odkryć zdolności do postrzegania pozazmysłowego... Jezu, Merle, tak totalnej, stuprocentowej ścierny jeszcze w życiu nie widziałem! Jak ktokolwiek może w to...

Zabrakło mi słów, więc umilkłem. Przerzuciłem kartki, szukając ostatniej strony.

- Jeśli te cholerne książki tak się zaczynają, to na czym kończą?

To, co tam znalazłem, na chwilę mnie zatkało. Potem język uwiązał mi w gardle, tak jakbym był już dożywotnio skazany na „eechch”. Ci ludzie mieli niewiarygodny tupet. Ryknąłem niepowstrzymanym śmiechem.

- Co jest?

- Chcesz wiedzieć, jak się kończy ten poradnik samo pomocy za dziesięć dolarów?

- Przecież czekam. O, patrz, chyba zbliżamy się do cy wilizacji!

- To pewnie anty-Atlanci - mruknąłem. - Oto, co ta pani pisze na koniec swych wywodów o kryształach. Bar dzo proste. Sam tworzysz swój własny wszechświat.

- Aha. To chyba oczywiste? - zapytała beztrasko. Czemuś zaczęło mi świtać, że nasz związek ma przed

sobą naprawdę sporą przeszkodę.

Zaparkowałem MG na miejscu dla gości przed siedzibą Fundacji dokładnie w porze lunchu. Zgodnie z zapowiedzią Toma TWARZĄ W TWARZ po paru piśnięciach połączył się ze mną przez sieć komórkową, głośno i wyraźnie. Ktoś zabuli piękny rachunek, ale na szczęście nie ja.

-Artefakt z Marsa, oznaczenie CYD-1996E, jest obecnie przechowywany w Laboratorium Fizycznym 4, w korytarzu na trzecim piętrze. Najszybciej dotrze się do tego miejsca, używając windy po lewej od głównego wejścia.

- Jesteś super - pochwaliłem system, podnosząc dach MG i zapinając go na wypadek, gdyby mimo wszystko za częło padać.

- Weźmy po parę książek - zaproponowała Merle. -

W takich miejscach nikt nie zwraca uwagi na studentów.

Udając studentów piątego roku, którzy gdzieś zagubili resztę kolegów i przewodników wycieczki, zdołaliśmy obejść recepcję, nie budząc niczyjego zainteresowania. Brzdęknięły drzwi windy. Wraz z nami do środka zapakował się znudzony laborant w kitlu, który kiedyś mógł być biały. Wysiedliśmy na trzecim, zgodnie z instrukcjami kryształka skęciliśmy w prawo i puściliśmy się biegiem w stronę laboratorium. Tabliczki na drzwiach ostrzegały przed radioaktywnością, narażeniem na promienie laserowe, zabójczymi poziomami pól

elektromagnetycznych i zbliżającą się imprezą dla pracowników Wydziału. Dotykałem drzwi tuż przed tymi, które według naszego przewodnika strzegły dostępu do marsjańskiej czaszki, gdy ktoś zawołał szorstko:

- Hej, młody, tam nie wolno wchodzić!

Merle zgrzytnęła zębami i zrobiła paskudną minę, po czym z promiennym uśmiechem obróciła się do faceta.

- Co proszę?

- Jesteście na złym piętrze, dzieciaki. - Typas wyszedł ze swojego biura. - Ten obszar jest zamknięty dla gości. Nie umiecie czytać... A, cześć, synu. Dayton, prawda?

Serce załomotało mi jak głupie, ale zaraz się uspokoiło. W tej chwili, jak nigdy, teksty w stylu „eechch” były zdecydowanie niepożądane. Tyle, że do kontaktów z ważnymi typami już się w życiu zdążyłem przyzwyczaić - luzik. Tylko dziewczyny odbierały mi mowę. Patrz facetowi w oczy. Jak on się, cholera, nazywał? Ze dwa lata temu byliśmy razem na kolacji w bazie, jeszcze w Terytorium Północnym...

- Witam, doktorze Milewski. Przyjechaliśmy z tatą i Tomem. To moja kuzynka, Merle, pierwszy raz w życiu w Canberze.

- Nieźle przeżycie, co? - basował fizyk. - Słyszałem, że Tom paskudnie złamał sobie nogę. Szybko się wykuro-wał.

- Przesada - zełgałem nerwowo. - Udawał, żeby pielęgniarki się wokół niego kręciły.

- No tak. Więc wiesz, gdzie idziesz? Nie zgubicie się?

- W życiu. Wielkie dzięki, panie Milewski. Przekażę ojcu pozdrowienia.

73

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■

- Mamie i Tomowi też - rzucił i znikł z powrotem w swoim biurze.

Kiedy już dotarliśmy do właściwych drzwi, zderzyliśmy się z elektronicznym zamkiem. Żadnych kluczy, tylko klawiaturka i wyświetlacz.

- Nie bój nic - powiedziałem Merle, która nerwowo łyła pała ślepiami na prawo i lewo. - Ziomal jest z nami. TWAEZĄ W TWAEZ, znasz magiczne słowo?

- Każdy je zna - usłyszałem. - Magiczne hasło to „Kur wamać!”.

- Ejże! - szarpnąłem się, choć Merle nie słyszała, co mówił TWARZĄ W TWARZ. - Litości. Załatw nam wejście do tego pokoju, i to już.

Rozległa się szybka seria piśnieć. - Kod zamka to 35A72.

Ha. Sygnatura tej głównej kliszy NASA ze zdjęciem Twarzy.

- No jasne. Naukowcy nie mają za grosz wyobraźni. Wbiłem kod i drzwi rozsunęły się na boki.

W środku ani żywej duszy.

- Wszyscy poszli żreć - zachichotałem nerwowo.

- Zobaczmy tylko to coś i chodu - Merle niemal wrzeszczała z nerwów.

No i zobaczyliśmy.

- Jezu, ale czad!

Nie wierzyłem własnym oczom. Kryształowa rzeźba stała na stanowisku roboczym, otoczona czujnikami, miernikami, kablami i panelami światełek. Dwa terminale komputerowe sapały w najlepsze, przeprowadzając jakieś niekończące się obliczenia. Przez wysokie, staroświeckie okna wpadało światło słonecznego letniego południa, jasne i gorące, przenikając artefakt i rozszczepiając się promiennie.

To coś było stare jak smok.

Piasek startł większość oryginalnej patyny, wygładził rysy twarzy. No, ale 1,8 miliarda lat wystarczyłoby, żeby zetrzeć w proch góry i przenieść oceany. Poziom technologii zawartej w tym prostym obiekcie zwał z nóg. Niemal wzięły mnie mdłości, kiedy uświadomiłem sobie, jak genialna to rzecz.

- To... piękne - westchnęła Merle.

Z jakiegoś durnego powodu — choć może nie był on taki zupełnie durny - zerknąłem na tytuły tych książek dla debili, które trzymałem pod pachą. I chyba po raz pierwszy w ich dziejach naprawdę pięknie do czegoś pasowały. „Ziarno Światła”. Tym właśnie było to чудо. „Okno Światła”.

Wyciągnąłem nabożnie dłoń, chcąc dotknąć czaszki.

TWARZĄ W TWARZ rozdarł mi się w głowie.

Z czaszki strzelił jaskrawy łuk szafirowego światła i uderzył w kryształek w moim uchu. Dwa niewiarygodne komputery zaczęły ze sobą rozmawiać z prędkością światła. Mój przeciążony mózg stanął w ogniu.

Przez chwilę słyszałem przerażony krzyk Merle, czułem, jak złapała mnie za ramię.

A potem...

20 rok Imperium ...czas rzeczywisty...

Kosmos to podwójny kwiat lotosu w dziesięciu wymiarach - bliźniacze kwiaty łączą się przy łądydze. Ich szerokie, rozchylone liście to ścieżki wszechrzeczy w czasie i przestrzeni.

Kwiaty te są otulone złotym jajem, które ludzie pospółu z Kleth zwą nadprzestrzenią. Tam wszystkie miejsca i chwile kolapsują w jeden punkt i je-

den czas. Kto opuści lotos i wkroczy w złote jajo, znajdzie nieskończone szlaki łączące wszystkie lokalizacje. Żaden ludzki umysł nie poradziłby sobie z presją tego „miejsca poza miejscem”. Nawigacją w nadprzestrzeni zajmują się tylko maszyny. Najwyższy Władca Chakralin siedzi w fotelu dowodzenia na mostku swego flagowca, „Ga-rudy”, i patrzy na ludzi służących machinom, które pošlą ich z nadprzestrzeni prosto w ogień walki.

- Zamykamy geodetyki, panie.

Główny Sternik jest porażająco spokojny. Od godziny są w stanie podwyższonej gotowości.

- Przygotować się do wyjścia z nadprzestrzeni. Rozlegają się natarczywe sygnały alarmowe.

- Starszy nad Armatą, przygotować się do walki.

- Tak jest, panie.

- UWAGA, UWAGA. NA STANOWISKA BOJOWE. ZA DZIESIĘĆ SEKUND ZAATAKUJEMY WROGA. ODLICZANIE. DZIEWIĘĆ, OSIEM...

Grupa Operacyjna Gwardii Imperium wypada z nadprzestrzeni uformowana w półksiężyc, celując rogami w Centrum Galaktyki. Negatywne pole „Garudy” zdaje się wysysać ciemność z nocy. Wyłonili się pośród kulistej gromady gwiazd, które wiszą wokół niczym milion niebiańskich diamentów, milion zamrażniętych łez.

- KONTAKT W PRZESTRZENI RZECZYWISTEJ. Nadciąga grupa bojowa przeciwnika, większa od ich sił

i uformowana w kulę, pędzącą ku nacierającemu półksiężycowi. Okręt flagowy Khurdda, najeżony bronią krążownik, tkwi w sercu tego szyku, w najbezpieczniejszym miejscu.

Eskadry nie wymieniają wiadomości na tachionowych promieniach - wszystko zostało już powiedziane. Pozostaje już tylko zabijanie. Chakralin wpatruje się w swój monitor, wyświetlający wektory jako symboliczne ikonki. Odległości są zbyt duże, prędkości również, a statki zbyt ciemne w osłaniających je polach, by można było obserwować walkę bez przyrządów.

Spośród zbuntowanych okrętów strzela snop zieleni, trafia krążownik Gwardii „Yama” i okręt znika w gigantycznym rozbłysku. Na ekranie Chakralina utrata jednostki jest jak zdmuchnięcie świecy. Upłynęły ledwie sekundy.

Światła na „Garudzie” ciemnieją, potem gasną, z wyjątkiem zasilania awaryjnego, które daje moc systemom mostka i uzbrojeniu. W tej samej chwili okrętem wstrząsa potężny cios, ale pole ochronne rozprasza energię promieni. Oświetlenie główne wciąż nie działa.

- Poproszę o raporty na mostek. Raporty o gotowości bojowej ze wszystkich stanowisk.

- Panie, wszystko, co mają, wymierzili w „Garudę”! Zdołamy im się oprzeć najwyżej przez krótką chwilę.

- Logistyka?
 - Obawiam się, że mają nad nami przewagę ogniową.
 - A nowe uzbrojenie?
 - Mamy jeszcze za mało danych z testów uzbrojenia, by oszacować jego skuteczność.
- Okręt drży pod kolejnym miażdżącym ciosem. Migoczą już nawet światła awaryjne. Pada cała bateria komputerów. Jeden z kadetów nieustannie klnie pod nosem.

- Admirale?

Antaka przenosi wzrok z kapitana „Garudy” na Dyrektora. Chakravalin patrzy nań uważnie.

- Wydajcie rozkaz, admirale.
- Kapitanie, przygotujcie broń entropiczną. - UWAGA, WSZYSTKIE STANOWISKA ARTYLERII. PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO UŻYCIA NOWEJ BRONI. ZGŁASZAĆ GOTOWOŚĆ.

74

POWIEŚĆ

Na tablicy zapalają się kolejne zielone światła.

- OGNI!

Przestrzeń wypełnia biały blask, próżnię przecina lej bladej poświaty.

Niemal natychmiast pole entropii wygasa.

W usianym gwiazdami mroku jak węgielki żarzy się sześćdziesiąt kropli stopionego metalu i plastali, które łuszczą się i sypią popiołami, a potem rozwiewają się w pustkę.

- Nie ma ich - z głośników rozbrzmiewa pełen niedo wierzania głos inżyniera Sraddhadevy. -

Nie ocalał na wet jeden okręt.

- UWAGA, WSZYSTKIE STANOWISKA, ALARM ODWOŁANY. UWAGA, UWAGA, WSZYSTKIE STANOWISKA...

Cała mordercza bitwa trwała mniej niż minutę.

hipersen

Rozumiesz więc już, kim jesteś?

Pamiętam... Wszechświat, kiedy był jeszcze bardzo młody, rozchylający swe lotosowe płatki w pustce nadprzestrzeni. Próżnię ryczącą płomienistą mocą, porywistymi burzami gazowymi wielkości galaktyk, wirującymi kłębami pyłu, które miały się stać gwiazdami i planetami.

Byłeś tam, u początku tego wszystkiego?

Czy to możliwe? Wiem tyle: jest ten, który gra w Grę Gwiazd i Dusz. Wiem to, bo tam byłem.

Opowiedz. Opowiedz nam o swym życiu wśród ludzi.

Po raz pierwszy ujrzałem światło dnia na skutym lodem, omiatanym wiatrami świecie zwierzolutdzi i grzmiących, kudłatych bestii, planecie na Obrzeżu Galaktyki, krążącej wokół wątlej, żółtej gwiazdy i obdarzonej jednym, dziobatym Księżycem.

Sławetna Ojczyzna? Stara Ziemia?

Oczywiście. Tylko na tym świecie powstało życie rozumne. Przeznaczeniem jego dzieci było obsiać życiem całą Galaktykę.

Wszystko dla Gry. Dla niezbadanych celów jej jedyne Gracza. Odważny jesteś,

Dayanando, że w końcu stawiałeś czoło tym faktom.

Ten ból! Udręka wspomnień! Byłem kudłatym małpoludem, jak wszyscy inni, nie bardziej świadomym od mych braci. Później mieli mnie zwać Prometeuszem.

Byłeś tym geniuszem, który odkrył ogień?

Nie. Jednak jako starszy mego plemienia, ocalałem od śmierci tego, który znalazł zarzewie i przyniósł je do naszych sadyb. Spowodowałem powstanie kasty kapłanów, a mój lud czcił ogień.

I przez to podbił twój świat.

W końcu, tak.

Byłeś za to wychwalany, nagrodzony...

Raczej ukarany! Skazany na życie wieczne, nieustanne powroty na kole samsary, by rodzić się jako bezmyślne niemowlę, dorastać wśród cierpienia, uczyć się, czego tylko zdołałem w moim niezmiernym ubóstwie, a potem umierać - ale bez odpoczynku, tylko umierać, by znów się narodzić, wracać na świat raz za razem...

Była to jednak nauka. Życie wieczne to surowy nauczyciel, prawda?

Nie mógłbym niczego zapomnieć. W każdym wcieleniu odzyskiwałem wspomnienia z poprzednich żyć, kiedy osiągałem dojrzałość... o ile zdołałem przeżyć choć tych kilkanaście nędznych lat. Każde nowe życie dopisywało nowe cuda i koszmary na tabliczce mej pamięci.

Nigdy nie próbowałeś się zbuntować? Był czas, kiedy spróbowałem pójść tą ścieżką.

Odmówiłem

bycia narzędziem w rękach Gracza. Nie chciałem przekazywać swej wiedzy krążącym wokół mnie jętkom.

Oczywiście ukarano cię za nieposłuszeństwo.

Sam siebie ukarałem, w głębi duszy. Nie byłem w stanie żyć wśród tych bestii, między którymi się rodziłem. Odszedłem od świata, wynalazłem pustelnictwo. Samotność znów przyznała mnie do towarzyszy.

Zmusiłeś ich zatem, by stali się ludźmi.

W goryczy mej samotności nie miałem innego wyjścia. Stałem się Nauczycielem.

Gilgameszem Sumeryjczyków, Ody-nem Nordyków, bogiem Słońca Ra u Egipcjan, Wiśnu, Zeusem, Xolotlem starożytnych Meksykan, setką Duchów Orła, totemów Niedźwiedzia, Kojotów, bohaterów Snu. I zaczęła się historia. To ja byłem Echnatonem, który dał ideę

jednego Boga, by zastąpić wszystkich tych, których wymyśliłem przedtem. Byłem

Mojżeszem, Jezusem, Gautamą Buddą, Mahatmą Gan-dhim, Andreasem z Wielkiego

Imperium, Vamaną, który odważył się wkroczyć do waszej Osobliwości, pradawni Kleth.

Byłem lamą i żołnierzem, przywódcą i poddanym. Brodziłem w nilowym mule przez wodę i

słomę; mój posąg niesiono przed woskowe świece Tenochtitlanu; doradzałem Wielkim

Ukrytym Tybetu, a wiatry rozrzedzonego powietrza przenikały me starcze kości; w gniewie

krzyczałem w Planetarnym Parlamencie Starej Ziemi. Harowałem na obcych planetach z

mięśniami obolałymi od zbijania drewna i plastobetonu, by zbudować domy i szkoły dla

moich bliźnich.

Znalazłeś jakiś cel tej straszliwej odysei?

Tylko jeden cel mógłby podtrzymać człowieka na duchu przez cierpienia stu tysięcy lat

ludzkiego życia. Nauczyłem się współczuć. Nauczyłem się człowieczeństwa. Dążyłem do

harmonii dla moich udręczonych bliźnich, do pokoju i jeszcze jednego pragnąłem. I nadal

pragnę. Łaknę odpoczynku.

Sięgnij, Dayanando, i weź. go.

Nie śmiem. Lękam się Gracza.

TERAZ

Tonąłem w liczbach.

Listingi niezrozumiałego kodu przewalały się przez mój nieosłonięty mózg niczym wodospad.

Pakiet systemów eksperckich, uruchomiony na superkomputerze Toma i podłączony przez satelity do wszystkich większych centrów badań nad sztuczną inteligencją na świecie, tłoczył swą wiedzę w nienasycony głód kryształowej czaszki. Wszystko to ryczało jak burza w mojej głowie, której oba mechanizmy używały jako urządzenia translatorskiego.

Zacząłem wrzeszczeć.

Nikt nie usłyszał, bo moich warg nie opuściło ani jedno słowo.

Mój wrzask zakłócił coś w tym huraganie danych. TWARZĄ W TWARZ zawahało się, sprawdziło mój stan, wyrzuciło sygnał sytuacji awaryjnej i wróciło do nawałnicy kodu:

ENTERING worldcount (s=((ac ab cb) (ac) (ba bc ac)) ab ((cb ca ba) cb (ac ab cb)))
ENTERING worldcount (s=((ac ab cb) ac (ba bc ac))) ENTERING worldcount (s=(ac ab cb))
ENTERING worldcount (s=ac) EXITING worldcount (value: 1) ENTERING worldcount
(s=(ab cb)) ENTERING worldcount (s=ab) EXITING worldcount (value: 1) ENTERING
worldcount (s=(cb)) ENTERING worldcount (s=cb) EXITING worldcount (value: 1)

75

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■

ENTERING worldcount (s=nil) EXITING worldcount (value: 0) EXITING worldcount
(value: 1) EXITING worldcount (value: 2) EXITING worldcount (value: 3) ENTERING
worldcount (s=ac(ba bc ac))) ENTERING worldcount (s=ac)

To był zapis programu w LISPie, języku używanym przez programistów do badań nad sztuczną inteligencją -przynajmniej tyle potrafiłem rozpoznać dzięki rzeczom, które kiedyś pokazywał mi Tom. Czy to system ekspercki uczył czaszkę, jak ma opisać swoje wrażenia z Ojczystej Ziemi? Czy też to czaszka opanowała Craya i zmuszała go do wyplucia całej zawartej w nim wiedzy? Nie wiedziałem. Ból zabijał. Ajednak...

To nie był ból.

To było parcie, bo coś się otwierało.

Mój mózg zalało światło, takie przynajmniej miałem wrażenie. Setka, tysiąc głosów, które zagłuszały się nawzajem - tylko przy maksymalnym skupieniu mogłem złapać końcówkę każdej wypowiedzi i wyrwać ją spomiędzy innych, a potem włożyć na właściwe miejsce: Świątynia Słońca, czyli Surya Devla, niegdyś zwana Czarną Pagodą, to niedokończony hinduski monument zbudowany na podobieństwo rydwanu bojowego, z wielkimi kamiennymi kołami u...

I...

Glejaki to guzy mózgu i rdzenia kręgowego pojawiające się w samej tkance nerwowej, w odróżnieniu od nowotworów powstających na oponach osłaniających mózg. Są z reguły złośliwe, gdyż...

I...

W takich wypadkach jest jasne, że zasada łączenia zarzutu spisku do zbrodni dokonanej w trakcie jego działania pod żadnym względem nie wynikała z poglądu, iż spisek jest czymś odmiennym i odrębnym od tejże zbrodni. Zasadę tę można pominąć w przypadkach, kiedy...

I...

Likwidacja niedoboru dolara wynikła z długiej serii deficytów Stanów Zjednoczonych w transakcjach z innymi krajami. W ciągu osiemnastu lat od 1950 do...

I...

Sanczo zbliżył się tak, że mu niemal oczy w gębę wraził, wówczas właśnie balsam zaczął działać w żołądku Don Kichota i akurat kiedy Sanczo do gęby mu zaglądał, wyrzucił gwałtowniej niżli strzał muszkietu wszystko, co było w żołądku, na brodę litościwego...*

Były też inne głosy:

DAYTON? O BOŻE, CO TO CI ZROBIŁO? DAYTON, ZBUDŹ SIĘ!

CO TO ZA HAŁASY? HEJ, MAŁA, NIE MASZ PRAWA TU... CZEMU ON LEŻY NA PODŁODZE? GRZEBAŁ PRZY...

Raban w mojej czaszce ucichł jak stłumione przeciążenie. Usiłowałem wychrypieć nazwę programu, żeby wyłączyć system.

- TWARZĄ W TWARZ o f f, na miłość boską! Wyszło mi tylko „Eechch”. Japoński głosik w moim

uchu oznajmił:

- Przepraszamy za przerwę w pracy naszego progra mu. Usługi zostaną przywrócone, kiedy tylko stanie się to możliwe. To ty, Dayton?

PRÓBOWAŁ COŚ POWIEDZIEĆ. CHYBA MA PROBLEMY Z MÓWIENIEM.

* *Don Kichote, tłum. A. i Z. Czerny, księga III, rozdział XVIII*

NIECH KTOŚ ZADZWONI PO KARETKĘ.
PADŁ JAK ŚCIĘTY.

Nie otwierając ust, wydarłem się na komputer:

- Co się tutaj dzieje?! Wyciągnij mnie z tego. Boję się.
- Przykro mi. Day, Day, Day, nie odmawiaj, Day, ha ha!

Szlag mnie trafił.

- To najgorszy żart z mojego imienia, jaki w życiu sły szalem.
- Może nie jesteś w odpowiednim nastroju, by go doce nić. Mamy ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, Day. Gotów?
- Och, Boże. Wyłącz się. Daj mi się obudzić.
- Daytonie, mój Władca zdobył wiele bardzo ciekawych informacji od czasu przybycia na tę planetę. Bezpośred nio przed przewiezieniem do Australii został poddany rozległym badaniom w Instytucie Badań Podstawowych Tata w Bombaju.
- Mój... Władca? Mówimy, zdaje się, o tej czaszce z Marsa, tak?
- Owszem, to jeden z jego desygnatów, choć zdecydowano nie najwłaściwszy. W Instytucie Tata zapoznał się z intrygującym opisem pewnych wzorców mitycznych opowieści, dominujących na subkontynencie indyjskim. Uważa je za uderzająco znajome. Obdarzono mnie przy wilejem przekazania dalszych informacji dotyczących tych...
- Mam to gdzieś. - Nie walczyłem już z paniką. — Je stem w ciężkich tarapatach, facet. Straszny syf. Chyba nie mogę ruszać rękoma i nogami...

Przez system ekspercki przemówiła do mnie Czaszka z Marsa, a jej głos był jak pomruk grzmotu:

- Daytonie, zważ na te słowa z Upaniszady Chhando-gya: „W tym ciele jest mała siedziba w kształcie lotosu, i w owym domu serca miejsca jest tyle, co w całym świecie zewnętrznym. Niebo, ziemia, ogień, wiatr, słońce, księżyc, błyskawice i gwiazdy: wszystko, co jest i czego nie ma, tam się mieści”.

Leżałem na plecach na podłodze laboratorium jak śnięta ryba, wokół kręcili się zaaferowani ludzie, zapłakana Merle patrzyła mi w oczy i jakieś tam stare, osyfiałe Upaniszady generalnie mi zwisały.

- Wypuście mnie stąd! - wrzeszczałem bezgłośnie. -Po prostu mnie wypuście, na litość boską.
- Twoje ciało zostanie uwolnione, gdy przyjdzie pora -obwieściła Czaszka z Marsa swym straszliwym, podnie sionym głosem. - Najpierw jednak, Dayton, twój umysł musi się wiele nauczyć. Jesteś przygotowywany do wiel kiego zadania.
- Nie prosiłem się o to - zaprotestowałem. Gdybym miał jakąkolwiek władzę nad ciałem, zacząłbym płakać.
- Ależ prosiłeś, prosiłeś - odparła Czaszka, w której głosie wyraźnie sły szyć było znużoną pamięć 1,8 miliarda lat. - Pozwól, że opowiem ci pewną historię. To pra dawna opowieść, starsza niż mój wszechświat. A oto jak się zaczyna: „- Hai! Aeeii! - wrzasnęła ze śmiechem, opa dając z rozdziawionymi ustami przez połyskliwe powie trze...”.

Słuchałem więc opowieści o Adriel z Corydonu, o Chakravalinie Chakratinie, Dayanandzie i wóm matkach Kleth, o Imperium Galaktycznym, jego Upadku i Odrodzeniu, słuchałem jej z narastającym przerażeniem, a mały, lecz natrętny skrawek mego umysłu raz za razem wracał do tej wariackiej linijki tekstu na końcu książki o kryształach. Pewnie, że to było szalone, ale nie tak, jak ta antyczna, brutalna historia, którą mi serwowano. Szalone i niewyobrażalne, ale mój

76

POWIEŚĆ

nieszczęsny, zmaltretowany umysł wciąż do tego wracał: „Sam tworzysz swój własny Wszechświat”.

24 rok Imperium ...czas rzeczywisty...

Dzieci znów wymknęły się niańkom i pognały na mostek w poszukiwaniu matki. Adriel spogląda na nie z czułością, kiedy szarpią za nogawki jej obcisłych spodni; nie potrafi ich skarcić.

- Ushas, podejdź do mnie.

Dziewczynka, szeroko uśmiechnięta, chowa się za fotelem dowodzenia Admirala. Grzmiąc śmiechem, Antaka podnosi ją z pokładu i podrzuca wysoko, łapie w okryte czernią ramiona, odpowiada uśmiechem na jej zachwycony uśmiech.

- Surya, ty mały demonie, chodźże tu! - woła Adriel. Chłopczyk wygląda jak jej trzyletnia kopia - tak jak Ushas jest bliźniaczą wersją Chakravalina.

- Wszystko w porządku, kochanie - gładzi go po pyza-tym policzku. - Mama się nie gniewa. Chodzi tylko o to, że wszystkie maluszki muszą zaraz uciekać z mostka. Chodźcie, nianie czekają i coś mi się wydaje, że wasza czekolada stygnie.

- Oczywiście, mamo. - Ushas, „Jutrzenka”, robi się na głe bardzo oficjalna. - Ale musisz przyjść i dać nam buzi na dobranoc.

- Ależ ma się rozumieć. Ty też, Surya, młody człowieku, ruszaj za siostrą.

- Chcę powiedzieć tatusiowi dobranoc. Chakravalin odwraca się od ekranu.

- Kolorowych snów, królewiczu. Chodź, niech cię uca łuję. Ty też, kochana.

Adriel podchodzi z córką i oba szkraby nadstawiają policzki. Każde dostaje po całusie.

Dayananda sięga, by potargać włosy chłopca, na palcach przesyła całusa na policzek dziewczynki.

„Garuda” spada przez udręczoną, nieskończenie małą nierzeczywistość, zwaną nadprzestrzenią. Tu wszystkie punkty ściśle przylegają do siebie, ale każdą z nieskończenie wielu łączących je ścieżek można wytyczyć tylko w skończonym czasie. To samo dotyczy wejścia na taki szlak i podróży nim. Mimo naukowego kształcenia na Ti-resias, Adriel nawet nie udaje, że pojmuje niewiarygodnie zaawansowane równania opisujące ten stan istnienia. Wie tylko jedno: w tej chwili wraz z nimi w nadprzestrzeni jest setka okrętów z państw Centrum, pędzących szybciej od światła na pierwsze w swoim rodzaju spotkanie wewnątrz Osobliwości Kleth.

Teraz czeka w swoim saloniku, kiedy dzieci mimo protestów są kąpane, potem jedzą ciepłą kolację, wracają do łazienki, żeby umyć zęby, aż w końcu kładzie się je do kapsuł noclegowych, w których mogłyby przetrwać katastrofę i pobyt w próżni. To cudowne dzieci i Adriel ogarnia przerażenie, kiedy już dłużej nie może nie myśleć o faktycznym stanie rzeczy: Ushas i Surya, jak i ona sama, to zakładnicy. Jeśli królowie i władcy Centrum odrzucą ofertę pokoju, jaką niesie Chakravalin, ich bezcenne życia staną w obliczu śmiertelnej groźby. Nie, stanowczo nie zamierza o tym myśleć. Takie ryzyko było udziałem dzieci wielu przywódców na przestrzeni przepelnionych niezliczonymi tragediami dziejów ludzkości. Czasem porywano je dla okupu, czasem jako zakładników, ale zawsze były zagrożone. Mogłaby chcieć, żeby tak nie było, ale cóż z tego? To nierozłączna część bycia spadkobiercami Chakravalina Chakravatina

Kiedy samotnie wraca na mostek, większość przednich ekranów wyświetla obraz Osobliwości.

- To... robi wrażenie - mówi, stając za ramieniem Cha-kravalina.

- Mój pradziad zanurzył się w tym wirze. A Kleth po zwolili mu zabrać skarb, który tam znalazł: ten statek. „Garudę” - odpowiada jej mąż z zadumą.

- Czy możemy być pewni, że inni także bezpiecznie po konają horyzont zdarzeń?

Tego właśnie Adriel boi się najbardziej - że któryś z okrętów Centrum ruszy po niewłaściwej trajektorii, nie pokona straszliwych pływów, otaczających tę olbrzymią anomalie grawitacyjną, i mimo desperacko pracujących silników będzie bez końca spadał w miażdżące objęcia Czarnej Dziury. Gdyby bowiem do tego doszło, jej dzieci byłyby skazane na pewną

śmierć. Nic nie powstrzymałoby wilków od rzucenia się na Adriel, Ushas i Suryę, i rozdarcia ich na strzępy.

- Nie lękaj się, przeprowadzimy ich bezpiecznie - w jej głowie rozbrzmiewa głęboki bas i ni stąd, ni zowąd pośród ludzi u sterów na mostku pojawia się wom matka.

- Na bogów! Nie rób tak więcej! - Adriel śmieje się nerwowo. - Przeraza nas wasza zdolność pokonywania przez strzeni bez używania maszyn.

- Patrz na Osobliwość i zapomnij o swych lękach - ra dzi Smutna Góra. - To czas dla zadziwienia, nie dla strachu.

Nawet w nadprzestrzeni, gdzie stykają się wszystkie punkty, piana głębokiej rzeczywistości kotłuje się i wrze tutaj, gdzie absolutna grawitacja ściąga ku zagładzie całe słońca.

Galaktyczna Czarna Dziura to wir miliona wypatroszonych gwiazd, słońc zderzających się w zatłoczonym rdzeniu Osi. Ta przeogromna masa zakrzywia nawet światło, które krąży wokół niej po zamkniętej orbicie.

Obserwowana z przestrzeni rzeczywistej Dziura to rejon o średnicy niecałego roku świetlnego, szpila, na której wiruje spiralna galaktyka o rozpiętości trzydziestu tysięcy lat świetlnych - zakazane miejsce, w którym nie ma prawa istnieć życie, bo promienie rentgenowskie niczym grad w tysięcznych częściach sekundy zdruzgotałyby delikatne ciało i kość. W wir nieustannie obsuwa się materia, bryzgając promieniowaniem, kiedy jest ściągana ku zagładzie. Z nadprzestrzeni jednak Osobliwość wygląda pięknie, dziwnie poruszająco, jak przenicowana róża.

- W tym rejonie czas staje w miejscu - mówi Smutna Góra. - Światło, które kiedykolwiek padło na Osobliwość, jest gromadzone w niekończącej się warstwie obrazów, sprasowanych w jeden oślepiający rozbłysk.

Adriel usiłuje objąć umysłem ten niezwykły koncept. Jeśli zbliżyć się do Czarnej Dziury w przestrzeni rzeczywistej, czas zwalnia dla zbliżającego się obiektu, co wykaże każdy zegar wystarczająco odległy od grawitacyjnego uścisku Osobliwości. Tak naucza starożytna mądrość Względności. To niepodważalne. Dla obserwatora z zewnątrz obiekt na horyzoncie Dziury zdawałby się uwięziony na wieki, niczym owad w miodzie. To samo dotyczy jednak każdego promyka światła, każdej cząstki materii, każdej zblakanej gwiazdy czy okrętu na mylnym kursie... na wieki. Na horyzoncie wszystko zwalnia, zwalnia, aż wreszcie nieruchomieje. Do środka dociera po nieskończonym czasie. Ci spadający postrzegaliby to jednak inaczej. Dla nich spadek byłby coraz szybszy, aż osiągnęliby prędkość światła. Wtedy przekraczają horyzont. Wirując, zapadając się w Dziurę, mają świadomość, że za ich plecami to-

77

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■

czy się historia wszechświata. Ich upadek obejmuje cały okres od wejścia w Dziurę po ostatnie westchnienie czy eksplozję w Dziejach Kosmosu, całą resztę czasu. A w samej Osobliwości, w tym najgłębszym miejscu udręczonego czasu i przestrzeni na dnie dziury, będą mogli odwrócić się i obejrzeć tę kosmiczną opowieść o ekspansji i zagładzie w obrazach, które zapadły się za nimi w otchłań.

- Ależ to nie jest tak naprawdę możliwe! - protestuje Adriel. - Te obrazy jeszcze nie powstały. Mówisz o odległej przyszłości, o nieskończeniu długim okresie.

Jej przerażeniu tym razem towarzyszą koszmarnie zawroty głowy. Co opowiada ten stwór? Czy wszechświat to zaledwie swego rodzaju nagranie? Nieskończony zestaw obrazów uwięzionych wewnątrz Czarnej Dziury, które mogą oglądać tylko jej mieszkańcy?

- Wybacz, Pani - odzywa się jeden z oficerów. - Przy gotowujemy się do wejścia w Osobliwość. Musi pani zająć stanowisko.

Rozlegają się syreny. Adriel chwytając za dłoń Chakravy-lina, mocno ją ścisnęła i odchodzi do swojej leżanki przeciążeniowej. Uparła się, żeby pozostać na mostku - nie ma zamiaru zrezygnować z tak wspaniałych widoków.

Ekran wypełnia się różem i złotem.

Obejmuje ich Osobliwość.

To wielki, cudowny wschód słońca.

Mostek wypełniają miłe aromaty. Czuje na języku szorstkość soli. Lewą nogę chwyta skurcz.

Wjej czaszce łomoczą bębny, jakby prymitywna muzyka, nieustanna i podniecająca.

Z systemu nagłaśniającego bardzo wolno wydobywają się słowa:

- UWAGA ZAŁOGA. WEJŚCIE ROZPOCZĘTE. POWTARZAM, WEJŚ...

Wspomina ostatni raz, kiedy stała na tym mostku: jako duch, rozmawiając z Chakravalinem przed bitwą, cztery lata temu. Wydaje się, że minęła tylko chwila. Czuje na ustach smak i nacisk jego pocałunku. Do oczu napływają łzy. I bez świadomości, że upłynęła choćby chwila, znajduje się nagle w wielkiej sali, którą Kleth przygotowali dla przedstawicieli światów Centrum.

- Mamusiu, on mi zabrał zabawkę! - skarży się Ushas i Adriel sadza ją sobie na podołku.

Surya, oburzony po wodzeniu siostrzanej intrygi, udaje, że wcale go to nie obchodzi, po czym raczkując, zapuszcza się pomiędzy no gi dygnitarzy usadowionych przy wielkim stole u szczytu sali. Adriel zmusza się do głębokich, spokojnych wdechów, tak jak dawno temu nauczyli ją instruktorzy kon trolni nad ciałem na Tiresias, by pobudzić energię czakr z kręgosłupa. Z najskrytszego sedna jej osobowości płynie niekończąca się fala spokoju. Chłopczyk ogląda się przez ramię, nagle uśmiecha i pełnie z powrotem.

Głosy wszystkich zlewają się, stapiają w biały szum. Delegaci niecierpliwą się, czekając, aż młody Najwyższy Dyrektor przedstawi warunki, jakich pragnie. Bądź co bądź, to jego ojciec, Jagannatha, ich pokonał. Zgoda, Chakravalin ocalił ich przed Khurddem, ale ten był przecież tylko pięścią zbrojnego ramienia Shirampur, którego groźba wciąż nad nimi wisi. Pomiędzy nimi chodzą Kleth, jak olbrzymie, ślepe fokki. Z zakrzywionych żagli dachu sali leje się miękkie światło. To miej sce to dar Kleth, a obecność tak licznie zgromadzonych ludzi była możliwa tylko dzięki nauce i technologii obcych. Adriel znów oddycha głęboko, głęboko. Jej duma ożywa. Zgoda, ich osiągnięcia wymagały pomocy Kleth, ale całą pracę wykonali Chakravalin, Day-ananda i ona. Niekończące się negocjacje. Spotkania, pakty, dyplomacja. Adriel patrzy w głąb sali i widzi urazy i rozgoryczenie. Niewiele tu radości. Mało kto dostrzega, do czego tu naprawdę zmierzają.

To ludzie pokonani dzięki technologicznej przewadze Shirampur. Nie brak im ducha. Adriel to cieszy. Galaktyce potrzeba siły, nie słabości, zdolnych przywódców, wizjonerów, którzy zdolają stawić czoło i przezwyciężyć własne lęki i małostkowość.

Tak jak to uczynił Chakravalin. Tak jak czyniła Adriel, pomagając mu.

Rozbrzmiewają trąby. Zebrani wstają. Najwyższy Władca wkracza do sali, bez dalszych ceremonii podchodzi do stołu, przy którym wolne jest już tylko jego miejsce. Patrzy w oczy Adriel, obdarza dzieci krótkim, twardym uśmiechem i natychmiast zaczyna przemawiać do nagle zamilkłych delegatów.

- Moi przyjaciele... - Chakravalin zawiesza głos. Nie którzy delegaci odczuwają wyraźną ulgę. Nie tak mówią wrodzy tyrani. - To spotkanie jest zwieńczeniem proce su, który trwał już od dawna. Moje dzieci, obecne tu u bo ku mojej małżonki, Adriel z Cory donu, ledwie się nara dziły, gdy rozpoczęliśmy naszą wielką krucjatę, by spro wadzić was wszystkich na to forum. Zasługa za to osiągnięcie należy się jednemu człowiekowi, który sam zrobił tyle, co wszyscy pozostali razem wzięci: hrabiemu Daya-nandzie, u mej prawicy.

Rozproszona brawa. Nic się nie traci, doceniając człowieka uznanego wszędzie za zdeklarowanego orędownika pokoju. Z drugiej strony jednak Dayananda jest sojusznikiem i doradcą Chakravalina. Stąd skąpe oklaski.

- Do tego historycznego wydarzenia doszło głównie dzięki Kleth. To nasi starsi krewni w Galaktyce, istoty, których niezmierny pokój ducha i mądrość każą ina czej spojrzeć na nasze nędzne dzieje, pełne rozlewu krwi i zamętu.

Chakravalin ukradkiem zerka na Adriel. Ta zamyka oczy, skupia energię u nasady nosa i wysyłają naprzód, jak snop światła. Staje się kryształowym zwierciadłem dla obaw wszystkich obecnych. Podsyca te uczucia, dokarmiając je strużkami nienawiści i lęku, które gromadzą się jak trucizny w sercach wielu spośród zgromadzonych w sali. Wszyscy są spięci, choć nikt do końca nie zdaje sobie z tego sprawy; niepewni, nagle zaniepokojeni. Balansują na ostrzu miecza, o włos od obsunięcia się we wściekły, morderczy gniew. Adriel utrzymuje ich w tym stanie.

- O tym, że musimy się spotkać w ten sposób, upewniłem się w dniu, cztery lata temu, kiedy zbuntowany oficer nazwiskiem Khurdd, dowódca sił mojego ojca w walce o Centrum, odmówił wykonania moich rozkazów. Wiecie, co było dalej. Khurdd wraz z grupką wysokich oficerów spróbował dokonać przewrotu. Wybaczcie, że przypominam, ale ich zbrodnicze zamiary obejmowały zniszczenie kilku z waszych światów, tytułem wstępu do dalszych masakr.

Obawa wzmagą się i przeradza w gniew, ale to gniew na nieobecnego wroga. Nieprzyjaciela wszystkich tu zebranych, włącznie z Chakravalinem.

- Kiedy usłyszałem o tej zbrodni, natychmiast wyruszyłem na czele małej floty i zniszczyłem Khurdda wraz z sześćdziesięcioma okrętami mojej własnej floty.

Lustro emocji znów wykrzywia się i ogniskuje. Chakravalin dumnie unosi głowę, jego oczy płoną. Akustyczna machineria sali niesie jego czysty głos do każdego delegata.

- Czemu zabiłem własnych ludzi? Ponieważ zdradzili Shirampur. Ponieważ sprzyśleli się w próbie ludobój-

78

POWIEŚĆ

stwa po tym, jak liczni wasi negocjatorzy jawnie wykazali, że zawarcie pokoju było w zasięgu ręki. Czemu wezwałem was tu dzisiaj? Z tego samego powodu. By udowodnić, że nie szukam chwały własnego ludu.

„A jakże łatwo mógłby”, myśli Adriel, kształtując i wzmacniając odczucia otaczających ją ludzi. Doradcy Kleth stoją nieruchomo, nieme dowody, że Chakravalin mógłby zmusić tych ludzi do wszystkiego, gdyby zechciał. Lustro jej umysłu zalewa fala strachu, przeobrażającego się w ulgę. Ta z kolei przechodzi w ciepłe uczucia do stojącego przed delegatami młodzieńca. To nie Adriel wywołała tę reakcję. Kształtuje ją tylko, wygładzając zdradzieckie zawirowania na obrzeżach, wysączaając odcienie gniewu i niepewności, tworząc balsam dla psyche.

Chakravalin z uczuciem i wyrachowaniem kontynuuje mowę, która sama w sobie jest majstersztykiem semantycznego planowania, której zdania i akapity zbudowano tak, by wywołały emocjonalny odzew słuchaczy. U jego boku, niedostrzegana już przez zasłuchanych delegatów, Adriel rzeźbi miłość i nienawiść. Jest wojownikiem wykonującym kolejne kata, cięcia, taneczne skoki. Rzeźbiarką, modelującą lód płomieniem. Śpiewaczką, wznoszącą się wyżej i wyżej, by osiągnąć doskonałość dźwięku.

W pierwszy ch rządach zgromadzonych stary Tan Gau-nilo wstaje nagle i woła załamującym się głosem. Wokół niego inni potakują i również wstają, klaszcząc. Chakravalin skłania się lekko. Kiedy siadają z powrotem, przemawia dalej, już ciszej. Opowiada im o marzeniach dzieciństwa, dniach i wieczorach spędzonych na dysputach z Dayanandą, o zgrozie, kiedy po raz pierwszy usłyszał, jak pyszałkowaci oficerowie nazywają jego ojca Rzeźnikiem.

Opowiada o nocy w Pałacu nad brzegiem Kashi na wypoczynkowej planecie Rishipatana, kiedy słowa Daya-nandy rozpały w jego sercu płomień nadziei, że kiedyś nadejdzie dzień taki jak dziś, a wokół płonęła symulowana Soczewka Galaktyki - o nocy, kiedy wreszcie pojął, że musi wyzwolić swego ojca, Jagannathę, na pojedynek i zabić go.

W sali panuje absolutna cisza.

Na ocean wzburzonych uczuć Adriel posyła ostatnią już, wysoką falę - zaufanie, zgoda,

entuzjazm. Pół godziny temu niecierpliwili się, irytowali, knuli i tupali. Teraz jeden po drugim zrywają się na nogi i krzyczą, wyrzucają swą zgodę, nadzieję i pogodzenie się z jego wizją pokoju.

Przepełniona szczęściem, wzruszona tak, że ledwo może oddychać, Adriel tuli dzieci do piersi i zwraca się ku Chakravalinowi. Po jej policzkach płyną łzy. Wyczerpany, ale szczęśliwy, Dyrektor wyciąga ku niej ramiona i...

...Złoto i róż zalewają główny ekran „Garudy”, jak olbrzymi, przepiękny wschód słońca. Mostek wypełniają miłe aromaty. Na języku Adriel czuje smak łez. Dudnienie prymitywnej muzyki wypełnia jej głowę jak jakiś koszmar. Wom matka Kleth odwraca się ku niej, powoli... powoli... a jej głos dudni aż w kościach:

- Tak, stało się to, co widzisz. Klatki Czasu Przyszłego i Czasu Przeszłego nakładają się na siebie. Przeszłość i terażniejszość w tym niemiejsu zostaje sprasowana w Teraz. Widzisz już? Widzisz?

I wtedy Adriel pojmuję, że Kleth mówi nie do niej, a do Dayanandy:

- Widzisz, ty, co grasz w Grę Gwiazd i Dusz? Wygra łoś. Partia skończona.

W otchłannym przerażeniu Adriel widzi, jak wymazywany jest jej świat. Zalewają strach, jakiego jeszcze w życiu nie doświadczyła, strach koszmarny, strach upiorny dławiący strach i smutek. Wysokie ściany Sali Rad zapadają się do środka niczym wyschnięta, sparciała skórka warzywa, które nazbyt długo leżało na słońcu. Świetlisty dach pęka i rozchyła się szeroko. Pod stopami Adriel cała planeta, którą oddali im Kleth, rozpada się i złuszcza, Ushas i Surya płaczą, Chakravalin patrzy przerażony, wyciąga ręce, biegnie, ale nie może się do niej zbliżyć. Wszędzie dokoła inne pionki w grze wyją i szaleją, rozdzierając swe gnijące ciała, skowycząc jak zwierzęta. Łoskot w jej uszach cichnie, a zrujnowana planeta bryzga strumieniami wrzącej magmy, kipiącej, ale chłodnej, zimnej jak lodowata woda, która jednak w końcu, jak wszystko inne, jak wyciągnięta dłoń Chakravalina, jak jej dzieci, które gdzieś przepadły, nie może dotknąć...

hipersen

Hałas cichnie. Nic nie może mnie tknąć. Wrzeszczę, ale nic nie słyszę. Gwiazdy wirują w szalonym kalejdoskopie światła. Osypują się na mnie - płomieniste kule usiane plamkami czerni. Kurczą się w zwarte punkciki zimnej światłości, teraz to bryzgająca spirala światła, wirująca wokół mnie w Soczewce.

Kleth przepadli, rzecz jasna. Tak jak cała reszta.

Jestem tak olbrzymi, że nie sposób tego objąć rozumem. Rozjarzone punkciki to nie gwiazdy, a całe galaktyki, rozchodzące się świetlistymi wstęgami, rozdzielane olbrzymimi, bezgwiazdnymi otchłaniami. Wokół mnie wszechświat kurczy się jak obumierający lotos, zwija się do środka. Gaśnie. Niematerialny. Wrzeszczę na Gracza: Czemu? Czemu? Czemu? Aż w końcu rozumiem.

Samotny. Absolutna ciemność. Bezielesny. Nieskończony.

Wszystkie pytania doczekały się odpowiedzi. Wyplakane wszystkie łzy.

Ja, Nieśmiertelny, zdumiewam się własnymi wspomnieniami i pytaniami, które głupio zadawałem. Nie ma Gracza. Nie ma Gwiazd. Nie ma Dusz.

Jestem tylko Ja, sam, wiecznie samotny.

W tej nicości pamiętam siebie jako Dayanandę i te wspomnienia, w swym nieskończonym bogactwie smaków i odcieni, sycą mój głód.

A jednak Wieczność mija. To krótki moment, szybko się kończy. Same wspomnienia nie leczą samotności.

Na to pomaga tylko czynne uczestnictwo. I zapomnienie.

Ciekawym pomysłem były Zadania, ale rychło ich zabrakło. Postawiłem sobie niegdyś problem godny boga: zbudować wszechświat. Zaludnić go z natury wojowniczym ludem.

Postawić im za cel dobrowolny pokój.

Trzy razy udało mi się. Najpierw parlament światowy, kiedy ich rodzinna planeta rzeźbiła o włos od cieplarnianej katastrofy i atomowego unicestwienia. Imperium Galaktyczne. I ten najpiękniejszy, najelegantszy wynik: Federacja.

I ja, w każdej chwili, w każdej epoce, jako współuczestnik wydarzeń. Odcięty od świadomości istnienia Gry i jej Zasad, ale zdający sobie sprawę z przymusu rozegrania jej do końca.

Czekam tu. W mroku nieskończoności rodzi się samotność.

W Grze można znaleźć zapomnienie.

I tak znowu, w głębi siebie, wypowiadam Słowa:

- Niech się stanie Światło!

I, raz jeszcze, jest Światło.

TERAZ

Przeżony gwałtownie otwieram oczy.

Mglistobiałe ściany. Twarde łóżko. Przez nieznanne okna zagląda popołudniowe słońce. Po lewej porusza się ktoś w niebieskim uniformie.

79

NA KRAŃCU MORZA ■■■■■

Macham ręką, strącam coś, brzęk metalu o podłogę. Pielęgniarka marszczy brwi, pochyla się, by podnieść przedmiot, i spogląda na mnie.

- Aha, ktoś zdecydował się dołączyć do reszty towarzyszy stwa, tak?

Próbuję przemówić, ale efekt końcowy jest do przewidzenia.

- Eechch.

Po prawej rozlega się donośny śmiech. A potem cudowny głos:

Już wszystko z nim w porządku. Dzięki bogom. Twarz Merle w oprawie kasztanowych kędziorów. Do staję soczystego buziaka prosto w usta.

- Błę. Suche wargi. Co ty, na nartach byłeś czy jak? Lu dzie, ma ktoś pomadkę dla chłopaka?

Nie do końca przytomnie sięgam po nią, ściskani dłonie:

- Adriel? O bogowie, dzieci... Mruga z wrażenia.

- Pomału, marynarzu, pomyliły ci się porty i dziewczyny. Hej, Dayton, nie przejmuj się.

Śniło ci się coś. I to bar dzo paskudnego.

Po twarzy ciekną mi łzy.

Baletowym krokiem do pokoju wpada lekarz i podnosi trzy palce. Ledwie je widzę przez załzawione oczy. -Ile?

- Wolałbym te dwa, co je pan chowa. Bo na tych trzech paznokcie są ogryzione do kości - chrypię.

Merle chichocze i ściska moje paluchy.

- Facet skończy z wiaderkiem na głowie. Wynurzam się wreszcie z tych przerażających

wspomnień... złych snów? Nieważne... i śmieję się wraz z nią.

- Tak trzymać! - krzyczy ktoś. Znajomy głos. Tom jak błyskawica podjeżdża do mojego łóżka na bajeranckim, ergonomicznym wózku. - Tak naprawdę to pan doktor sygnalizował liczbę dziesięcioleci, jakie zapewne spędzisz w ciupie za ten drobny wypadek.

- Doktorze Ellis, proszę nie stresować pacjenta - mówi lekarz. - Padł on ofiarą ciężkiej neurologicznej traumy...

- Luzik, szefie, młodemu potrzeba co najmniej trzech traum dziennie, żeby nie szalał.

- Tom dziko szczyrzy zęby i puszcza oko do Merle.

- Są starsi? - Podciągam się na twardym łóżku. Prze brali mnie w obciachową szpitalną piżamkę.

- Twoja mama i tata byli tu przez większość czasu - mówi Merle. - Szczerze mówiąc, potrzebowali snu. Sie dzimy tu jako zmiennicy.

- Cieszę się, że przysłaś. A Tom... On przyszedł tylko rwać pielęgniarki.

- No pewnie!

Pielęgniarka, ta w niebieskim, podaje mi szklankę wody z glukozą, dzięki czemu zaczynam zauważać różnicę

między własnymi ustami a psią dupą. Potem pociera moje wyschnięte wargi watą, nasączoną czymś śliskim i pozbawionym smaku. Wtykani mały palec w ucho. Nie ma kryształka.

- Przepadł - mówi Tom. - Nie udało się go znaleźć. Merle widziała rozbłysk światła z czaszki. Pamiętasz, co...

Nagle znów czuję mdłości, aż hen, głęboko, na samym dnie żołądka. Fala zawrotów głowy i oszołomienia zamienia świat w zbiór ospałych powidoków. Zirytowany doktor mówi coś ostro do Toma. Ten najwyraźniej przeprasza. Merle mruczy coś cicho i z miłością prosto w moje ucho. Całuje mnie w kącik ust i moje oszołomienie jeszcze wzrasta wraz z gwałtownym przyływym uczuć.

A potem wszyscy wychodzą, nawet pielęgniarka, która na odchodnym zaciąga parawan.

Leżę w półmroku, żywy, wypompowany, zakochany, szczęśliwy, opierając się przerażeniu.

Imperialny Dyrektoriat Shirampur. Jedwabiste wieczory na Rishipatanie obok pełną jak rozlana oliwa wielkiej, świętej rzeki Kashi. Moje wargi i wargi Adriel. Cuchnące popioły ojca, którego zamordowałem, unoszące się w promieniach słońca z ogrodów Pałacu.

Wirująca, pło-mieniście rozpalona aureola gwiazd Soczewki Galaktyki...

Czy te wspomnienia naprawdę należą do mnie? Te i wiele, wiele, wiele innych.

Jestem... śmy zupełnie dezorientowani. W niewiarygodnej przeszłości wiruje, zlewa się tysiąc miliardów istnień.

Przyjmij je. Pamiętaj je. Buduj na nich.

One wszystkie są tobą, Dayton.

Day.

Dayanando.

Wrzeszczę, ale nikt mnie nie słyszy.

- Smutna Góra? To ty mówisz w mojej głowie? Wom matko!

Oczywiście, Dayanando. Zawsze tu jesteśmy, cierpliwie czekając, aż zażądasz naszych usług.

- Twarz na Marsie... Merle miała rację. Rzeczywiście jestem do niej podobny.

Oczywiście.

- Dlaczego? Jak to moż...

Sam ją tam umieściłeś. Tak samo jak kryształowe czaszki i piramidy. Ślady, które zostawiłeś dla siebie samego. Pobudka, by tak rzec.

- Światło - chrypię. - Stworzyłem...

Tak. Po raz kolejny stworzyłeś wszechświat. Światło z Pustki. Rozpostarłeś płatki Lotosu.

Zaczyna się Gra. Dokonało się twoje Przebudzenie. Witaj z powrotem, Dayton. I powodzenia.

Przełożył Tomasz S. Gałązka